

Pokłosie

POKŁOSIE

WYBÓR NOWEL, OPOWIADAŃ, SZKICÓW

Wiktora Gomulickiego

Rysunki:

KONSTANTEGO GORSKIEGO,
ANTONIEGO PIOTROWSKIEGO,
FERDYNANDA RUSZCZYCA

WYPOCZYTAŁ I INNYCH KSIĄZEK
"LEKTORIA"
Kraków, ul. Boh. Stalingradu 19

Wydawnictwo jubileuszowe na wyłączną korzyść autora

WARSZAWA — 1913

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI E. WENDEGO I SPÓŁKI
KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 9.

K-145/72

BIBL. GŁÓWNA

0

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW 0353985



31993

Prócz egzemplarzy zwyczajnych (w cenie 3 rb. za egzemplarz) oddito
tej książki 30 egzemplarzy luksusowych, numerowanych — mianowicie:

20 egzemplarzy na papierze czerpanym wysokiego gatunku, oznaczonych kolejnymi numerami od 1 do 20 — po 10 rb. za egzemplarz.

10 egzemplarzy na najpiękniejszym papierze japońskim, z autografem autora, oznaczonych literami od A do J — po 25 rb. za egzemplarz.

Słowo wstępne.

Gdy przed trzydziestu laty ukazał się pierwszy zbiór utworów poetyckich Wiktora Gomulickiego, powitany został entuzjastycznie. Młody poeta stanął odrazu obok Asnyka i Konopnickiej, jako świetny „malarz słów“, jako mistrz mowy polskiej, przynoszący lutnię ograną strojnie, wypowiadającą całą skalę uczuć. Jedne w niej struny niosły tony żałobnej zadumy nad klęską narodu, inne dźwięczały pobudką, inne głosiły hymn dla piękna w życiu i naturze, inne drgały radością i frenezją, jeszcze inne płakały cichą skargą na ból istnienia. Z biegiem lat rosło w pieśni Gomulickiego bogactwo motywów a wszystkie układały się z wolna w harmonię ewangelicznej miłości Człowieka i troski o jego jutro duchowe.

Jednocześnie rozszerzała się szybko różnostronna działalność pisarska Gomulickiego. Rozmiłowany w przeszłości narodowej poeta, odtwarzał ją w całym szeregu powieści i obrazów, szukał nieustannie łączności pomiędzy chwilą dzisiejszą a czasem ubiegłym, ogarniając je miłośnie w jednej,

nieprzerwanej ciągłości duchowego bytu. Stał się też Gomu-
licki poetą Starej Warszawy, którą opiewał w wielu pięknych
utworach, zapisanych na zawsze w pamięci narodu.

Daleki od naśladownictwa, Gomulicki wierny był zawsze
zasadzie, iż „dusza winna być własna—nie pożyczona“. Prze-
konywał też pieśnią swoją, że od czasów romantyzmu „jest
nowego życia kawał, są także nowe w piersiach miecze i hu-
raganów nowych nawał, są nowe światła, nowe cienie i nowe
luteń nastrojenie“. Jego cykl elegijny „Pod ciosem“, liczne
jego pieśni i hymny, „Sub tegmina“, „El mole rachmim“,
„W Katedrze“, „Na Kanonji“ i t. d.) zapisane są do trwa-
łych pomników literatury. We wszystkich Gomulicki wystę-
puje jako pierwszorzędny artysta formy, utrwalając przez to
tradycję kultu **piękna** poetyckiego w społeczeństwie, które
w poezji szukało wyłącznie kształcenia swych uczuć.

Pragnąc uczcić zasługi Wielkiego Pisarza, przygotowali-
śmy na Jego święto jubileuszowe wybór opowiadań, zgodnie
z Jego wolą dokonany. Wybór ten oddajemy dziś wielbicie-
lom Wiktora Gomulickiego, łącząc się z nimi w serdecznem
życzeniu Czcigodnemu Jubilatowi: jaknajdłuższej pracy twór-
czej, ku chwale literatury polskiej.

Komitet Jubileuszowy.

STRACH

OPOWIADANIE ŻOŁNIERSKIE

Niewielkie ognisko skwierczało na ziemi. Płomień to podnosił się, to opadał. Za każdym wytryskiem światła, występowały z ciemności postacie kilku ludzi, siedzących pod drzewami. Za ludźmi była czarna przepaść lasu.

Ludzie rozmawiali. Rozmawiali głośno, lecz powściągliwie. W ich głosie brzmiała sztuczna pewność siebie. Niby to uważali się za panów, czuć wszakże było, że ciśnie ich jeszcze obroża. Unosiła się nad nimi jakby pięść niewidzialna a potworna—tak wielka, jak kraj ich cały.

Czarność, rozpościerająca się za tymi ludźmi, nie była pusta. Parskały tam konie, rozlegał się trzask łamanych gałęzi, huczało chrapanie śpiących, w jęk żałośny niekiedy przechodzące.

Czasem szczęk broni, wymiana krótkich, energicznych słów, objawiły zmianę warty. Czasem wiatr przyniósł z oddali hasła placówek.

— Tak, tak... — mówił jeden z siedzących, starszy widocznie, co się poznawało i z jego głosu i z głosu innych, gdy się do niego zwracali — smutne to, lecz prawdziwe. Wstydzimy się tego uczucia, ukryć - byśmy je chcieli — nigdy pozbyć się go całkowicie nie potrafimy. Co najdziwniejsza: wyłazi ono zwykle wówczas, gdy się go najmniej spodziewamy. W nerwach siedzieć musi to licho.

Młody, nieco zarozumiale brzmiący głos zauważył:

— Na nerwy mamy dziś sposoby. Znieczulać je umiemy.

— Panie akademiku... przepraszam, panie poruczniku! — podjął starszy. — Apteka dobra do lazaretu, nie do służby frontowej. Strzeż się, żebyś, znieczulając strach, nie znieczulił zarazem bohaterstwa.

— Sądziłbym, że bohaterstwo polega właśnie na braku strachu...

— Niezupełnie. Jest różnica między nieustraszonym człowiekiem a — kłosem. Chyba, że bohaterami będziemy nazywali Mikołajewskich „stupajków“, co nawet po zastrzeleniu w miejscu stali, i których stojące trupy trzeba było bagnietami wywracać, drogę sobie torując.

Ognisko przygasło — mówiący dokończył w ciemności zupełnej:

— Wierście mi: w każdym z nas strach się tai. Doświadczali go najwięksi, choć głośno żaden się do tego

nie przyznał. Przypominam sobie, że mówił o tem pięknie Mickiewicz. „Widziałem rozstrzelanych, co patrzyli śmieje w rurę broni“... Panie literacie... przepraszam, panie kapitanie! — jak to tam dalej?

Ktoś dzwicznym, lecz bardzo poważnym i jakby żalobnym głosem mówił jał:

— „Widziałem rozstrzelanych, co patrzyli śmieje w rurę broni; nie chcieli na oczy zasłony... A jak padli na ziemię, widziałem w ich ciele strach, co za życia wstydem i pychą więziony, wyszedł z trupa, jak owad, i pełzał w około — gorszy strach, niż ten, który tchórza w bitwie nęka — taki strach, że dość spojrzeć na zamarte czoło, aby widzieć, że dusza dąsa się i lęka“...

— Józef! mańjerka!...

— Na rozkazy pana pułkownika!...

Zatrzeszczały kruszone ciężką stopą gałązki. Gul, gul, gul... Kilka powolnych, rytmicznie dzwoniących kłaśnieć, potem głębokie, przeciągłe odsapnięcie.

— Pułkowniku! i dla mnie kroplę. Te noce majowe bywają czasem djabło zimne...

Ordynans podsycił ognisko świeżym chróstem. Płomień w górę podskoczył, zaczął więc się, płaszać, tańczyć... Zdawało się, że i on zaczerpnął wesołości — z mańjerki.

„Pułkownik“ wstał, ramiona rozkrzyżował — przeciągnął się z głośnem, długiem, pełnem ulgi ziewnięciem. Niemłody już, ale prosty, wyniosły, smukły, przypominał

zasuszony dębczak, którego stróże wiejscy razem za podporę i za broń używają, a który ma twardość i nieugiętość żelaza.

Akademik-porucznik położył się na wznak, z rękoma pod głową. Nabrawszy nagle doskonałego humoru, zaczął wyśpiewywać jakąś wesołą, wodewilową piosenkę. Takt piętą na trawie wybijał.

Nie udzieliła się ta wesołość jego koledze kapitanowi-literatowi. Gdy tylko stało się widniej, wyciągnął z kieszeni książkę, w czytaniu się zagłębił. Był drobny i wąły. Błada twarz, długie włosy, trochę zgarbione plecy czyniły go jakby obcym w tem otoczeniu, silącym się tylko na dziarskość i tężyznę.

Inni, zwiesiwszy nosy, czapki na oczy nasunawszy, drzemali. Z gardeł ich i nozdrzy dobywały się dźwięki trąb, fletów, piszczałek. Ale każdy miał przy sobie strzelbę i pałasz; dłoń każdego spoczywała na cynglu albo ścisnęła rękojeść.

Z ciemności wynurzył się człowiek przerażająco chudy, wyglądający na chorego w ostatnim stopniu suchoty—podrygujący przytem i zacierający ręce z zadowoleniem.

— Cóż słyhać, doktorze?—przywitał go pułkownik.

— Wszystko dobrze. „Szpagat“ macie?

— Józef!

Ordynans już biegł z pełną mańjerką.

Doktor wypił, zakaszłał się, wierzchem dłoni rude wasy otarł.

— Wszystko dobrze — mówił, wykonywając poliszynelowe ruchy prawą nogą i lewą ręką, to znów prawą ręką a nogą lewą. — Dwóch spłaciło dług ojczyźnie i poszło po nagrodę do lali. Z jednym rozprawia się w tej chwili kapelan. Trzem odchlastałem kopyta, jednemu wyrząłem kawał pieczeni. Odrutowałem też kilka łbów potrzaskanych, przykleiłem dwa nosy i przyszyłem parę uszów. Kiepskiego warjata, co mnie pytał w malignie: czy prędko wejdziemy do Warszawy? — zapewniłem, że już jesteśmy przy rogatkach. Wejdzie on jutro, ale do Królestwa Niebieskiego. Szarpi nam brak; gorączka traumatyczna wzmagą się; z trumnami nie mogą nadażyć... Wszystko dobrze.

— A cóż ten ułan? Cichowicz?

— Jeszcze szpagatu... Do... do... uch! uch! uch!... dobry... O jakiego ułana pytacie?

— O tego, co miał dziś rano atak nerwowy. Cóż z nim?

— Wszystko dobrze. Pójdzie „na pe“ do czubków. Kokosowy jegomość! Ekstrafenomen! Ucałowałbym go i wsadził do spirytusu.

— Uspokoił się?

— Najzupełniej. Wciska się w najciaśniejsze kąty — pod stoły, pod ławki, za piec, i dygocze, jak pies po ką-

pieli. „Te oczy... te ooczy zieeelooone!...” To jego cią-
gły kurancik. Przypomina mi koleżkę z kursów, szlaf-
kamrata, co dziurę w brzuchu wyświdrował mi, śpiewa-
jąc o „takich duuuzych, czaaarnych, ooczach“... I żeby
choć psiakość miał gorączkę — ale nie: temperatura
normalna, łeb chłodny. Nici będą z niego.

— Cóż to było, doktorze?

— Co było? Gdzież ten szpagat?... Uch! pchy!...
prrrchy!... Pytacie co było? *Casus rarissimus*. Po naszymu:
„wstrząs“. Pyszności choróbka. Jak dobrze pójdzie, to
z miejsca trup. A z kąd się bierze? Z wielkiego „pietra“.
Wyobraźcie sobie, żeście doświadczyli nagle „boja“ — ekstra-
boja, boja podniesionego do najwyższości... Kapujecie?
No, do widziska. Czekają na mnie. Podpisywać muszę
„przepustki“ na tamten świat. Porządek przedewszyst-
kiem. Od miesiąca nie spałem w łóżku; od tygodnia nie
rozbieram się; od trzech dni piję tylko *szwarckafe* i za-
gryzam szpagatem... Wszystko dobrze.

Oddalił się, podrygując — i zaraz wchłonęła go czarna
otchłań lasu.

Przypadek Cichowicza obudził zajęcie w całym obo-
zie. Od samego rana wszyscy o nim rozprawiali. On
też dostarczył wątku do nocnej gawędy pułkownikowi
i jego towarzyszom.

Cichowicz, niedokończony inżynier, przybył do obo-
zu wprost z jakiejś zagranicznej politechniki. Tęgi chło-



KONSTANTY GORSKI.

pak, ze zdrową cerą sangwinika, przytem wesoły, koleżeński, towarzyski. „Serdeczny junak“ — powiedziałyby o nim imćpan Bartosz Paprocki.

Nerwowości nie zdradzał najmniejszej. Jadł dobrze, pił jeszcze lepiej—sypiał na gołej ziemi, z kułakiem pod głową, smaczniej, niż inni na edredonach.

Zaraz po przybyciu, zaciągnął się do ułanów. Gdy wystąpił w szeregu, wszyscy przyznać musieli, że stworzony do konia, lancy i munduru granatowego z karmazynowym rabatem.

Owego dnia, o brzasku, Cichowicz pełnił służbę zewnętrznie obozu. Na forpocztach złowił skradającego się kozaka i konia pod nim ubił. A że kozunio mały był i chuderlawy, związał mu ręce rzemieniem i *more antiquo* na siodle przed sobą położył.

Gdy tak ze zdobycza swą do obozu jedzie, a wszyscy wiwatami i oklaskami zdala go witają—stało się nagle coś niepojętego...

Towarzysze spostrzegli ze zdziwieniem, że zwycięzca słania się w siodle i na wznak pochyla, jakby miał upaść — jeniec natomiast podnosi się, prostuje, groźną i przeważną postawę przybiera...

Ten i ów na konia skoczył, w pogotowiu stając.

W tej chwili rozegrała się błyskawicznie scena wstrząsająca. Cichowicz padł na wznak na siodle—kozak uwolnioną z więzów rękę podniósł, aby cios zadać mu śmier-

telny. Ale jednocześnie ktoś, galopem przypadłszy, wytrącił wrogowi szablą błyszczący kindżał.

Cichowicz leżał na ziemi, jak tknięty katalepsją — zeszywniały, nieruchomy, z cerą trupią, z oczyma rozszerzonymi, z wyrazem niewypowiedzianego przerażenia w twarzy. Przywrócono mu czucie, ale choć mowę odzyskał, nie był zdolny ani słowami, ani poruszeniami wyrazić nic więcej nad trwogę śmiertelną.

Drżał, zimnym potem się oblewał i bełkotał:

— Wszędzie oczy... zielone oczy... Uwolnijcie mnie od tych strasznych, zielonych oczu...

Przekonano się, że kozak miał oczy zielone, jak u jaszczurki — nieruchome przytem i niemrużące się, nakształt szklanych.

— Strach—tłómaczył pułkownik, na swem dawnem miejscu, pod sosną, zasiadłszy — jest zawsze wynikiem wrażenia nieoczekiwanego, które spada na nas niespodzianie. Przejmuje też nas trwogą wszystko, co w danej chwili wyraża sprzeczność rażącą z otoczeniem naszym, lub z nastrojem naszej duszy. Huk pioruna podczas burzy mniej nas przeraża, niż szelest myszy, gdy siedzimy nocą samotni, głączą ciszą dokoła otoczeni. Z tego powodu, zabójcze bywa nie tylko wielkie zmartwienie wśród radości, ale i wielka radość wśród zmartwień. Bogaczowi wygrana na loterii sprawia tylko przelotne zadowolenie; nędzarza o szaleństwo, nawet o śmierć, przypawić może.

— Więc Cichowicz?—podjął ktoś.

— Z Cichowiczem było tak. Pochwycił wroga, pokonał go i spętał. W naturalnym porządku rzeczy, ten wróg powinien był zachować się pokornie, mieć spojzenie zawstydzone i błagalne. Tymczasem cóż? zatapia on w swym zwycięzcy straszne, nienawiścią ziejące oczy, i zaraz potem, z więzów wyswobodzony, nóż nań podnosi. Pomyślcie, że to wszystko odbyło się z szybkością pioruna. Cóż dziwnego, że Cichowicz—zdrętwiał!

— Niemałą rolę odegrał w tem magnetyzm — odezwał się któryś z dalszych towarzyszków.

— Skądże magnetyzm? Pan profesor... przepraszam: pan rotmistrz, wspomina o magnetyzmie pewnie dla tego tylko, że—modny.

— Bynajmniej. Opieram swe twierdzenia na podstawie naukowej. Kozak miał oczy zielone, a takimi oczami węże magnetyzują ptaki.

— Racja!—potwierdził akademik-porucznik.—Pewne barwy, kształty, dźwięki, same przez się wywołują ten szczególny paraliż nerwów, który nazywamy strachem.

Towarzysz, czytający książkę, schował ją i rzekł jakby do siebie:

— Wszystko znieść potrafię: świst kul, jęki konającego, nawet widok szabli, w pierś moją skierowanej. Jedno tylko złamać mię może i odrętwić: gdy kozak, nacierając na mnie galopem, zawyje po swojemu: „Rwiiii!“...

Jakby na dane hasło, rozległ się gdzieś daleko tętent galopujących koni i stłumione oddaleniem, ponure, przenikliwie:

— Rwiilil...

Padło kilka głuchych strzałów.

Słowik, wyśpiewujący w poblizkiej olszynie, umilkł. Ustało też rechotanie żab na mokradłach.

Biwakujący towarzysze przestali rozmawiać. Zapanała przykra, niespokojna, wyczekująca cisza.

Ale głosy trwogi nie ponowiły się—i już po chwili słowik powrócił do przerwanej piosenki, żaby do swych psalmidji lękliwych.

Ocknęła się też kompanja przy ognisku.

— Zimnooo...—zadzwonil zębami literat.

Pułkownik w odpowiedzi zakomenderował:

— Józef!... mańjerka!

Ktoś znalazł w torbie chleb i słoninę wędzoną. Zagryziono tymi przysmakami nową kolejkę. Ogień podsycony znów strzelił wysokim, tańczącym płomieniem.

— Posłuchajcie, panowie — odezwał się pułkownik, wygodniejsze przybierając położenie. — Opowiem wam historję o strachu, jedyną z pewnością w dziejach wojen...

Słuchacze przyjęli zapowiedź z uciechą. Pułkownik wiele doświadczywszy, wiele miał do opowiadania.

— Było to 31-go marca 31-go roku...

— Ojoj! — przerwał ktoś piskliwie z pod krzaka—odwrócić te cyfry, a będą dwie trzynastki. Feralna data!

— Brawo, Zygmus!—zaśmiano się dokoła.—Wylazło szydło z... kurtki strzeleckiej! Zdradził się kurjerkowy logogryfista!...

— Ma słuszność pan Zygmunt — osądził z powagą pułkownik.—Data była feralna, lecz—dla nich. Zakarbowali sobie tę datę w pamięci Gejsmar i Dybicz; nie przepomniano też o niej i w Piotrowym grodzie. A mnie, gdy o niej myślę, ciepło robi się w sercu i jasno w głowie—choć to już trzydzieści dwa lata od owych dwóch trzynastek minęło!...

— Poczekajcież, pułkowniku... — wtrącił przeciągle rzeźwiejszy już literat.—Trzydziesty pierwszy marca — toć to, jeśli dobrze pamiętam—Dembe...

— Tak, Dembe Wielkie. W owym dniu podwójnie wielkie, gdyż wielkiem zwycięstwem uświetnione.

— Poczekajcież, poczekajcie... Przypominam sobie jakieś stare rymy — szkoda, że nie Mickiewicza—o tym dniu i o tym tryumfie. Nauczył mnie ich ojciec nieboszczyk...

Monotonnym głosem zaczął:

Noc była, gdy pocichu, na pomoście z słomy,

Za okopy wojenne przewieziono gromy.

Nic nie zdradziło wrogom tajemnicy planu;

Odpoczywał na laurach Dybicz zza Bałkanu

Wódz czuwał, ważąc w sercu ciężkie powołanie;
Liczne wojska na przysze rozstawiał spotkanie...

Odgarnął włosy, spadające na czoło — energiczniej
ciągnął:

Śpieszy za przeznaczeniem odważny Łubiński,
I Czarnieckiego czciciel niezgięty: Rybiński.
Zrazu noc, później ciemność, w końcu mgła sprzyjała...
Zginęły przednie czaty, nim ryknęły działa.
Bagnet zdobył okopy. Zamieszanie, trwoga
Z kilku stron napadłego przeraziły wroga.
Wkrótce...

Dalej nie pamiętam...

— Ja pamiętam! — wykrzyknął pułkownik. — I jakże
mógłbym nie pamiętać, gdy w dzień po zwycięstwie
wszyscyśmy te wiersze w obozie czytali, na pamięć ich
się uczyli!

Wkrótce bory, kryjące wojska najezdnicze,
Wróciły wolnym wzięte bezbronnym zdobycze.
Męstwo zyskało działa, prócz zwycięskich wieńców;
W dwóch dniach dziesięć mil kraju i tysięcznych jeńców.
Dziś pięć chorągwi, ciesząc wskrzeszoną Warszawę,
Szerzą wodza Polaków i wojsk polskich sławę!

— He, he, — zaśmiał się piskliwie utajony za krzem
łoziny pan Zygmunt. — Poeci wyjechali z rymami — czy
wolno anegdociście popisać się anegdotką?

— I owszem — byle krótką i zabawną.

— Gejsmar, nazajutrz po bitwie, złożył Dybiczowi
raport: „Mam honor zawiadomić waszą feldmarszał-
kowską mość, że w dniu wczorajszym wojsko nasze ze
sztantarami i całym korpusem oficerów na czele, weszło
do zbuntowanej Warszawy — ale, niestety: bez broni
i w więzach”. Dybicz skopać go chciał — on się tłóma-
czył, że to tylko zwyczajne w tym kraju, niewinne *prima
aprilis*.

— Panie pułkowniku! a pańska historia?...

— Ano, słuchajcie. Służyłem wówczas w piechocie;
byłem podporucznikiem w ósmym pułku linjowym. Mo-
żeście o nim słyszeli? Nie tak głośny, jak czwarty, ma
jednak również dobrą kartę w historii. Wódz naczelny,
zanim zdobył jeneralskie galony, był naszym szefem.

— Skrzynecki?

— Tak. Bigot, sybaryta, pyszałek — miewał wszakże
dobre chwile. Dembe Wielkie stanowiło *apogeum* jego
militarnego gienjuszu. Odtąd cofał się już tylko. Poprostu:
przeraziło go odniesione zwycięstwo — uczuł strach przed
własną wielkością, której nie spodziewał się, którą upatry-
wał gdzieindziej, mianowicie w dyplomacji... Pod ucis-
kiem tego strachu pozostawał do końca kampanji i do
końca życia. Ucieczki przed nim szukał w dewocji... To
również dokument, stwierdzający moją teorię.

— Nie o Skrzyneckiego przecie tu chodzi.

— Nie. Chodzi o cały pułk ósmy i o całą brygadę jazdy moskiewskiej. Śliczny to był dzień. Drugiego takiego w życiu nie miałem, i już z pewnością mieć nie będę. Mgła, deszcz ze śniegiem, plucha, roztop. Powietrze pachnie wiosną i prochem. Dwadzieścia cztery godziny na nogach, w ogniu i w wodzie. Oni wrzeszczą: „uraaa!“ — my się drzemy: „Jeszcze Polska nie zginęła“!. Ziemia pod stopami drży od nieprzerwanej kanonady. Kule to się po szosie twardej toczą: trrrrrrr!... — to w kałużach grzęzną: chlup! chlup!... — to wśród gałęzi ośnieżonych posuwicie jadać: szszszsz!... to chrapią, to gwizdzą, to furkają. Czasem słycać poprostu: buch! — jakby kto komu w kark dał — a zaraz potem: „Jezus, Marja!“ — i już mniej nas o jednego...

— Gorąco było, co?...

— Nie goręcej, niż na przyjacielskim baliku.

— Tylko, że nie tak wesoło...

— Weselej!

— Yhy!...

— Wcale nie yhy! Przed samą północą, na wychodnem, wypilem niedużą miarkę gorzałki, a o czwartej z wieczora było mi tak, jak po dwóch butelkach dobrego węgryna. Zdawało mi się wprost, że mazura tańczy. Z kamratami to samo. Wszystkie twarze rozumienione; na ustach żart; w oczach figlarne płomyki. Doskonale pamiętam, żem przez cały czas nucił pod nosem: „Ej, za-

wracaj od komina, a uważaj której niema!“... Tymczasem sztab nie próżnował. Wzięto wroga w kupę. Na lewo Romarino rżnie lasem na przełaj. Kicki grzmi przez rogatki grochowskie. Zawadzki, z drugim linjowym, wali przez Grzybowską Wolę, prosto na Okuniew. Niedługo czekając, widać na prawo i Dziekońskiego. Pif! pafl!... łupu-cupul!... — i już Wiązowna w naszych rękach. A jeneralizacja szoruje szosą, jak strzelił, do Miłosny — z Miłosny do Dembego...

Opowiadacz zamilknął. Z błyszczącym, wyteżonym w przestrzeń wzrokiem, z wyciągniętymi przed siebie ramięmi, zdawał się gonić jakąś cudną, ulatującą przed nim marę...

Minęła długa chwila, nim do opowiadania wrócił.

— Pod Dembem — ciągnął — czekał na nas już Rozen, wszystkie siły skupiwszy. Falę, co na niego szła, postanowił za wszelką cenę powstrzymać i odrzucić. A pozycję miał dobrą. Z tej i tej strony las; po prawej ręce bagna, po lewej błotnista, deszczami wezbrana rzeczulka. Dostępu niema innego jak szosą — a nad tą szosą wieś, a w tej wsi moskwa... Aleśmy już byli zanadto rozgrzani — sam Lucyper-by nas nie wstrzymał! Więc naczelnny wódz rozsypuje po lesie dwa bataljony tyraljerów; na czoło pcha brygadę trzeciej dywizji, to znaczy: nas i czwartaków. Docieramy do samego folwarku. Stajemy w pozycji, z pal-



cem na cynglu. Stajemy krzepko, jakby nas kto wmurował, albo raczej: wlepił. Pod stopami mamy miękką glinę; nogi nam grzęzną do pół łydki. Iść naprzód nie sposób: folwark na wzgórzu, bok wzgórza gliniasty, oślizgły. Przytem: jakże atakować bez osłony dział i kawalerji? Jeźdźcy szukają suchszej drogi; działa i djabeł nie przeoczy po błocie. Sterczymy, opuszczeni przez wszystkich, sami, jak palec. Tyle tylko, że tyraljerzy za nami pukają. Czekamy co będzie — i patrzymy przed siebie. A jest na co patrzeć. Na wzgórzu, po obu bokach, rozdziawione na nas paszcze armat; w pośrodku — pułki kawalerji, do ataku sformowane. Możemy być w mgnieniu oka zdmuchnięci z powierzchni ziemi, skoszeni jak trawa, w błoto wdeptani,.. Myślimy o tem — i jest nam ogromnie wesoło. Ten nuci obertasa, ten z cicha pogwizduje, tamten sąsiadowi tłuste anegdotki opowiada... Nagle: zagrzmiało — plunęły ołowiem armaty — „uraaa!“ — cała brygada jazdy wali na nas, jak huragan... Stoimy naturalnie, jak wryci — ale z wesołości już nam poprostu wytrzymać trudno! Przypuszczamy wroga jaknajbliżej, i gdy znalazł się już w odległości jakichś dwudziestu kroków, wszyscy, jak na komendę...

— Osypujecie go gradem kul! — przerwał akademik z zaiskrzonymi oczyma.

— Bynajmniej. Wszyscy, jak na komendę—wybuchamy potężnym, szalonym śmiechem!..

Szmer zdziwienia i jakby niedowierzania przebiegł wśród słuchaczy. Pułkownik kończył spokojnie:

— Efekt był nadzwyczajny! Tamci zmieszali się, stanęli w miejscu — zdurnieli. Szeregi ich płaczą się; konie, uzdą zdzierane, stają dęba; słycać dziką wrzawę, rozkazy, przekleństwa... Niebawem cała brygada, we wściekłym popłochu, na wszystkie strony się rozpierzcha. W tejże chwili nasza wiara, nadciągnawszy szosą, uderza od tyłu; dwa działka, z wysiłkiem przywleczone, zaczynają grać — i... Resztę wiecie.

Skończył pułkownik i po papierosa sięgnął — słuchacze nie zamykali ust, zdziwieniem otwartych.

— To był strach! — dorzucił jeszcze, wielki kłęb dymu wydmuchując. — I to był śmiech!.. Podobnego śmiechu nie znały przedtem dzieje.

— Przepraszam — zaprzeczył nosowym głosem profesor. — Tak się śmiały bogi i pół-bogi — u Homera.

Ognisko dogasało. O podsycaniu go nikt już nie myślał. Cisza coraz głębsza padała na las i na okolicę; coraz głośniej za to płakał słowik w olszynie.

Nagle załopotało coś wśród gałęzi jednego z drzew starych, rozłożystych.

— Ha, ha, ha!.. hi, hi, hi!.. hu, hu, hu!.. — rozległ się przeciągły chichot puhacza.

Ten i ów wzdrygnął się. Pułkownik rzekł ze zwykłym spokojem:

— No, to straszdyło nie śmieje się homerycznie. Według wiary ludowej, jego głos wróży komuś z nas śmierć bliską. Ale że nie wiemy komu, więc tymczasem wszyscy spać możemy smacznie. Dobranoc panom!

Położył się na bok, okrył podaną przez ordynansa burką i zaraz głośno zachrapał.

Inni ułożyli się również do snu.

Około północy, jeden wstał — chudy, przygarbiony, długowłosy — i, nie budząc żadnego z towarzyszków, w las poszedł. Opowiadał się strażom półgłosem i o kapelana dopytywał.

Wskazano mu opuszczoną chatę gajowego. Przez drobne szybki przezierало smutne, migotliwe światło. Wewnątrz paliła się gromnica przed ustawionym na stoliku obrazem Częstochowskiej.

Wstąpił, w progu wyrzekł: „Pochwalony!“ — drzwi za sobą zamknął...

Dzień następny minął spokojnie. Do potyczki nie przyszło. Tylko około południa, mały oddziałek, na rekonnesans wysłany, miał spotkanie z kozakami, które skończyło się nieszczęśliwie dla jednego z wysłańców.

Musiał to być człowiek chorobliwie nerwowy. I w powierzchowności nie miał nic rycerskiego. Chudy, raczej długi niż wysoki, przygarbiony, z włosami na ramiona spadającymi...

Gdy kozacy wrzasnęli po swojemu: „Rwiiiiii!“ — dostał tak silnego napadu strachu, że zdrewniał i z konia spadł. Do leżącego doniec wystrzelił, śmiertelnie go raniąc.

Na noszach z gałęzi odniesiono biedaka do obozu i wezwano kapelana, żeby go na drogę wieczności opatrzył.

Ksiądz przyszedł, na umierającego spojrzął i rzekł uroczyście:

— Już opatrzony...

SŁOŃCE ZACHODZI —
SŁOŃCE ZASZŁO

Drożyną leśną, pełną wystających korzeni i szyszek suchych, powracałem do domu. Nagle cały las stanął w płomieniach.

Płomienie miały najpierw barwę pomarańczową, później stały się różowe, wreszcie przeszły w czerwień ognistą.

Wszystko dokoła zapłonęło. Pożar trawił i przepalał zarówno korony drzew wysokich, jak przytulone do ziemi krzaki i mech, pokornie płaszczący się w nizinie.

Atmosfera lasu zmętniała i zarazem roziskrzyła się, jakby ją tuman piasku złotego zasypał; płynne złoto kapać poczęło z każdej trawki i z każdego liścia. W odciepanie ślepiących blasków pnie sosen stały się podobne żelaznym, do czerwoności rozpalonym, kolumnom.

I uwyraźnił się naraz cały dół leśnej gęstwiny, zwykle w mroku szarawym niknący.

Smugi światła, przy samej ziemi biegnące, wydobyły na jaw wielkie bogactwo drobnej roślinności, cieniem

leśnych olbrzymów wzgardliwie skrywanej. Zabłyły nieskończoną różnorodnością form mchy i paprocie. Mnóstwo małych, ślicznych kwiatków wynurzyło z mroku główki barwiste. Ziemia upstrzyła się dokoła granatowymi centkami czarnych jagód i szkarłatnymi punkcikami poziomek. Ukazały się oczom odwieczne, warstwami na sobie leżące pokłady zeschniętych liści, szyszek, igieł.

Można było teraz dokładnie widzieć każdego chrząszcza o zielono-złoty, metalicznie połyskujących skrzydełkach, przelatującego ociężale z miejsca na miejsce, — i każdą „krówkę“ czarną, która, różki naprzód wytknąwszy, pełzła niezgrabnie po suchych igłach sosnowych, wywracając się co krok do góry nóżkami, — i każdego zapóźnionego motyla, który fruwał niespokojnie, zaglądając w kielichy wszystkich kwiatów, jakby szukał tam przyjaciela lub kochanki, — i każdą mrówkę, dążącą do mrowiska z pośpiechem, a jednak znajdującą jeszcze czas na krótkie porozumiewanie się z towarzyszami, biegnącymi w stronę przeciwną...

Niedługo to trwało.

W jednej chwili złoto przygasło, purpura ściemniała, — wśród gąszczów i na aksamicie mchów miękkich ukazały się ciemno-zielone i popielate plamy, pospołu z nieskończeniem długimi cieniami, pokrywającymi ziemię gęstą, splątaną siatką.

Jednocześnie skąpane w blasku, krwisto-czerwone pnie sosen przybrały odcień miedziany i jęły zwolna stygnąć, szarzeć...

Przez cały czas tej fantasmagorji ptak jakiś niewielki, uczepiwszy się nóżkami wystającego sęka na sośnie, wyśpiewywał z całej duszy i z całego gardła.

Śpiew jego był naprzemian ćwierkaniem i świstaniem, piskiem i świegotem, szeptem i krzykiem.

Coś on wyraźnie opowiadał (komu?), skarżył się na coś (przed kim?), błagał o pomoc (czyją?)...

Zaledwie jednak pożar słoneczny przygasł, ścichły i ptasie lamentsy.

Uciszyła się też i cała muzyka lasu, a szumy, przebiegające górą, zwolniały i złagodniały. Słodkie ukojenie i powaga uroczysta rozlały się dokoła. Drobnie ptaszyny jęły latać nisko, szukając gniazd swych po krzakach, nawołując się krótkimi, urywanymi głosami.

W tejże samej chwili na najwyższych wierzchołkach lasu ozwało się gruchanie dzikich gołębi. Była to jakby skarga ponura, przyprawiająca o smutek i melancholję. Kiedy o zmroku w starym gotyckim kościele zasiądą w stalach mnichy i poczną odmawiać łacińskie modlitwy, głuche ich mruki tworzą taką samą, dreszczem przejmującą melodję...

Nagle wzdrygnąłem się. Tuż przy mnie rozległ się w gąszczach jęk głośny. To zajęczał ptak, którego głos smutny i trwożny podobny był do krzyku mewy morskiej przed burzą. A jakby ten jęk stanowił hasło umówione, także same jęki odpowiedziały mu natychmiast z różnych punktów lasu...

Przez chwilę skrzydlate płaczki dawały znać o sobie, nie ruszając się z kryjówek, — potem jęki poczęły zbliżać się ku sobie, zbiegać w jedno miejsce, skupiać, ogniskować — wybuchły wreszcie zbiorowym chórem wielkiego, rozdzierającego serce lamentu.

Trwał ten chórak kilkanaście sekund, potem nagle ucichł, jakby na skinienie dyrektorskiej pałeczki. Pozostało po nim tylko przeciągłe, rozplakane echo...

Anim się spostrzegł jak pod wpływem tego echa dusza moja cała smutkiem nasiąknęła. A przyczynić się do tego musiało i to także, iż naraz z niezmierną szybkością wszystkie blaski gasnąć poczęły.

Mrok spadał z góry, od wierzchołków, i dobywał się z dołu, z zagłębień pomiędzy krzakami. Olbrzymie czarne plamy rozlażyły się po ziemi, po liściach, — niebawem wszystko zatopity w cieniu. Tylko przez szpary pomiędzy pniami prześwitywał kawałek nieba, a na nim jakby zadymiona pożaru dalekiego luna.

Rzecz dziwna! Ten las, tak rokoszny przy słońcu, tak pełen życia i podniecającej wesołości w jasnym oświe-

tleniu dnia letniego, teraz wydawał się nieprzyjemnym, posępnym, prawie strasznym. Białe pnie brzoź wyglądały jak widma; wielkie kłody, zwalone na ziemię i z kory odarte, podobne były trupom, które nakryto prześcieradłami.

Zapadła cisza... głucha, ciężka, niepokojąca.

Wszystkie drzewa stanęły nieruchomo, jakby dech w piersiach tając. Wszystkie istoty żyjące przycisnęły się, zdrewniały. A od chwili do chwili, wśród tej ciszy i tego zdrewnienia, któreś z drzew zatrzęsło się nagle, jakby ze strachu, po suchych zaś liściach, pokrywających ziemię, przebiegły, chrzęszcząc, czyjeś niewidzialne stopy...

Przyśpieszyłem kroku, aby jak najprędzej wyrwać się z gęstwiny, która miljonem rąk zdawała się chwytać i przytrzymywać.

W kilka chwil później stałem już nad cichą, senną rzeczułką.

Więcej tu było światła i więcej barw; poezja wieczoru nie miała w sobie ani cienia grozy, upajając słodką, ponętą melancholją.

Niebo nad rzeczułką było słomkowo-żółte, umozakowane na zachodzie różnobarwnymi chmurkami. Na tem tle kontury wierzb nadbrzeżnych rysowały się z zadziwiająco wyrazistością. Nie tylko każdą gałązkę, lecz nawet ząbkowany brzeżek każdego listka oko rozróżniało baz trudu. Kremowa barwa chińskiego papieru daje podobną wyrazistość miedziorytom.

Niebo, chmurki, wierzby powtarzały się w wodzie, jak w szkle. Odbicie ich centkowały tu i owdzie okrągłymi plamami sercowate liście grzybienia. Mąciły je także pluśnięcia drobnych rybek, wyskakujących chwilaми ponad wodę.

Trzcina i tataraki chwiały się lekko to w jedną, to w drugą stronę, jak stare babiny, gdy zasypiają w fotelu. Gdy powiał silniejszy nieco wietrzyk, zginały się niemal do samej wody, — zawsze jednak potem stawając prosto i sztywno, jakby już zupełnie z senności wytrzeźwione.

Ukryty w sitowiu ptak wyśpiewywał rozgłośnie, lubując się echem własnego śpiewu. Miał on w gardziółku kilka nut słowicznych i popisywał się nimi przed światem — nakształt lichych wierszorobów, którzy, podchwycwszy mistrzom „efekty“, olśniewają nimi łatwowiernych.

Ptak śpiewał, trzcina kołysała się, rybki z pluskiem wyskakiwały z wody; z poza krzywych wierzb dochodził monotony odgłos kół młyńskich, podobny trochę do gderania rozmarzonej trunkiem kumoszki, trochę do gdańskania kaczki, zwołującej kaczęta.

Cisza wielka padała zwolna na ziemię i wodę. Śpiew ptaka odzywał się coraz słabiej, z coraz dłuższymi przestankami. Ciemniało na niebie i ciemniało w głębiach rzeczulki. Z poza drzew wybiegły dymy błękitne i prostymi kolumnami wzbijały się ku górze. W powietrzu zabrzękły roje komarów, w trawie zaskrzypiały świerszcze.

Młynarzowa wyszła na próg, jęła ptactwo zwoływać:
— Kaczuchny mojej!.. kaczuchny!.. Taś, taś, taś, taś,—
taaaś!..

Wołanie biegło po rosie daleko, daleko, aż do nieruchomej ściany lasu, która odbijała je od siebie, niby skała granitowa, fałę odtrącająca. I ile razy młynarzowa wołanie swe przerwała, wszystkie załomy wzgórz, wszystkie zakłęśnięcia dolin, wszystkie pnie sosen przedrzeźniały ją, szepcząc to tu, to tam:

— Taś, taś, taś!.. Taś, taś, taś!.. Taś, taś, taś!..

Nareszcie kłótnia kobiety z echem ustała. Rozpoczęło się królestwo, niczem, prócz komarów i świerszczów, niezamąconej, ciszy.

Z pomiędzy sitowia wypłynęła łódka... Wypłynęła bez plusku i szmeru, jakby ją sama woda niosła, nakształt listka wierzby. Łódka i stojący w niej człowiek tworzyli jedną całość, do chińskich cieni podobną.

— Na ryby?

— Nie. Ot tak... aby płynąć...

Łódka pomknęła dalej, pomiędzy kępy trzciny, która rozstępowała się przed nią w milczeniu.

Jeszcze chwila, a całe niebo przybrało odcień blado-perłowy. Ze słonecznych wybuchów na zachodzie pozostał tylko pas czerwono-żółty, mętny, z tem przyćmieniem, starym obrazom właściwem, które włosi zwą *sfumato*.

Wzgórze za rzeczką i rosnące na wzgórzu drzewa zlały się teraz w jedną, całkowicie czarną sylwetę, której zewnętrzny jedynie obrys wzrok rozróżniał w ciemnościach.

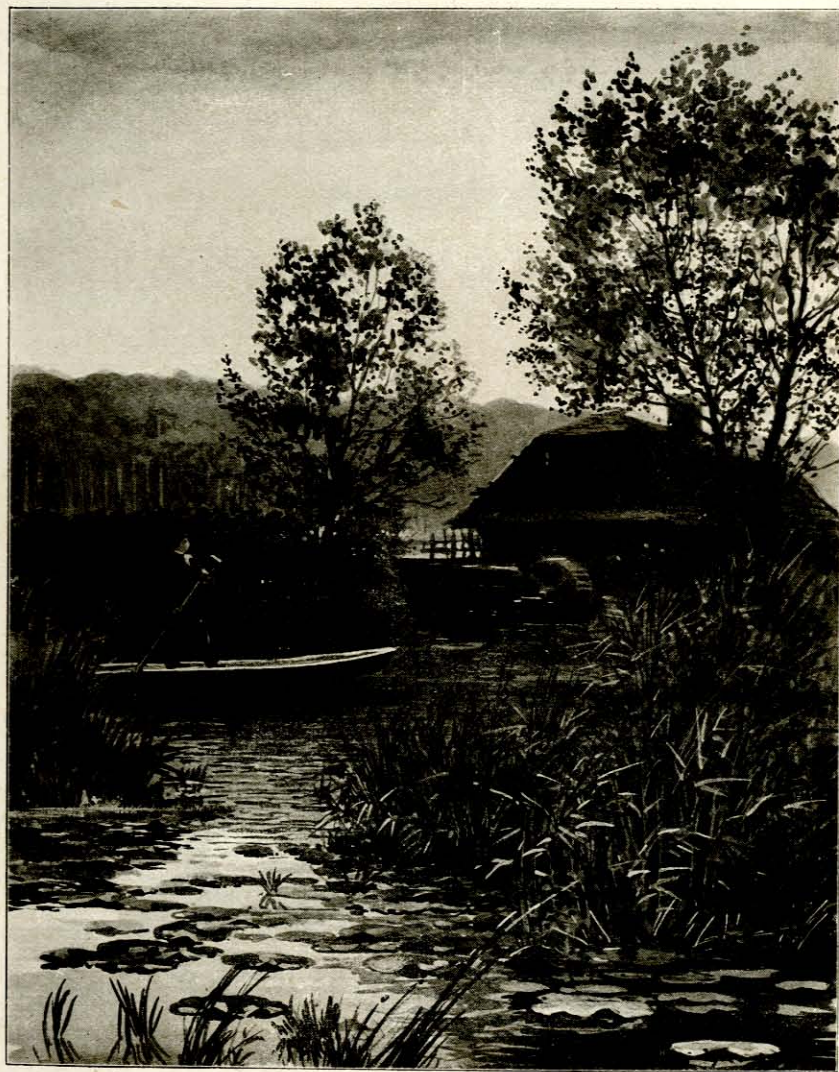
Woda była przejrzysta, jak szkło gładka. Rozpłaszczone na niej liście wodnych lilji, odbijające resztki wieczornych blasków, zdawały się białymi, połyskliwymi plamami.

Tu i owdzie woda drżała. To występowały na nią bąbelki, szybko pękające, to znów fałdowała się kolistymi zmarszczkami, które, zataczając coraz szersze kręgi, rozchwiewały się zwolna bez śladu. Wszystko to były znaki jakichś tajemnych funkcji roślinnych i zwierzęcych, odbywających się w głębi, pod zasłoną nocy, zdala od badawczych spojrzeń człowieka.

Wyteżalem wzrok, aby pochwycić cośkolwiek z zagadkowych prac przyrody, — tymczasem melancholja, wcześniej w gąszczach leśnych zrodzona, po wilgotnych trawach aż tu przypełzła i rozlała się dokoła po ziemi i wodzie, w umysł i serce przesiakając.

W chwilę później znajdowałem się już na ścieżce, wiodącej ku młynowi. Nigdy jeszcze najpiękniejszy wschód słońca nie wydał mi się tak rokosznym, jak w owej chwili niewielki złoty kwadracik oświetlonego okna, które błyskało wśród gąszczów, wskazując drogę, do środka zapraszając przyjaźnie.

Na kwadraciku rozróżniłem delikatny profil Niny i okrągłą główkę dziecka...



JÓZEF RAPACKI

„SŁOŃCE ZASZŁO”.

POD PARASOLEM

Pokłosie

POD PARASOLEM

- A więc służę pani.
- Nie nadużyję pańskiej grzeczności. Korzystać z niej będę tylko do chwili, w której wyręczy pana... dorożka.
- Dzięki i za to.
- Odkądże to pan stałeś się tak pokornym i przestającym na małym?
- Odkąd pani nie masz już nic do rozdania... przyrzekłszy wszystko innemu.
- Powinno to być dla pana obojętnem...
- Tak; powinno...
- Nieznośny!
- Kto?
- Deszcz. I jak na złość ani cienia dorożki...
- Nadjeżdża jedna w tę stronę. Obyż była wolną!
- Oboje pożądamy tego równie gorąco...
- I oboje rozczarować się musimy, bo dorożka... zajęta.

- Co robić?
- Gdybym był tym, czyje miejsce trafem tylko zastępuje, odpowiedź znalazłbym łatwo...
- Gdybyś pan był tym kimś, nie szłabym wówczas z panem pod jednym parasolem.
- Dlaczego?
- Bo ten jedwabny namiocik nakrywać może tylko dwoje ludzi, albo bardzo bliskich sobie, albo też bardzo obojętnych.
- Do której kategorii zalicza pani... tamtego?
- Do kategorii natrętnych ciekawców zaliczam pana.
- Rozgniewałem panią; jestem szczęśliwy. Na kilka sekund przynajmniej zapanuję nad pani myślami...
- Mógłbyś pan tego dopiąć w sposób grzeczniejszy. Niema kwadransa, jak wyszedłeś z salonu, a przemawiasz, jakbyś w nim nigdy nie postał.
- Czy pani lubi plotki?
- Nie.
- Czy interesuje panią z kim prowadzi romans hrabia P. i jakiego ma spowiednika księżna Z.?
- Ani trochę.
- Należysz może pani do pobożnego towarzystwa pań miłosiernych, opiekujących się młodymi wdowcami?
- Cóż znowu!
- Jakże więc ja mogę rozmawiać z panią salonowo?!...
- Powiedz mi pan, jakie dzieło obecnie studjujesz?

- Nudne. Ale dla dam posiadam zawsze w zapasie... karmelki. Jeśli pani chcesz, mogę opowiedzieć tużin wesołych powiastek, zanim dojdziemy do rogu ulicy...
- Nie lubię wesołych, bo nieprawdziwe.
- Ja zaś unikam smutnych, żeby mi nie przypomniały prawdy...
- Lękasz się pan jej?
- Jak Hamlet ojcowskiego ducha.
- To znaczy, że ją zarazem kochasz?
- Jak człowiek zrozpaczony kulę rewolwerową...
- Ach!
- Dlaczego pani krzyknęłaś?
- Bo spostrzegłam nadjeżdżającą dorożkę.
- Przytłum pani swą radość. Do tej dorożki wsia-
dła już jakaś para.
- Jakże jej zazdroścę!
- Dorożki czy... pary?
- Tylko dorożki. Wszakże my z panem również w tej chwili stanowimy parę...
- Matematyczną...
- Tem lepiej. Matematyka to wielka nauka.
- Bezwątpienia. Uczy ona obliczać wartość mężczyzny na cyfry.
- I układać równania ze spotykanych na drodze życia kobiet.
- To czynią wszyscy; tamto tylko... praktyczni.

- Pan do nich nie należysz?
- Dowiodłem tego.
- Komu?
- Kapitałom ojca pani.
- Jakie ma oczy pańska narzeczona?
- Moja na-rze-czo-na?...
- No tak; kobieta, z którą pan się żenisz...
- Kobieta, z którą... Ach, prawda! przepraszam za roztargnienie! Ma ona oczy także same, jak pani narzeczony.
- Odpowiedź ta nie objaśnia mnie.
- Dlaczego?
- Bom dotąd jeszcze oczu tych nie widziała.
- Byłżeby... niewidomym?
- Nie; ja tylko bywam niewidomą w jego obecności.
- Rozumiem. Wychodzi pani za mąż z zamkniętymi oczami.
- Dziwi to pana?
- Bynajmniej. Takie właśnie oczy posiada miłość.
- A jakie oczy posiada... rozpacz?
- Nie powiem, żeby nie zdradzić tajemnicy... własnych.
- Uspokój się pan. Oto dorożka, która położy kres wyznaniom.
- Fatalność! I w tej już ktoś siedzi!

- Tem gorzej dla pańskiej tajemnicy...
- I dla pani buczków...
- Cóż za zestawianie!
- W życiu trafiają się gorsze. Zestawia się tam serce z workiem, miłość z rangą...
- Oczy ciemno-niebieskie z oczami ciemno-orzechowymi...
- Zapal z przyzwoitością, namiętność z taktem światowym...
- Oczy ciemno orzechowe z oczami ciemno niebieskimi...
- Te ostatnie masz pani...
- A kto ma te drugie?...
- Te drugie?... te drugie?...
- Powiedz pan; bo inaczej, ja powiem.
- Te drugie miała kobieta, którą kochałem.
- Dlaczego używasz pan czasu przeszłego? Dlaczego nie mówisz: te oczy *ma* kobieta, którą *kocham*?
- Dlatego, że pomiędzy tą kobietą i mną leży przepaść, której sam Bóg zapłacić nie zdoła...
- Co pan mówisz? I któż tę przepaść wykopał?
- Grób.
-
- Dzięki ci, pani, za chwilę milczenia!
- Nie dziękuj pan! Niepochlebna była dla pana...
- Miałabyś pani odwagę urągać zmarłym?

— Dość, panie. A więc to dla zmarłej czynisz pan ofiarę ze wszystkich uczuć swych i myśli? A więc to dla zmarłej depcesz myśli i uczucia innych? A więc to dla zmarłej prowadzisz proces z hrabią Zbojeckim? A więc to dla zmarłej czynisz z ramienia swego podporę... w teatrach, ogrodach, w życiu? A więc...

— Przestań pani. Przestań i posłuchaj... powiastki.

— Powiastki? Miałabyś pan odwagę urągać... żywym?

— Najpierw pani posłuchaj; potem osądzisz.

— Niewiele mam czasu do słuchania.

— Powiastka moja nie dłuższa jest, niż ztąd do... pierwszej wolnej dorożki, którą uda się nam napotkać.

— Więc słucham.

— Był raz magnat. Mieszkał w Paryżu. Magnaci ojczyzny nie lubią. I była młoda dziewczyna, Francuzka, koleżanka z pensjonatu ciotecznej jego siostry. Zobaczyli się i pokochali. Potem ona dała się wykraść. Potem zamieszkali ze sobą. Potem rodzice dali im swoje... niebłogosławieństwo.

— Pańska powiastka smutno się zaczyna...

— Kończy się smutniej. To niby-małżeństwo trwało półtrzecia roku; dość długo, aby ujrzeć mogło świat dwoje dzieci—dwoje męczenników...

— Córki?

— Córki. Starsza zaczynała dopiero chodzić, młodsza nie opuszczała jeszcze kołyski, gdy fatalność—autor-

ka tej powiastki—zamknęła pierwszy jej rozdział dwoma jednoczesnymi prawie zgonami. Umarł ojciec magnata i zmarła matka jego... ofiary.

— Dwie trumny w jednym rozdziale—to zawiele!

— Spostrzegła to autorka i dla utrzymania artystycznej równowagi, umieściła w rozdziale następnym dwa wesela.

— A widzisz pan: horyzont się wyjaśnia...

— Tem lepiej. Obejdzie się pani bez dorożki.

— Ależ ja mówię o horyzoncie pańskiego opowiadania!

— Więc słuchasz go pani?

— Z zajęciem. Od chwili, gdyś pan zapowiedział śluby. Kobiety lubią namiętnie melodję *Veni Creator*.

— W tym razie brzmiała ona jak *Dies irae*... w uszach hrabiowskiej ulubienicy.

— Jakto? czyż nie była również hrabiowską oblubienicą?

— Nie. Hrabia stanął przed ołtarzem z księżniczką.. dostojną i bogatą. Musiał to zrobić, nie będąc już sam ani bogatym, ani dostojnym. Zresztą spełniał wolę najwyższą rodzica swego i — wierzycieli.

— A owa Francuzka?

— Francuzka, w tym samym prawie czasie, łzami się zalewając, przypinała weselną kokardkę ojcu swemu, żeniącemu się z bulwarową rozpustnicą...

— Znów chmury...

— Po każdym uśmiechu szczęścia napędza je fatalność.

— Fatalność?... Powiedz pan raczej: wiatr. Czy nie czujesz, jak parasol ugina się pod jego naporem...

— Myśli nasze znów się rozeszły. Mówmy więc o pogodzie...

— Zgoda, ale wpierw opowiedz mi pan treść rozdziału trzeciego.

— Wyływa ona logicznie z treści dwóch poprzednich. Obok dwóch par weselnych i weselących się, postawiły one matkę dwojga dzieci, pozbawioną miłości, opieki i chleba. Cierpi ona, lecz nie rozpacza. Odtrącona przez ojca i macochę, podnosi trochę mienia pozostałego po matce i pracuje. W kilka lat później, widzimy ją wraz z córkami na bruku warszawskim. Zarabia nauczycielstwem; jednocześnie prowadzi sprawę sądową przeciw hrabiemu. Sprawa wlecze się leniwie, rezultatów nie przynosi. Tymczasem dziewczynki dorastają. W chwili, gdy jedna dochodzi lat osiemnastu, druga szesnastu, matka umiera... I tem kończy się — trzeci rozdział powiastki.

— A tu dorożki jak niema tak niema!

— Trzeba poddać się losowi, skoro go zmienić nie można.

— Prawda; przejdźmy zatem do rozdziału czwartego.

— Występuje w nim nowa osoba: młody entuzjasta, który, poznawszy starszą z sióstr, poprzysięga jej miłość dozgonną.

— Och, dozgonną! To się tylko tak mówi...

— Młodzieniec nie tylko przysięgł: dotrzymał także przysięgi.

— W powiastce!

— Zkąd w pani taka nieufność?

— Pan wiesz...

— Nie wiem.

— Wróć zatem do swego opowiadania.

— Miłość tych dwojga dzieci — oboje stali dopiero na progu życia — zaczyna się sielanką, kończy elegją. Dziewczę pracuje w zawodzie nauczycielskim, przeznaczonym sobie przez matkę. Pracuje tem usilniej, że zarobkiem swym utrzymać musi młodszą siostrę, słabowitą, bezsilną. Ojca wykreśliła z pamięci. Przypominać się jego sercu wyrokami sądowymi nie chce. Podtrzymuje ją energja młodości, wiara w jutro. Tymczasem tonie w mroku. Ale przychodzi dzień, w którym świta i jej promień słońca. Narzeczony, po dwóch latach starań, otrzymuje upragnione stanowisko. Płacze z radości, dzieli się z nią swem szczęściem. Ponawiają przysięgi, układają szczegóły małżeństwa, umawiają się o dzień ślubu...

— A ten dzień... ten dzień tak ważny... ważny nie dla nich tylko... kiedyż nadejdzie?

— Przeszedł.

— Ach! więc zakończyło się wszystko szczęśliwie?.. małżeństwem?..

— Tak. Ona poślubiła grób; on wziął za dozgonną towarzyszkę... rozpacz.

— Czy to koniec powiastki?

— Koniec. Zostaje tylko kilka słów dopełnienia. Dotyczą one tej drugiej siostry — słabej, osamotnionej, nieszczęśliwej...

— Któż zajął się nią?

— Ten, na kim ciążył obowiązek zajęcia się: narzeczony zmarłej, jedyny przyjaciel i opiekun siostr obu. Ale to już pewnie panią nie zajmuje...

— Co panu do tego. Mów. Dopiero dorożka położyła miała kres opowiadaniu, a jeszcze jej nie widać.

— Właściwie, niema już co opowiadać. Dzięki zabiegom opiekuna, sierota ma względny spokój i byt, na dziś, zapewniony. Ale jutro zastrasza ich oboje. Aby uspokoić się co do niego, opiekun podjął nanowo zaniedbaną sprawę procesową. Magnatowi o krótkiej pamięci stara się przypomnieć, że niekiedy i wobec kodeksu nikczemność nie bywa bezkarną. Czy jednak sierota prawa swe odzyska? Czy nawet, odzyskawszy je w ten sposób, będzie szczęśliwa? Ile razy mówi o tem, łzami zalewają się jej oczy...

— Ciemno-orzechowe...

— Zkąd pani wiesz o tem?

— Wiem więcej! Wiem, że ów opiekun... Ale dość. Oto przejeżdża próżna dorożka, która obojgu nam przywraca szczęśliwie swobodę. Żegnam pana. Czemkolwiek wypełnił się nasz dialog przymusowy, nie wątp pan ani na chwilę, że z całego serca wdzięczna mu jestem za... parasol.

— Nie! Pani nie odjedziesz, nie dokończywszy zdania! Mów, co wiesz o opiece? Nie rzucaj mnie z nie-domówionym na ustach wyrokiem! Zostań—albo do nóg ci padnę i odejść nie dam!...

— Ochłoń pan. Wszak tu idzie o... powiastkę.

— Nie! tu idzie o szczęście kilkorga istot żyjących!...

— A więc: ów opiekun... jest—więcej, niż opiekunem.

— Tak. Jest przyjacielem.

— Więcej, niż przyjacielem...

— I to prawda. Jest bratem.

— Więcej, niż bratem...

— Więcej, niż bratem?... A! w głowie mi się rozwidnia!... I ktoś to pani o tem powiedział?

— Oczywiście.

— Ciemno-niebieskie?...

— Tak.

— Zarumień się więc pani teraz lub zblednij. Te oczy... skłamały!

— Oczywiście nie kłamią.

— Skłamały!...

— Czyż więc nie były rzeczywistością przechadzki publiczne opiekuna z pupilą? Czy nie jest rzeczywistością znane miastu całemu jego zajmowanie się najdrobniejszymi jej sprawami?... zaspakajanie najdrobniejszych jej potrzeb?...

— Prawda. Ale rzeczywistością nie mogła być nigdy—miłość tych ludzi.

— Ach!... ach!...

— Na Boga! co pani?...

— Już nic... Usłyszałam tak dziwne słowa...

— Dziwne?...

— Nieinaczej. Cóż bowiem mogło przeszkadzać młodemu opiekunowi w zakochaniu się?...

— Chcesz pani poznać powód?

— O tak! chcę poznać...

— Więc słuchaj. Młodzieniec nie mógł się zakochać w swej pupilce, gdyż...

— Gdyż co?...

— Niestety, powieść urywa się w tem miejscu. Nadjechała właśnie dorożka...

— Nie chcę dorożki!

— Wyglądałaś jej pani tak niecierpliwie...

— A teraz nie chcę jej. Chcę... dokończenia powieści.

— Prośba, to więcej niż rozkaz. Młodzieniec nie mógł zakochać się w tamtej, gdyż... kochał inną.

— Co?... Jak pan powiedziałeś?... „Kochał“ czy „kocha?...”

— Czas tego słowa zależy od... pani.

— Wolę terażniejszy.

— Czy to przyzwolenie?

— Chęć...

— Już spełniona.

— Jak pan prędko się decydujesz!

— Biorę przykład z pani.

— Ze mnie? Ależ ja już od sześciu miesięcy na decyzję zdobyć się nie mogę...

— Przed sześciu miesiącami zbieraliśmy jagody w Kowalinie...

— Właśnie od czasu owych jagód...

— A... narzeczony?

— Nie mam go.

— Jakto? Czemże więc jest ów biało-różowy finansista, nieustannie towarzyszący pani?

— Strachem na niegrzeczne dzieci, które sprawiają innym dużo przykrości...

— Pani!

— Co panu?

— Już nic... Uklęknąć chciałem na chodniku...

— Zadzwoń pan lepiej do bramy, bo oto dom moich rodziców.

— Dzwonie, jakby na własny pogrzeb.

— Zmartwychwstawszy, nie zapomnij nas odwiedzić.

Należy się panu od rodziców podziękowanie...

— Za parasol?

— Za córkę!...

W M G L E

(ROK 1831)

Londyn wsiąknął w mgłę. Mówiąc wręcz: Londynu wcale nie było. Falował tylko bezkresny ocean brudno-żółtych oparów, wśród których poruszały się cienie bezkształtne i przeświecały jasne plamy.

Cienie były ludźmi; plamy — latarniami ulicznymi.

Wszystko to przesycił zapach pieczonej gęsi z jabłkami. A pospołu z tym zapachem unosiło się w powietrzu czarodziejskie, na miliony cząstek rozbite, milionem głosów dzwoniące słowo:

— *Christmas!*

... W wytwornej jadalni publicznej siedzi przy nakrytym stole piękny starzec i ku drzwiom wyczekująco spogląda. Gdyby mu przyprawiono długą, białą brodę, byłby „Świętym Mikołajem“, roznoszącym podarki gwiazdkowe. Ale nie ma brody, ani wąsów, tylko małe, mleczne kępki przy uszach oraz długie, srebrne pasma, spada-

jące na plecy. Jest przytem biało-różowy, pełny na twarzy, z oczyma silnie błyszczącemi. Siedemdziesiąt pięć wiosen, przeżytych w wygodzie, dostatkach, spokoju — przedewszystkiem w spokoju...

Usta mówiły co innego. Wykrzywiła je gorycz niezmierna, rozmyśłem ledwie powściągana; w kącikach osiadło szyderstwo. Gorycz zawiedzionego poety; szyderstwo uspokojonego mędrca.

Na stole cztery nakrycia. Porcelana, kryształ, śnieżna bielizna, — wszystko zalane blaskami świec woskowych, osadzonych w dwóch srebrnych kandelabrach. Obrus opięty gałazkami wiciokrzewu. *Christmas! Christmas!*

A w sali cicho, jak w kaplicy. I urządzenie jej jakby kapliczne. Wszędzie snycerszczyzna ciemna, szyby kolorowe, angielski gotyk, iak w Westminsterze. Przy innych stołach, w drewnianej nieruchomości — modlący się *clergymani*? Nie! oczekujący na wieczerę wigilijną biesiadnicy.

... Żółtym chodem posuwająca się w mgle, jakby drogę przed sobą macająca, karetą, zatrzymała się przed jadalnią. Z oświeconego rzęsiście przedśionka wypadła służba, pomogła wysiąść dwóm mężczyznom, w długie płaszcze okutanym. Po chwili, prowadzeni przez majordoma, wchodzą obaj do sali, gdzie siedzi starzec ze srebrnymi włosami poety.

Jeden z mężczyzn, skromnie wytworny, twarz ma szczupłą, wygoloną, o linjach prostych, delikatnych — twarz stworzoną do rzeźby w kamieniu lub bronzie. I spokój, który na tej twarzy gości, jest spokojem brązowego medalu. Nawet czarny frak na jego smukłej, nieokreślonych lat, postaci, układa się posągowo, klasycznie.

Ale niema spokoju w oczach tego mężczyzny, które zamglił smutek głęboki. Kto nań spojrzy pierwszy raz, powie: — Arystokrata... Kto nań spojrzy raz drugi, pomyśli: — Męczennik...

Tego, co z nim przybył, nie nazwie nikt arystokratą, ani męczennikiem. Rosły jest, mięsisty, zdrowia i siły pełny. Twarz ma okrągłą i także oczy; ruchy proste, energiczne. Widać po nim, że nie należy do tych, co się nieszczęściu i smutkowi poddają.

Naprzeciw przybyłych wyszedł biały starzec. W objęcia bierze starszego, całuje; potem pod ramię do stołu prowadzi, na pierwszym miejscu sadza...

— Mości książę... mości książę... — z rozrzewnieniem mówi, dłonie mu ściskając, w oczy się wpatrując, a wargi mu drżą, a tłumione łkania wyrzec więcej nie dają.

Niewiadomo, co dzieje się w sercu księcia — ale twarz ma nieruchomą, ruchy wytwornie spokojne. Gdy miejsca zajęli, pyta:

— Dla kogóż czwarte nakrycie?

— Dla tej, co choć niewidzialna, przed oczyma naszymi wciąż stoi, wszystkie myśli nasze zaprzęta... Dla tej, którą tam (ręką na Wschód wskazał) pozostawiliśmy omdlewającą z ran, półmartwą z hańby...

— Da Bóg, wrócimy do niej! — przemawia towarzysz księcia głosem, otuchę budzącym.

Księżę sięgnął po serwetkę. Zda się, że rozkładanie jej pochłania całą jego uwagę. Twarz ma kamienną — lecz cienkie, białe palce lekko mu drżą.

— Obchodzimy dziś podwójną uroczystość — mówi starzec — narodzenie Chrystusa Pana, oraz imieniny jaśnie oświeconego księcia. Już tobie, mości księżę, rano życzenia swe wyraziłem. Daruj, że nie mową wiązaną, — dziś na nią mię nie stać. *Cur non sum, qualis eram!* Myśl tu sama się nawija, o słowa prosi. Jak Adam był pierwszym człowiekiem w raju, tak ty, mości księżę, jesteś pierwszym Adamem w emigracji...

— „Adam pierwszy” — zauważyła okrągły mężczyzna — to brzmi prawie dynastycznie...

— Obyż i proroczy!..

Na blade policzki księcia padł pewnie odblask purpurowej w oknie firanki. Przez chwilę wydaje się zapłonionym.

...Po miękkim chodniku prześlizgnął się bez szmeru siwy, dostojny służący, z wazą w rękach srebrną. Postawił wazę na stole, zupę na talerze rozlewa.

Starzec sięgnął do leżącej przed nim dużej koperty.

— Mości księżę — mówi — i ty, panie Karolu, towarzyszu mych trudów, niegdyś literackich, dziś wygnanych! Szczęśliwy jestem (jak dziwnie brzmi to słowo w tej chwili! w naszym położeniu!), że mogę przełamać się z wami naszym polskim, rodzinnym opłatkiem. Prysłali mi go z Warszawy kochani Pijarzy, wdzięczni, zem im w roku 1812 swemi „Listami Litewskimi“ grosza napędził..

— Jakto, mości kasztelanie — wtrąca gruby towarzysz — cóż mieli do pracy waszej Pijarzy?

— Darowałem im ją, żeby swoim kosztem odbili. Ludziska „Listy“ rozchwytywali, grosz piękny stąd płynął. Dziś tak to wyniszczono, że sam dla siebie egzemplarza zdobyć nie mogę... Nawet moje „Śpiewy“ takiego powodzenia nie miały...

— Ważny szczegół bibliograficzny!.. Ciekawym, czy są „Listy“ kasztelana w zbiorach Puławskich?

— Muszą być. Natomiast ręczę, że ich *British Museum* nie posiada.

— Zaraz po świętach sprawdzę.

— Otóż maciel — uśmiechnął się księżę. — Literat z bibliografem na wybuchającym wulkanie gotowi o książkach rozprawić!..

Autor „Listów litewskich“ i „Śpiewów historycznych“ podnosi się z opłatkiem na talerzu, z towarzyszami nim się dzieli.

— Obyśmy za rok od dziś...

— Żadnych terminów! — przerywa książę. — W najlepszym razie termin posuńmy...

— Wy możecie — mnie pilno. Gdy kto trzy ćwierci wieku przeżył, już mu nie o lata chodzi. Dnie i godziny on liczy.

— Doczekamy wszyscy...

— Raczej wszyscy nie doczekamy...

Zabierają się prędko do zupy. Od własnych myśli uciec im pilno. Służący rozlał wino — choć to jednak stara, szlachetna madera, piją w obojętnym milczeniu, smaku nie czując.

— Temu lat pięć... — wzdycha bibliograf Karol.

— Poco sięgać tak daleko? — przerywa książę. — Temu rok — jakżeśmy inaczej wigilję obchodzili!

Cierpko uśmiechnął się poeta.

— Wam młodszym — mówi, w kieliszek się wpatrując, jakby poza nim nic go nie obchodziło — świeża przed rokiem nadzieja... Ale moje stare serce już wówczas przeczuwało nieszczęście... Stało się — żale nie pomogą. Ach, mości książę! cóż jest rok? cóż jest pięć lat? Ja pomnę, jak było temu lat pięćdziesiąt! Lustrowaliśmy wówczas wojsko litewskie z księciem generałem ziem podolskich, ojcem waszej książęcej mości, przy którym byłem adjutantem. Tabor za nami ciągnął w trzysta koni, sznur nieskończony jeźdźców, karet, kolebek, wozów... Rozwijało się



to, jak wąż o tęczowej łusce. Do dwudziestu podwód poszło pod same kuchnie, czternaście wielbłądów namioty dźwigało. Potem wigilja w Puławach — Boże mocny! Wiwatówki grzmia, aż ziemia się trzęsie; mnichy ciągną ze wsząd z winszunkami, z oracjami; gromady kmieci z pokłonem śpieszą; kolędnicy drą się w niebogłosy; kapela książęca rżnie „polskiego“; ogród cały w lampionach; z lochów toczą beczki; wrzawa, uciecha, szaleństwo... A książę generał siedzi na uboczu, brodę wygoloną głodzi i tylko się milczkiem uśmiecha...

Rozgorzały lica poety. Zamilknął. Wpatrzony w przestrzeń, do własnych myśli się uśmiecha. Nagle zasepił się.

— A dziś... Co za igrzysko fortuny!

Pochylił się, głowa mu opadła. Zdawało się, że mu w jednej chwili i czwarte ćwierćwiecze na barkach siadło...

Książę dotknął lekko jego ramienia.

— Przyjacielu — spokojnie mówi — stoikami jesteśmy, stoikami pozostaniemy.

Na twarzy poety znać walkę wewnętrzną, straszne zmaganie się z bólem, smutkiem, może z rozpaczą. Z wysiłkiem się prostuje, przygasłe oczy na towarzysza zwraca.

— Tak, stoicyzm... „Choć się świat cały z swych posad wyłamie, ty nieugięty nadstawiaj mu ramię“... Tak, stoicyzm... To jedno już nam tylko pozostało!

Księżę podnosi brwi wysoko. Po jego twarzy przebiega błyskawicą przerażenie. Błyskawica zgasła — księżę ze zwykłym spokojem mówi:

— A przyjaciele?

Lekceważące, w kącikach ust poety przyczajone, szyderstwo wydatniej się zaznaczyło...

— Alboż my mamy przyjaciół?!..

Zapadły te słowa w dusze tamtych dwóch. Zadumali się — każdy w myślach swych odpowiedzi na pytanie złowrogie szuka.

...Do stołu siwy dostojny sługa przysunął się, jak cień. Na srebrnej tacy kartę sztychowaną, herbami zdobną trzyma — księciu ją podaje.

— Gdzie ten pan? — pyta księżę, okiem na kartę rzuciwszy.

— Tu, *milord*. Przy dużym stole siedzi, pod zwierciadłem.

Uniósł się księżę na krześle, za siebie spojrzął — a tu już idzie ku niemu mężczyzna barczysty, z twarzą sangwiničną, z włosami rudawymi, nisko się kłania, przyźnie uśmiecha...

— Panie pułkowniku Staunton Saint-Clair! — wita go księżę, powstając — miło mi pana odpoznać. Nasza znajomość zawarta w Genewie, choć przelotna, w pamięci mi pozostała. W jakże innych warunkach dziś mię pan spotykał.. Wygnaniec dobrowolny, tułacz...

— Całem sercem współczuję... Ale nie traćmy czasu. Poznałem cię, mości księżę, choć się zmieniłeś; położenie wasze znam. Posiadam na wyspie Wight dom obszerny, wygodny. Zapraszam do siebie księcia z rodziną i tu obecnymi przyjaciółmi. Będę szczęśliwy, jeśli zabawicie u mnie długo, jaknajdłużej — bodajby do końca życia. Czekam listu z decyzją.

Kłania się i znika.

W tejże chwili nowa karta i nowy znajomy.

Wysoki, chudy irlandczyk pozdrawia siedzących.

— Posłyszałem rozmowę panów. Kocham Polskę i jej synów walecznych a nieszczęśliwych. Jestem stary kawaler, zamożny i samotny. Swój piękny zamek nad morzem oddaję na użytek księcia i jego rodaków. Będę dumny, jeśli ofiarą mą nie wzgardzicie. Czekam listu z decyzją.

Kłania się i znika.

Po Irlandczyku, zjawia się Szkot; po Szkocie przedstawiciel *Old England*; potem *whig*, potem *tory*, potem inni jeszcze. Wszyscy kładą karty z adresami, ofiarowują gościnność, proszą o decyzję, kłaniają się — nikną.

Po pewnym czasie, przed trzema Polakami piętry się stos kart herbowych, pięknie sztychowanych, w godła, dewizy, armatury, emblematy, zdobnych.

Księżę mówi do poety:

— Otóż widzisz, *amice*, że nie sam stoicyzm i nie sama rezygnacja nam pozostały...

— Cóż więcej?

— Nadzieja.

— Na czym ją opierasz, mości księżę?

— Na przyjaciółach. Patrz, ilu ich mamy. Dobrzy, poświęcający się, serdeczni. A wśród serdecznych przyjaciół...

— ... psy zająca zjadły! — kończy poeta wierszem biskupa Warmińskiego.

I w kącikach ust znów mu gorycz z sarkazmem zmieszana osiada...

Ł A T K A

Odrzuciłem książkę ze wstrętem. Zdawało mi się, że ma wszystkie karty krwią poplamione. Ten tryumfalny pochód marszałków, wodzów naczelnych, generałów, stracił odrazu w moich oczach wszystkie blaski, jakimi przystroić go chciała historia. Nie widziałem w nim nic więcej nad ohydny korowód rzeźników... gorzej: oprawców... gorzej: zbójców.

A owo najwyższe wcielenie siły pięści, owo pogańskie bożyszcze naszych dziadów, ów Napoleon, zwany „wielkim”, jakże duchowi memu wydał się mały i nędzny! Cóż on wyobrażał? czemu służył? do czego zmierzał? Za nim rzeki krwi, morza łez, spalone miasta, zdeptane pola, matki bez synów, dzieci bez ojców, głód, zgliszcza, przekleństwa... Przed nim—rozwarta otchłań, ku której ognistym biczem Eumenid pędzi, chłoszcząc, fatalność...

I to się nazywa bohaterstwo! i to się ludziom za wzór do naśladowania stawiał i to mają dziejopisowie sławić, poeci opiewać, artyści unieśmiertelnić!

Ha, czemu są dzieje całe, jeśli nie rzezią potworną? Czemu rozwój polityczny, jeśli nie szatańskim sabatem dławiących się wzajem widm i upiorów? Ludzkość po wszystkie czasy zaślepieniem swem urąga jasnemu słońcu, krwawymi walkami klóci się z pogodą błękitnego nieba, — nienawiścią i złością zamąca wielką miłą harmonię, jaka panuje w przyrodzie.

Odrzuciłem książkę, wybiegłem z mieszkania.

W myślach miałem mrok i zamęt, w sercu ściśnienie bolesne. Łaknąłem światła, powietrza, ciszy. Czulem, że nikt mnie tak tkliwie nie ukoi, jak ta, którą wszelkie stworzenie nazywa matką, której oczami są gwiazdy, mową pioruny, szatą zieleń łąk, kwiatami przetykana.

Przed wieczorem spadła ulewa. Krople rosy stały na liściach. Słońce zachodziło wśród mgieł i oparów. Wszystko dokoła w świetle pomarańczowem leżało.

Roje muszek wirowały w powietrzu, brzęcząc cienko, jak kwinta skrzypcowa. Gołębie drobnym kroczeniem biegały po mokrych gontach dachu, podlatując do góry, gdy się któremu łapka poślizgnęła. Wróble stroszyły piórka, dziobki wycierały o gałęzie.

Od lasu, który płonąć się zdawał, szły zapachy silne; od rzeczulki, nad którą czołgał się obłok żółtawo-żółty, płynęła świeżość miła, rzeźwiąca.

Ukochany mój ptaszek, w sitowjach ukryty, ćwierkał i świstał, piał i trylował. Niekiedy milknął na chwilę, jakby nasłuchując czy mu się kto nie odezwie.

Znęcił mię śpiew ulubieńca; nad wodę poszedłem.

Miała barwę topazu złotego. Rosnące na brzegu drzewa wyglądały jak bursztynowe. Co chwila odzywało się pluśnięcie, i wyskakiwała rybka, aby pochwycić ulatującego nad falą robaczka. To znów z wysokiego brzegu ciskała się w odmet żaba, pływakowi podobna lub samobójcy, i rozpląszczywszy się w wodzie, odpływała ku gnijącemu w głębi pniowi.

Usiadłem na kładce, którą położono tu, aby mokre i różowe stopki Niny, z kąpeli wychodzącej, miały bezpieczne oparcie.

Usiadłem w zamyśleniu głębokiem, dając ucho i serce głosom, składającym się na muzykę letniego wieczora.

Były to głosy strojne i słodkie; były to głosy samej tylko przyrody. Nie mieszało się do nich nic zgoła, coby pochodziło od człowieka, będąc echem jego namiętności. Ptak, rzeka, sitowie, żaby, muszki, komary—oto byli jedyni tej czarodziejskiej kapeli muzykanci.

Dusza moja, przed chwilą wzburzona i mętna, poczęła zwolna wygładzać się, nabierając kryształowej przejrzystości. Nasiąkałem otaczającą mnie harmonją, jak brylant słońcem. Cichły też myśli moje, nakształt strun, pozostawionych w spoczynku.

Ale, jako echo oddalającej się nawałnicy, huczało mi jeszcze chwilami w myśli wspomnienie owej strasznej książki o kartach krwawych. I razem z poczuciem osobistego zadowolenia wciskała się do serca litość nad bratem człowiekiem...

— Zaprawdę—myślałem—ostatnie dostał on miejsce w kole istot ziemskich. Oczy jego patrzą na obrazy niebiańskiego spokoju, a duszę rozdziera szal piekielny. Otacza go piękno, które jest dzieckiem harmoniji, a sam wytwarza potworność, która się rodzi z zamętu. Przyroda cała oddycha szczęściem; wszystko, co żyje, cieszy się z życia; w długim łańcuchu stworzeń pojedyncze ogniwa zespala miłość wzajemna; — on tylko jeden, nieszczęsny i przeklęty, dzwiga klątwę wiecznego niepokoju, wiecznych pożądań, wiecznej walki!

Gdym to mówił, oczy moje padły na śliczną łątkę, o szklanych, różowo i błękitnie połyskujących skrzydełkach, która kołysała się niedaleko stamtąd na listku olszyny.

Smukła, zwinna i tak lekka, że ją słaby powiew wiatru, jak źdźbło słomy, podrywał, zdawała się bezcielesnem prawie wyobrażeniem wdzięku, lotności, psotnego, chchlikowego czarodziejstwa.

Można było sądzić, że prócz oka, które najidealniej rzeczywistość pojmuje, żaden zmysł inny nie odczułby jej obecności...

Skrzydółka owadu mieniły się w słońcu wszystkimi barwami tęczy; złotawe, wypukłe oczy gorzały, jak dwa świętojańskie robaczki; cienki tułów wyginał się, jak stalowa sprężyna.

Chwilami wydawała się tylko plamą barwną, optycznym, grą światła wywołanym majakiem, który zszarzeje i zniknie wraz z zagaśnięciem słonecznego promienia...

I znów umysł mój posmutniał. Nasunęło mu się porównanie między tą uroczą, napół uduchowioną istotą a człowiekiem. Jakaż przepaść ich dzieli! Z jednej strony—wdzięk idealny, rozplywający się w słońcu i błękitcie; z drugiej—gruba cielesność, popędy brutalne, krwiożerczość zbrojecka...

Nagle uroczą łątkę zatrzepotała skrzydełkami i sfrunęła z liścia. Nie odleciała jednak daleko. O dwa kroki stamtąd, w zagłębieniu leszczynowego krzaku, wirowało stadko ruchliwych, świeżo wyklutych, wesoło brzęczących muszek. Rozkosz istnienia o szal je przyprawiała. W środek tego stadka łątkę wbiegła szybko, zawirowała,—po kilku prędkich, jakby walcowych, obrotach na poprzednie miejsce wróciła.

W chwilę później, nowy odlot i nowy przylot... I odtąd co kilka sekund powtarzały się owe błyskawiczne do rozbawionych muszek wycieczki. A zawsze, siadając z powrotem na liściu, śliczny owad wesoło skrzydełkami machał, główką kręcił rozumnie...

Wyglądało to jak taniec fantastyczny, w którym koryfejką była łąka, muszki zaś kordebaletem.

Gdy urocza taneczniczka po raz piętnasty może zabierała się do swego popisu zręczności, między gałęzie wpadł, jak kula, tłusty, zadyszany wróbel i z liścia ją spłoszył.

Szybkiem, prostopadłym ruchem uleciała w górę, — z oczu mi znikła.

Dziwna, niewytłómaczona ciekawość pociągnęła mnie pod krzak leszczyny, kazała przyjrzeć się z bliska liściowi, na którym przed chwilą kołysała się skrzydlata ballerina.

Oślupiałem.

Liść pokryty był całkowicie świeżymi trupami muszek...

Leżało ich tam kilkanaście; wszystkie miały łebki zgniecione i ze krwi wysane.

To, com brał zdala za obroty taneczne, było szeregami zbójceckich napadów. Każdy napad płacała życiem niewinna, ciesząca się istnieniem, siłom twórczym ufająca, istota.

Gdym tę rzecz ohydną poznał, wszystko dokoła zbrzydło mi naraz i pociemniało.

I w przerażeniu najwyższym zawołałem:

— A więc to — prawo?!...

KWINTET

(Z MELODJI ŻYCIOWYCH)

Mieszkający na pierwszym piętrze fortepian napelniał hałasem całą kamienicę.

Na facjatach dźwięki jego świegotały, niby stado jaskółek; w suterrenach huczały jak bąki; w sieniach kłębiły się zbitymi falami lawy, a po dziedzińcu rozplywały szeroką płaszczyzną, nakształt wylanych z balji mydlin.

Dźwięki te wstrząsały domem od fundamentów do szczytu. Mury nasiąkłe były nimi, jak wilgocią.

Fortepian odznaczał się usposobieniem lekkim i wesołym. Podrygiwał zawsze w takt polek i walców, śmiał się do rozpuku melodjami Offenbacha i jego braci. A choć nieustanna wesołość bywa dla innych drażniąca, jemu ją przebaczano. Tyle miał w sobie młodzieńczej, chwytającej za serce, świeżości...

— Szczęśliwy! — mówiono — Jeszcze mu się życie uśmiecha! Jeszcze nie doznał bólów ani rozczarowań!...

Na poddaszu tejże kamienicy skromną izdebkę zajmował flet.

Spokojny to był lokator i wielce uczuciowy.

W ciągu dnia nie było go słycać; odzywał się dopiero rankiem wczesnym i o zmroku. Gdy księżyc świecił i ciszy nic nie mąciło, nieraz do północy przeciągał swe jęki i wzdychania.

W takich chwilach zdawało się wszystkim, że ktoś w górze odkręcił kran od zbiornika melancholji, która leje się i leje—grożąc zatopieniem całemu domowi.

Zresztą, ta melancholja słodka była i przyjemna. Po bożnych usposabiała do modlitwy, czułych do kochania. Wszyscy pod działaniem jej ocierali oczy i nosy, i dobrze im się czyniło na sercu.

Ale choć wynurzeń fletowych słuchała cała kamienica, widoczne było, że zwracają się one głównie do jednego tylko wybrańca. Był nim—fortepian.

Kto zna się na mowie instrumentów, ten w głosie fletu słyszał najwyraźniej miłośne zaklęcia, wysyłane pod adresem mieszkającego na pierwszym piętrze pustaka.

— Gwiazdo moich marzeń! brylańcie mego serca! najśliczniejszy, najdroższy fortepianie! — śpiewał flet głosem słowiczym. — Ty jeden mógłbyś ukoić tęsknotę, która mnie zabija; ty jeden posiadasz władzę nad moim sercem i nad memi myślami. Kocham cię, najmiłszy instrumencie, i umrę, jeśli miłości twej nie pozyskam.

Przy blasku słońca marzę o tobie; w nocach bezsennych mam cię nieustannie przed oczyma. Omdlewam z niemocy; usycham, jak trawa podcięta, przepalając się uczuciem niepodzielnem. Kochaj mnie, fortepianie, jeśli nie chcesz mieć śmierci mej na sumieniu!...

Fortepian w odpowiedzi śmiał się, chichotał, swawolił — i nigdy nuta serdeczna na strunach jego nie zadźwiękła.

Tymczasem otwierało się okno na facjatce i przyłączał się do chóru najszlachetniejszy z instrumentów: głos ludzki.

Był to sopran, kryształowo czysty, drżący uczuciem nieświadomem jeszcze siebie a głębokiem.

Sopran odświeżał duszną atmosferę kamienicy, jakby rosą niebiańską. W tej rosie kąpały się wróble, zlatując z rynien, i źdźbła trawy, która zdołała wyrosnąć pomiędzy kamieniami dziedzińca; kąpały się w niej także serca ludzkie, bardziej od ptaków i traw rosy takiej potrzebujące.

Sopran śpiewał pieśni nabożne oraz niewinne strofy sielankowe, w których była mowa o pasterzach, wstążeczkach różowych i gołąbkach. Był wcieleniem dziewiczej poezji.

Ale choć uosabiał zarazem dziewiczą niewinność, nietrudno było odgadnąć, że ta sama nić, która wiąże

flet z fortepianem, mota węzeł pomiędzy sopranem a fletem.

Nieinaczej! Strumienie melodji z sopranowej facjatki kierowały się zawsze w stronę fletowego poddasza. Gdy zastały okienko zamknięte, pukały doń — a pukały tak nieśmiało i wstydliwie, jak Zosia Horeszkówna do śpiącego na sianie Tadeusza...

I zdawało się, że sopran z fletem utworzą rychło zgodną parę. Tak były do siebie podobne! Tyle się wspólnych rysów w nich odnajdywało!

Stało się przeciwnie...

Flet tak był zajęty fortepianem, że lękliwych pukań soprana nawet nie zauważył.

Dla pieśni sopranowych okienko poddasza było zawsze zamknięte. Odbijały się one od niego ze smutnem westchnieniem, biegły wyżej, ponad dach kamienicy, do gwiazd złotych i do Tego, który mieszka nad gwiazdami...

Trójgłos, złożony z zapustnej wesołości fortepianu, namiętnych skarg fletu i idealnego wzdychania soprano, dość długo ożywiał bezduszne mury kamienicy, nigdy nie mogąc spłynąć w akord harmonijny.

Dźwięki goniły się wzajem i dogonić nie mogły. Każdy pochodził z innego świata, każdy pożąda czego innego, — zdawało się, że jakiś chochlik przekorny odgradza je od siebie nieprzebytemi zaporami.

Jednego dnia wprowadziła się na drugie piętro tejsze samej kamienicy trąbka chromatyczna.

Była to jedna z najdzielniejszych i najbardziej dziarskich trąbek, jakie kiedykolwiek wygrywały tony i półtony. Każde jej zadęcie świadczyło o temperamentcie sangwinicznym, o krwi bogatej, o zmysłach zdrowych. *Tempo di marcia* było jej rytmem zwyczajnym.

Trąbka zajęła mieszkanie tuż po nad siedzibą fortepianu, i zaraz pierwszego dnia ostrym i rozgłośnym pasażem obwieściła kamienicy swą obecność.

Fortepian umilkł — zdziwiony, gniewny. Milczenie jego zdawało się mówić:

— Coż to za śmiałek? Chce chyba, żeby go za bramę wyprowadzono!..

Zaraz potem rozpoczęły się na nowo przerwane rulady śmiechu i skoki operetkowe — co wszystko brzmiało tym razem w drwiącym, ironicznym tonie.

Ale trąbka nie ustąpiła.

Śmiechem odpowiedziała na śmiech, ironią na ironię, drwinami na drwiny.

Przez kilka dni kamienica doświadczała niemałej uciechy, przysłuchując się kłótni dwojga zapaśników, równych sobie werwą i uporem.

Wreszcie fortepian uczył zmęczenie.

Powstrzymał wybuch szyderskiego śmiechu. Spokojniejszym tonem zapytał:

— Coś za jedna? Czego chcesz odemnie?

Trąbka, nie zmieniając głosu, odrzekła:

— Jestem zapaśnikiem silniejszym od ciebie i żądam, abys mi się poddał!

— Ho, ho — nic z tego! — zaśmiał się swawolnie fortepian. — Nie tacy, jak ty, chcieli wziąć nademną przewagę, i—odejść musieli z kwitkiem.

— Ale ja nie odejdę.

— Odejdziesz!

— Nie odejdę.

— Zkądże ta pewność?

— Ztąd, żem już raz dostrzegł jak zachwiałas się i byłaś blizka zawołania: *pardon...*

— Była to słabość przemijająca...

— Która jednak dowodzi, żem silniejszy od ciebie.

— Chciałżebyś siły nadużyć?

— Tak.

— To barbarzyństwo!

— Nie, to miłość.

— Tak dzika?

— Tak namiętna!

— Lękam się jej...

— Dodaj: i pożądam...

W odpowiedzi fortepian zaczął się śmiać tak szalenie, jak nigdy jeszcze. Był to prawdziwy fajerwerk pustej wesołości. Gdy fajerwerk wypalił się wreszcie

i zgasł, wybiegły pod adresem trąbki następujące słowa:

— Jesteś, moja trąbko, instrumentem niesłychanie zarozumiałym. Wiedz jednak, że zarozumiałością nic ze mną nie zdziałasz!

— Zobaczymy.

— Zobaczymy!

Okna zamknęły się; rozmowa ucichła.

Nazajutrz, kamienica miała niespodziankę: trąbka chromatyczna zalecać się poczęła do sopranu. A były to zalecanki nie byle jakie. Ile tylko namiętności zmieścić może pierś męska, zdrowa i silna, tyle jej drżało w metalicznych tonach rozkochanego instrumentu.

Histeryczki, słuchając, dostawały spazmów; mężowie zazdrośni kazali żonom uszy wata zatykać; nawet wróbllice na dachu zataczały się, jak pijane, podsuwając samcom rozchylone dziobki...

Ale dla idealnego sopranu język namiętności był niezrozumiały. Zdziwił go i przestraszył. Na facjatce, przed miłością aż tak płomienną nie tylko zamknięto okno, lecz jeszcze zapuszczono roletę i drzwi zaryglowano.

Trąbka jednak grzmiała dalej.

— Co to będzie? co to będzie?... — szeptały echa, przyczajone w zagłębieniach murów.

Ku wieczorowi trąbka zamilkła. Zaraz potem przemówił — fortepian.

Jak dziwne było to przemówienie! Można było sądzić, że inna dusza wstąpiła w pierś instrumentu.

Nie śmiał się on teraz, ani szalał, ani drwił. Jakaś cicha, korna prośba, jakieś tłumione łkania, jakieś szepty rzewne a namiętne płynęły ze strun i na skrzydełkach słowicznych ku drugiemu piętru podlatywały.

Trąbka wówczas zagrzmiała raz jeszcze krótko a rozgłośnie.

Był to okrzyk zwycięstwa.

Z poddasza odpowiedział flet — jękiem.

Odtąd przez czas długi trąbka z fortepianem wygrywały najcudniejsze duety. Wygrywały je dniami i nocami, o złotych rankach i o zmierzchach srebrnych. W kamienicy nic słyhać nie było, prócz tych duetów miłośnych.

Ludzie ludziom, ptaki ptakom, drzewa drzewom z zachwytem i z zazdrością powtarzały:

— Jakże się kocha dwoje tych instrumentów! I jakże dobrana to para!

Strona żeńska dodawała jeszcze:

— Ci to z pewnością nigdy kochać się nie przestaną!

A po stronie męskiej słyhać było pomruki.

— Hm, hm... he, he... ho, ho...

Jednego rana słońce świeciło mniej złościście, niż zwykle. Powiał chłodny wiatr, potargał pierze ptakom,

otrząsnął liście z drzew, zmieszał melodję głosów muzycznych i ludzkich.

Tego rana, trąbka zagrała *solo* „Marsz wojenny“ i — opuściła kamienicę.

Na pierwszym piętrze cisza zaległa grobowa.

Ze smutnem zdziwieniem, wróble wychylały łebki z pod dachówek, podwórzowe akacje wstrząsały przeredzonymi koronami, czekając daremnie na śmiech fortepianu, do którego przywykły.

Fortepian milczał, jak zaklęty.

Milczał także flet, jakby obezwładniony boleścią. I tylko sopran modlił się po dawnemu i tęsknił po dawnemu...

Upłynęło kilka miesięcy, pełnych męczącego niepokoju.

Nareszcie fortepian przemówił. Przemówił głosem nieswoim — pożyczonym, zda się, od kogoś najniez szczęśliwszego z nieszczęśliwych.

Ze strun jego wypłynęła „Kołysanka“. Była to kołysanka tak smutna, i rozpłakana, jakby nią usypiano do snu wiecznego...

Zaraz potem przebudził się z letargu i flet. Przebudził się — choć lepiej byłoby dlań, gdyby zapadł był w głuszę wieczystą.

Biedny instrument dostał obłądu!

Serce ścisnęło się przy słuchaniu jego melodji splątanych, wybuchów chorobliwego szału i zgrzytliwych dysonansów. Rozpoczął nieustannie jakiś romans sentymentalny, które go nigdy niekończył. Pokilku taktach spokojnych i słodkich, tony wpadały nagle w furję, śmiały się, kęły, przedrzeźniały fortepianową kołysankę i kończyły najstraszliwszym zamętem przykrych dla uszu rozdźwięków.

Kamienica pełna była teraz smutku i melancholji. Ludzie chodzili osowiali; ptaki siedziały nieruchomo, najeżywszy pióra; drzewa, zrzuciwszy ostatek liści, skrzybiały ponuro konarami, nagimi jak kości skieletu.

Boleść fortepianu budziła we wszystkich sercach współczucie. Ocierano łzy, słysząc pieśń monotonna, którą nieustannie, od rana do późnej nocy, z uporem maniaka powtarzał.

Fletowi zaś urągano.

— Patrzcie go! — mówiono, szydząc. — Zachciało mu się duetów z fortepianem! Także! Śliczna para, niema co mówić: palisandrowy fortepian z pierwszego piętra i bukszanowa piszczałka ze strychu!

Niecierpliwi dorzucali z pasją:

— Trzeba tego kpa odesłać do szpitala! Czyż podobna, żeby porządnych ludzi bzikami swymi niepokoił? Póki był osłem zwyczajnym, było jeszcze pół biedy; ale dziś został już osłem dardanelskim! królem osłów! osłem nad osłami!...

Nad nieszczęśliwym litował się tylko sopran—pomimo, że jego miłością wzgardził niegdyś flet, szalem innej namiętności opanowany. Idealiści zawsze są gotowi do przebaczenia uraz, do dzielenia się sercem nawet z wrogami...

Z tkliwością siostrzaną wyśpiewywał sopran biednemu szaleńcowi słowa pociechy i uspokojenia. Czynił mu dar bezinteresowny ze swej przyjaźni, doradzał modlitwę, odsyłał do Boga...

Nie pomagało to.

Flet był już zupełną ruiną, z której cud tylko mógł poprzednią, harmonijną całość odtworzyć. A na cuda dziś już zapóźno.

Sopran, mimo największych wysiłków, nie rozprasał melancholji swego przyjaciela; sam natomiast, bezwiednie, melancholją nasiąkał.

I stało się wkrótce, że do dwóch zrozpaczonych przybył trzeci—ze wszystkich najtkliwszy i najmniej własnej winy na sumieniu mający.

Kamienica tonęła teraz w oceanie czarnej melancholji—i wszystko, co w niej żyło, zwracało się do nieba z westchnieniem:

— Czyż żadna moc tej klątwy z nas nie zdejmie?...

Los tę moc zesłał.

Zjawiała się ona pod postacią innej lokatorki, która z hałasem wielkim wniosła się do mieszkania na parterze, zajmowanego przez jadalnię publiczną.

Była to okazała, przysadzista, pewna siebie i pomiatająca wszystkimi—szafa grająca.

Od dnia, w którym szafa zagrzmiała swą pierśią potężną, wszystkie inne głosy w kamienicy zamilkły.

Tak jeden ryk osła zagłusza całe stado słowików...

BAZYLIKA

Odkąd jestem w Wenecji, najmniej patrzę na rzeczy najwidoczniejsze. Stanowi to już zresztą właściwość mojej natury. Piękności, które milion piór opisało, milion pędzli na płótno przeniosło, milion spojrzeń bezmyślnych sprofanowało, nader słabo mnie pociągają. Nie byłbym zdolny zakochać się w kobiecie, której urodę cały świat zna i podziwia, i której wizerunki wystawiane są na pokaz w miejscach publicznych.

Cała *Piazza* i cała *Piazzetta*; wszystkie na nich marmury i wszystkie przy nich gmachy; smukłe *pili*, powiewające w każdy dzień uroczysty flagami narodowymi i para monolitów potężnych, które zdają się strunami dwiema, między niebem a ziemią naciągnionymi—wszystko to o wiele więcej zachwyciłoby mnie, gdyby było mniej znane, mniej chwalone, mniej spowszedniałe...

Ile razy z ustami otwartymi stanę przed którymkolwiek z tych cudów, zaraz mi przychodzi na pamięć całe

szeregi lichych płócien, na których go odtwarzano. Usta zamykam, stygnę w zapale i niosę swój zachwyt gdzieś — do jakiegoś zaułka, o którym żaden przewodnik nie wspomina, pomiędzy groby weneckie, gdzie tylko jaszczurki w suchej trawie szeleszczą, — na *ghetto* wreszcie, gdzie Szajlok bez żółtej czapki kupczy podrabianymi Tyccjanami, patrząc pobłaźliwie, nawet zachęcająco, na umizgi tużurkowych Lorenzów do jego niedomytej Jesyki...

Jednak Bazylika jest wspaniale piękna, posiada bowiem to, co Wiktor Hugo pragnął widzieć na paryskim Łuku tryumfalnym: pleśń przeżytych stuleci. Ta pleśń właśnie, ta archaiczna „patyna“, za którą starożytnicy tak bardzo się ubiegają, drogocenniejsza jest dla mnie nad wszystkie złotniczo - kamieniarskie skarby: nad pięćset kolumn marmurowych, zdobiących czoło i wnętrze Bazyliki; nad mozaiki precudne, któremi z rozrzutnością heljogabalową wyłożono jej ściany, sklepienie i posadzkę; nad posągi białe, duchom ulatującym podobne; nad misterne wypukłorzeźby Sansovina, którym dniami całemi przyglądać się można, nieustannie coś nowego w nich odkrywając; nad ten klejnot ponad klejnotami, który zowie się *pala d'oro* i, nakształt Eucharystji, w rzadkich tylko chwilach tłumowi bywa okazywany; wreszcie nad czwórkę tych koni ze złoczonego brązu, które z rzymskiego Łuku Nerona, przez Bizancjum, tu się

dostały i w łunie zachodniej płoną ogniście, jak rumaki z Eljaszowego rydwanu...

Wieczorami, gdy na placu św. Marka zabłyśnie uroczysta iluminacja, i nocą, w ulewie drżących, zielonawo-srebrzystych promieni, Bazylika nabiera nadziemskiej piękności rzeczy wskrzeszonych. Wówczas, ta cała ciężka, osadzista, ozdobami przeładowana masa, staje się lotną, nieważką, mirażowi podobną, którego pierwowzór istnieje kędyś daleko, w niematerjalnych sferach — pozaświecia. Wówczas też blade za dnia mozaiki ożywiają się i wypukleją, złote rumaki do lotu się rwą, i świątynia, skrzydłami aniołów wzruszona, rośnie, chwieje się — od ziemi, rzekłbyś, odrywa...

Zachwyt i trwoga ogarniają mnie, ile razy o późnej godzinie, wśród zupełnej ciszy i samotności placu, widzenie to spotkam. Cmentarny charakter Wenecji uwydatnia się wówczas z całą potęgą niezmiernego, beznadziejnego smutku. Miasto-upiór ciągnie za sobą w tajemnicze, majakami przeszłości wypełnione, otchłanie. I widzę wówczas, jak niewłaściwym jest dla ludzi smutku to miasto, melancholją nasiąkłe, i jak unikać go powinni wszyscy, którzy się w smutku swym nie kochają, lecz uspićby go pragnęli i znieczulić.

Po kilka razy zachodziłem do wnętrza Bazyliki — zawsze przelotnie i zawsze na krótko. Raz natrafiłem na nabożeństwo solenne. Świątynia pełna była blasku, biją-

cego od złociń, od kryształów, od sukien kobiecych barwnych, krzykliwych, papuzich. Chmury niebieskiego, wonnego dymu pod sklepienie się wzbijały, przesyte tu i owdzie brylantowemi strzałami słońca. Dzwoniono hałaśliwie, jakby lubując się w ostrym, szarpiącym nerwy zgiełku. Ile razy dzwonki ucichły, odzywał się śpiew i muzyka. Wykonywano na chórze arje operowe, które w teatrze przypominałyby kościół; w kościele przywodziły na myśl teatr. Skupić w zamęcie takim myśl i podnieść ją aż do Boga, potrafi tylko włoch — albo francuz. Dla mnie okazało się to niemożliwem. Wyszedłem z olśnionym wzrokiem i pełnemi zgiełku uszyna, odczuwając całą różnicę temperamentu i wrażliwości, jaka dzieli Południe od Północy.

Kiedyindziej, wstąpiłem tam w porze przedwieczornej, gdy już pora nabożeństw minęła, szare zmierzchy kładły się po ścianach, i ufać mogłem, że w mieszkaniu Boga, z Nim tylko jednym znajdę się sam-na-sam.

Omyliłem się.

Przed wejściem, z natręctwem zgłodniałej muchy, rzucił się na mnie przewodnik; trzech innych oskoczyło mnie w kruchcie; piąty włożył się za mną po całym kościele, jak zmora, nieubłagany, nieugięty, niedający odpędzić się milczeniem, prośbą, ani groźbą.

W świątyni, zamiast ciszy, zastałem gwar rozmów włoskich, francuskich, angielskich. Gromadki turystów,

których narodowość stopień ruchliwości i krzykliwości wskazywał odrazu, przechodziły od ołtarza do ołtarza, od posągu do posągu, od mozaiki do mozaiki, wiodąc głośnie djalogi, zasypując pytaniami przewodników, którzy jarmarcznym, zachrypłym głosem wypowiadali swe banalne objaśnienia.

Poprzednio znalazłem się w teatrze, teraz w galerji publicznej. Domu modlitwy napróznom dotąd szukał.

Zresztą, choć to wygląda na paradoks, powiem, że i modlitwa jest tu inna i sposób modlenia się nie taki, jak u nas. Włoch gotów zaśpiewać w kościele, na chwałę bożą, *cavattine* z „Cyrulika sewilskiego“... Czuć w tem pokrewieństwo plemienne z Hiszpanią, gdzie w miłym chłodku świątyni chrześcijańskich damy pijają czekoladę chrupią biszkopty, obdzielają się wzajem ploteczkami.

Oto naprzykład w cichej kaplicy, której wielkie, słońcem zalane okno szkarłatną oponą zasunięto, daje się słyszeć prędko bucików stukot.

Drobnym, szybkim krokiem wbiegła wenejanka, cała w koronki spowita i, mimo upału i zmęczenia, matowo-biała. Przypadła do stojącego pod murem kłęcznika o rzeźbioną deskę się wsparła. Koronkę z twarzy odrzuca i zanim jeszcze pozdrowiła Boga, pośpiesznie się wachluje. Wielki, purpurowy wachlarz migoce w jej ręce, jak krwawa błyskawica; przymknięte [oczy, rozchylone usta, błyskająca z pomiędzy nich białych ząbków

emalja, cały wyraz twarzy, w gorących, czerwonych odblaskach skapaniej, mówić się zdają:

— Ach, jak mi dobrze! Ach, jak mi tego było potrzeba!...

Uspokoila się wreszcie, odpoczęła. Wachlarz zamyka i odkłada na stronę, poprawia fałdy koronkowej zarzutki, łokcie opiera na klęczniku, palce rąk zaplata. Wyraz jej twarzy zmienił się. Rozkoszne rozleniwienie odaliski ustępuje miejsca czujności kobiety zalotnej, na ustach zjawia się półuśmiech, policzki różowieją, czarne oko strzela ku niebu ogniście, — z warg szkarłatnych, z falującej piersi wybiega szept, westchnieniami krótkimi przerywany:

— Jezu, skarbie mój!... Jezu, serce moje!... Jezu, miłości moja!...

A oto inny obrazek z natury.

Noc. Zaulek na krańcach Wenecji. W zagłębieniu muru posążek Madonny, doniczkami z kwieciem ostawiony. Przed posążkiem mała lampka czerwona, której płomieniem wiatr chwieje. Księżyc to wypływa z za chmur, to się za nie chowa. Woda w kanale pluszcze, mruży, szemrze, jakby ktoś razem: modlił się, całował i płakał.

Pod kamienne schody podpłynęła milczkiem łódź czarna. Wsiada z niej kobieta w chustce dużej; pod chustką coś ciężkiego ukrywa. Wsiada, i jęcząc, ciężar swój pod stopy Madonny niesie. Zbliżyła się—chustkę odkrywa

—na kamieniach składa... dziecko. Dziecię jest chore, bezsilne, od gorączki nieprzytomne. Nawet płakać nie może.

— Prędko wrócić? — pyta przewoźnik.

— O zorzy!

Rzuciła się na kolana, włosy jednym szarpnięciem rozplotła—modlitwę rozpoczyna. Modli się o zdrowie dziecka. Dziwna to modlitwa! Kobieta nie prosi, lecz się upomina; nie korzy się, lecz wygraża; nie płacze, lecz zgrzyta i wyje. Jest to jakby zacięta obrona lwicy, której porwać chcą lwiątko. Przez kilka godzin słyhać Prometeuszową walkę człowieka z ciemnością—walkę, przerywaną długimi pauzami martwej ciszy, a powtarzaną stokrotnie przez echa kanałów i lagun...

Tak się w Wenecji modlą.

Wiem już także, w jaki sposób w drogę wieczności wyruszają.

Od czasu do czasu, na wystawach sklepowych spotykam niewielkie kartki z czarną obwódką, niedbale pomiędzy towar rzucone. Z początku zgadnąć nie mogłem co one znaczą; dziś wiem, że są zawiadomieniami o śmierci.

W *pasticcieri* pomiędzy ciastkami, w *pollerii* wśród oskubanego drobiu, w *latterii* na oselkach sera, u szewca w cholewce bucika, u winiarza pod pękatą butlą marsali, u cyrulika między słojami pijawek, bielą się te biuletyny

śmierci, w których prócz wąskiej, czarnej obwódki, nic zresztą żałobnego niema. Styl nadęty, teatralny, panegiryki zeszlowieczne i współczesne reklamy przypominający, odbiera im nawet powagę. Nie tylko niedoścignioną doskonałością jest tam każdy nieboszczyk, — wzorami cnót i przymiotów są też wszyscy członkowie osieroconej rodziny. „*X. X. stucatore, unico artista dei tempi!*“ — czytam na jednej z kart, o śmierci zwykłego kamieniarza donoszącej...

Pogrzeby wyruszają zwykle z kościoła o bardzo wczesnej godzinie, gdy Wenecja jedno dopiero oko ze snu otwarła. Najkrótszą drogą kierują się do pobrzeża laguny. Ztamtąd najczęściej złożonego do czarnej gondoli trupa sama już tylko rodzina na *San Michele* odwozi. Odbywa się to wszystko z pośpiechem i z dziwną ukradkowością, jakby chciano jaknajprędzej, niepostrzeżenie, usunąć czarną plamę smutku z błękitno-złotego tła życia i przyrody.

„Grzebać żyda“, znaczyło u nas niegdyś knuć coś potajemnie; dziś możeby w tem samem znaczeniu należało mówić: „grzebać wenecjanina“.

Pomiędzy śliwkami hiszpańskimi a świeżą *fava*, znajduję raz zawiadomienie, że nazajutrz o 8-ej rano wyruszy z Bazyliki czyjś pochód pogrzebowy. We wskazanej godzinie jestem na miejscu. Sługa kościelny gasi świece i zabiera się do sprzątania katafalku.

— Gdzie pogrzeb?

— Tylko co odszedł...

Wybiegam, wzrok wyteżam—w oddaleniu miga mi niewyraźnie gromadka czarno odzianych ludzi, niby stado odlatujących jaskólek. Zbliżyła się do morza i zaraz na wszystkie strony rozpierzchnęła. Na falach widać już tylko trzy duże, żałobne gondole, które posuwają się szybko w stronę Lido, trzem czarnym, spłoszonym łabędziom podobne.

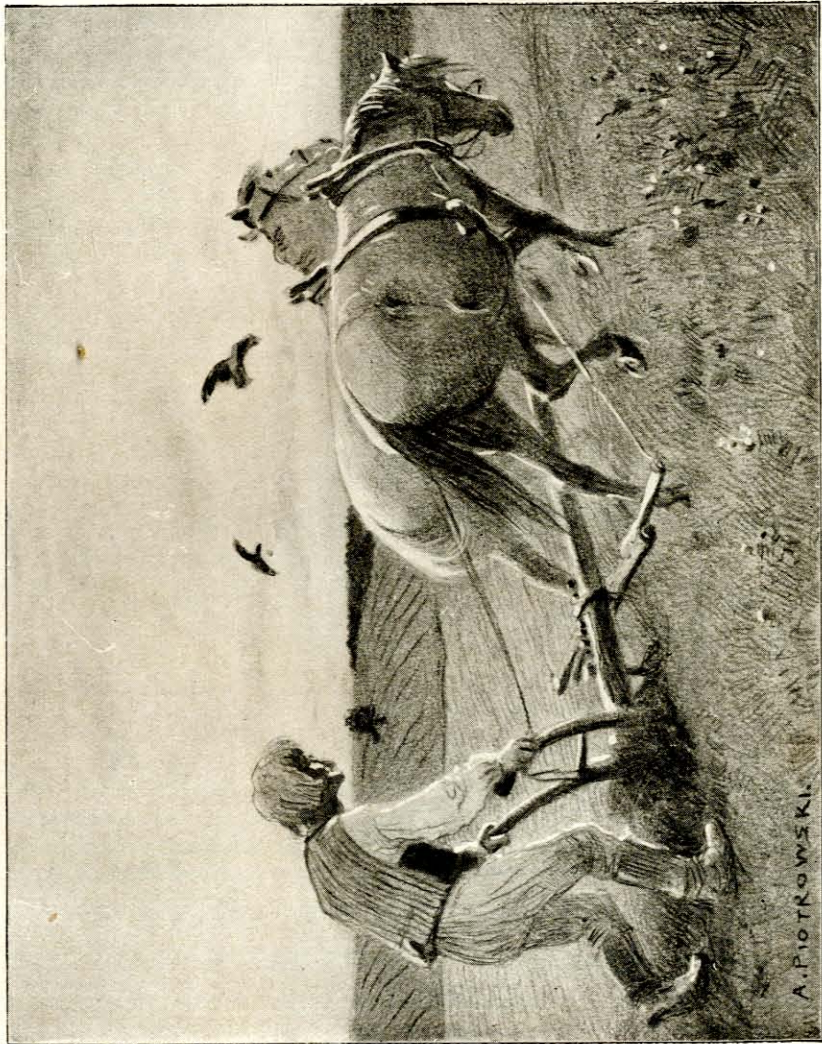
Wenecja ucieka przed smutkiem—smutek wszakże goni ją i dogania. Całe miasto jest cmentarzem, a Bazylika, prochy dożów i patrycjuszów nakrywająca, to tylko jeden z bogatych nagrobnych kamieni.

Mogą inni na cześć tego dziwa architektury głosić hymny pochwalne; na moje usta on przywołuje tylko westchnienie:

— *Requiescant...*

ORACZ

ORAZ



To, na co patrzyłem, było odtworzeniem w rzeczywistości jednego z nieśmiertelnych szkiców Holbeina.

Ów szkic, będący ogniwem łańcucha, nazwanego „Tańcem śmierci,” przedstawia starego wieśniaka, który o zachodzie słońca orze twardą rolę, śmierć zaś we własnej postaci konie mu pogania.

I mój wieśniak był stary, i jego płuzyca z trudem gliniasty grunt pruła, i nad nim unosić się zdawała niewidzialna poślanka nicości...

Krajobraz tylko był inny.

U Holbeina widać cieniste kępy drzew, dachy licznych domostw, malownicze wąwozy, wieżę murowanego kościoła, a na ostatnim planie zębate gór grzbiety. Przyroda tam bogata, południowa, pełna różnorodności i powagi. Słońce nawet zachodzi wspaniale, a długie smugi blasku rozkładają się po niebie wachlarzowato, strzelając złotymi grotami ponad góry i drzewa.

Na mazowieckiej równinie było płasko i powszednio. Ziemia, niby rozlana szeroko i zlekka rozkołysana fala, sięgała szarą, bezbrzeżną masą aż do ostatniej linii horyzontu. Wąska, granatowa wstążeczka borów dalekich oddzielała ją od nieba, które było również szare, i w jednym tylko miejscu, tuż nad borami, trochę się żółciło. Żółtość wskazywała, że w tem miejscu, za popielatą zasłoną chmur, słońce dogasa.

Koloryt obrazu był tak ubogi, że można go było wymalować w całości, wraz z orzącym starcem i parą jego chudych, potykających się koni, tuszem lub sepią, *au lavis* — nakształt owych starych akwatynt, na których przyroda wygląda bezbarwnie, jakby przez szkło zakopcone oglądana...

Ziemia, jak oko sięgało, pokrajana była w zagony. Pasy podłużne, gdzieniegdzie zygzakowate, biegły w różnych kierunkach, odróżniając jedno pole od drugiego. Jedne z nieforemnych pól były całkowicie czarne, inne miały barwę brunatną, inne wreszcie wyjaśniały się stopniowo, dochodząc do bladej popielatości, co czyniło wrażenie, jakby do tuszu, którym krajobraz wymalowano, dolewał malarz coraz więcej wody.

Tu i owdzie stała, niby na straży, grusza polna — odosobniona, smętna, cicha. Gdzieindziej grunt zagłębiał się trochę, a w tem zagłębieniu, wilgotnem zapewne, ro-

śla olszyna o liściach połyskujących. Największa kępa zieloności, utworzona z lip przysadzystych i wysmukłych topoli, służyła za zasłonę niewidzialnej wiosce, która kryła się za nią, jak za parawanem.

Istnienie wioski rozpoznawało się jedynie słuchem i powonieniem.

Wiatr — ten sam chłodny, przedwieczorny wiatr, który szeleścił w suchych trawach i staremu oraczowi długie, siwe włosy rozwiewał, — przynosił z ukrytych siedzib ludzkich dźwięki i zapachy. Słyszało się głuchy pomruk basetli, przygrywającej w karczmie, oraz przeciągłe „hej!“, wyrzucane z piersi podpiętego parobczaka; czuło się ostrą woń razowca, pieczonego w soltysowej chałupie, oraz rzeźwiący aromat kawy, którą przypalała na patelni gospodyni proboszcza.

Tam było wesoło i hucznie; tu panował smutek cisza.

Starzec wyglądał, jakby go brzemień całego stulecia przygniotło. Suwał się raczej, niż stapał. Plecy miał zgięte w kabłąk, głowę w dół zwieszoną, nos długi, ostry, nakształt dziobu starego sokoła zakrzywiony. Cała jego postać wyrażała najwyższą bezsilność i gwałtowne ciężenie ku ziemi. A ziemia zdała się czekać nań niecierpliwie i wabiła go, jak syrena, na swe czarne, wilgocią ziejące łono...

Z pod słomianego, podartego kapelusza wymykały się starcowi kosmyki siwych włosów, pozlepiane potem, do bia-

łych sznurków podobne. Wystająca broda jeżyła się igłami siwego również zarostu. Oczy były dołami; dołami były też policzki. Na skroniach, na szczęce, na wyschniętej szyi setki zmarszczek plątały się nieforemną siatką, podobne zygzakowatym linjom, jakie żłobi mól w okładce starej księgi...

Za każdym szarpnięciem koni starzec zataczał się, jakby miał upaść. Trudno było uwierzyć, że to on pługiem kieruje; pług to raczej dawał mu oparcie i włókł go za sobą.

Co kilka chwil stawały konie, zatrzymywał się pług — starzec zanosił się suchym, bezdźwięcznym kaszlem. Dziwnie ten kaszel przypominał tępy odgłos, jaki sprawia zabijanie trumny ćwiekami. Ale zaledwie kaszel ustał, konie z wysiłkiem szły dalej, błyszczące żelazo wrzytało się w ziemię, odwalając czarne bryły na prawo i na lewo. Oracz nie myślał o odpoczynku. Czujne oczy przenosił wciąż z ziemi na niebo, porównywając ilość drogi, którą mają jeszcze do przebycia: pług i słońce.

Sine jego wargi i szczęki bezzębne poruszały się, jakby coś żując. Żuł słowa, z trudem dobywające się z ust. Szepleniący głos dobiegał chwilami aż do mnie.

Starzec mówił:

— „Usy moje ogłuchły, ocy nijak nie widzą. Jezu najlitościwszy, zmiłuj się nademną!...

„Nogi moje już się nie rusają, życie moje kończy się... Jezu najlitościwszy, zmiłuj się nademną!...

„Serce moje zemglone i uciśnione... Jezu najlitościwszy, zmiłuj się nademną!...”

Tego starca, odmawiającego litanie konających, widziałem przed tygodniem w miasteczku.

Lekarz powiatowy, człek sprężysty, który ludziom biednym udziela „konsultacji“ przez lufcik, gdy oni z odkrytymi głowami na bruku ulicznym stoją, mówił do niego, zaciągając się dymem cygara:

— Do trumny, dziadu! do trumny!... Patrzcie go! Sto lat dziadziowski i żyć mu się jeszcze żąda!...

A sędziwy wieśniak tylko białą głową potrząsał, jęcząc głucho:

— Oj, wielmożny panie!... oj!...

Więc, gdym teraz tego starca przy pracy ujrzał, nie mogłem się powstrzymać od zawołania:

— Ozdrowieliście widać, ojcie, kiedy za pługiem chodzicie?...

Przystanął, w pierś powietrza zaczerpnął — głosem, jakby ze studni wychodzącym, odrzekł:

— Bogać tam ozdrowiołem... Chodzę, bo na ozimkę grunt trza zorać... Ale ino te dwie skiby ostatnie zrusę, zara bandzie koniec...

— Więc spodziewacie się doczekać wiosennych plonów?

— Uchowaj, Jezusiel... Mnie jesce w tym tygodniu w świętą ziemię zakopią...

— Zkąd o tem wiecie?

Podniósł siwe brwi wysoko, usta w milczeniu otworzył, jakby go zapytanie nadzwyczaj zdziwiło. Potem głową potrząsnął i rzekł z naciskiem:

— Wim... i tyla.

Konięta tymczasem zdobyły się na nowy wysiłek i o kilka kroków dalej pociągnęły pług wraz z oraczem.

Gdy znowu ta trójca zatrzymała się, ponowiłem pytania.

— Jeśli nie spodziewacie się plonów, dla kogóż rolę orzecie?

I to pytanie wydało mu się niepojętem.

— Dla kogo?—odparł, dziwiąc się.—A juści nie dla siebie... Dla tych orzę, co po mnie tu przyńdą!

I, przerywając rozmowę, huknąć jął na konie, aby zawróciły na nowy, ostatni już zagon.

Pożegnałem starca pozdrowieniem Chrystusowem, i w swoją drogę odszedłem.

Słowa jego zapadły mi w duszę głęboko.

Powtarzałem je sobie aż do ukazania się gwiazd na niebie; gdym zaś przed zamknięciem oczu na sen rozmyślał—jak zawsze—o śmierci, wydała mi się ona czemś tak nieznacznem i niepochwytne, jak w tęczy przejście od jednej barwy do drugiej...

Ż U B R Y

Sześć godzin brodzenia wśród zielonego mroku, po trawach, sięgających pasa, po gąszczach, pełnych dziwnego, odurzającego aromatu, po ścieżkach, wygodnych chyba tylko lisowi lub kunie, po czarnych, grzązkich, tłusto połyskujących trzęsawiskach, po skrytych mokradłach, z wierzchu łąkom podobnych, a nieostrożnemu stać się mogących straszny, wodnym grobem...

Sześć godzin brodzenia daremnego!

Znużony, wyczerpany i już prawie zobojętniały, usiadłem na wywróconem przez piorun, jak trup zadżumionego zczerniałem, drzewie.

Przedemną szalał — pożar Moskwy. Malowało go na niebie zachodzące słońce, przy pomocy chmur, wiatru i kawałka poszczerbionej wczorajszym huraganem puszczy.

Dymy szły buremi, pochyłemi, jakby wywracającemi się, kolumnami. Szły potężne, wyniosłe, zenitu niemal sięgające. Szły na zachód, ku wojskom wielkiego najeźdźcy, przejmując strachem, wprawiając w osłupienie. Co chwila któraś z kolumn łamała się w połowie, kłębi-

ła fantastycznie, stawała podobną bestji apokaliptycznej. Z rozdartego pyska bestji buchał ogień; wraz z ogniem wybiegać się zdawał krzyk:

— Nam śmierć—lecz i tobie zagłada!...

W dole, kruszyły się i rozpadały domy, dwory, pałace. Dzieła ręki, myśli, genjuszu zmieniały się w popiół; bogaty, potężny gród cmentarzem się stawał. Ale ten cmentarz żył, poruszał się, nowe kształty stwarzał. Z cmentarza wstawały kolumny blasku i w pomoc kolumnom cienia szły. Nad śmiercią unosił się i sztandar szkarłatny rozwiewał—żywy, nieśmiertelny bóg Zemsty, bóg Zwycięstwa.

Na ofiarę szedł cały przepych, cała duma narodu. Już złote kopuły cerkwi stopiły się w ogniu i łzami krwawymi w zgliszcza spadały; już białe mury Kremlu czyniły się purpurowymi; już...

W tej chwili olbrzymi, rudy cień zakrył mi wszystko. Na obraz spadła zasłona. Cień i zasłona ledwie mignęły. Zaćmienie trwało sekund kilka — może tylko jedną sekundę..

Zanim zrozumiałem co się stało, zaśpiewał mi nad uchem głos towarzysza:

— Baczyli zebra, a?...

Więc to był zebra? Więc tak wyglądało upragnione od kilku godzin, z sercem to bijącym, to zamierającym oczekiwane, zjawisko?

Chwilowe zaćmienie, — potem nikły zapach piżma krótki, głuchy, w oddali niknący grzmot...

Byłem oszołomiony — a towarzysz uśmiechał się, szczerząc białe zęby wskroś białawych również, obwisłych, konopiastych wąsów — towarzysz w siwej, samodziłowej, pasem rzemiennym ściśniętej kurcie, w szaroniebieskich, samodziłowych nogawicach, w miękkich łapciach z łyka lipowego...

— Baczyli?... a?... baczyli?...

Pytanie natrętne podjąwszy, do samego siebie zwróciłem.

— Widział-żem ja naprawdę zebra?... Mógł-żem odtąd z zupełną pewnością twierdzić, żem poznał to zwierzę najrzadsze, jedyne, którego sama nazwa dreszcz tajemniczy budzi, czasy piastowe, bajeczne, mgłą legend omroczone, na pamięć przywozisz?

Tak! Widziałem i poznałem.

W mgnieniu błyskawicznym objawiły mi się najistotniejsze właściwości króla puszczy: dzikość, majestat, ogrom, potęga...

Postawiono mnie przy olbrzymim dębie; kazano pa trzeć w prawo, w kierunku ledwie znacznego wśród gąszczów przesmyka.

— Tędy chodzą do rzeczki pić...

— Czy i kąpać się?

— Nie, tylko pić. Kąpieli nie lubią. To jest: nie lubią zanurzać się w wodzie. Ale w czasie upałów najchętniej brodzą po mokradłach, gdzie im woda po brzuchy sięga. Wogóle dużo grymasów mają.

Gdy w puszczy mówi się o czymś w formie bezosobowej, znaczy to, że się mówi o żubrach.

— Tą drogą chodzą zawsze?

— O ile im nie przyjdzie ochota poszukać sobie nowej. Ale i wówczas część ich wraca do starego brodu.

— Spotkanie z nimi niebezpieczne?

— Jak kiedy, jak dla kogo.

— Na człowieka się rzucają?

— Bywa i tak.

— W jakim wypadku?

— Gdy im się człowiek nie podoba.

— Och!... Więc mają własne sądy o ludziach?

— Mają.

— Jakich lubią?

— Dobrych i cichych.

— A nienawidzą?

— Gburów, zarozumialców...

— Przy spotkaniu z człowiekiem — ciągnął objaśniacz — równie bystro przypatrują się jemu, jak on im. Szczególną niechęć okazują ludziom sztywnym, przejętym

swą dostojnością, noszącym wysoko głowy, uniformowym... Już niejednego takiego poturbowały.

— Cóż czynić, żeby napadu uniknąć?

— W drogę im nie wchodzić. Okrążyć je, gdy na ścieżce staną. Nie zbliżać się nigdy więcej, niż na trzydzieści kroków. Wreszcie: nie mieć na sobie ani przy sobie nic czerwonego.

— A gdyby który rzucił się?

— Za drzewo się schować, a jeszcze lepiej wdrapać się na nie.

Wieczór był cichy. Na niebie dogasały zorze. Gasły też zwolna smugi świetlne, które, nakształt strzał złotych i brylantowych, przesywały tu i owdzie gąszcze.

Na wiosnę i w początkach lata, puszcza musi być pełna wesela. Kipi wówczas nadmiarem życia roślinnego i zwierzęcego. Można słuchać jej głosów od świtu do nocy, jak wspaniałego koncertu, gdzie chóry przeważają, ale gdzie nie brak i mistrzowskich, przepięknych solów.

Inaczej na przełomie lata i jesieni. W tej porze przejściowej, głównym znamieniem puszczy: cisza. Cisza tumu gotyckiego o zmroku; cisza wielkich płaszczyzn wodnych, gdy ich wiatr nie wzrusza; cisza otchłani, zięjącej wieczną, nierozwikłaną zagadką.

Stałem długo w tej ciszy, nasiąkając nią, jak ziemia łośną wieczorną. Z pomiędzy grubych, omszałych pni,

z zagłębień, tak zalanych mrokiem, że aż prawie czarnych wypełzał smutek, rzucał się na duszę, uciskał ją, dławił.

W tym ogromie milczącego życia ukrywało się Niepojęte. A przed Niepojętem zawsze uczuwamy strach. Ztąd płynie przynębiające wrażenie nocy, śmierci, pustki.

I rozwiało się nagle moje marzenie o rozkoszach życia pustelniczego. Zateśkniałem do miast wielkich, do ich szumu, gwaru, łoskotu; do ulic, sklepów, kawiarni, twarzy ludzkich, w potokach elektryczności skąpanych; do wszystkiego, com tak niedawno porzucił... przekląwszy.

Wątek myśli mych przerwał głos dziwny, z odległości kilkudziesięciu kroków napływający. Było to podobne razem do chrząkania i do mlaskania. Taki głos wydaje wieprz zadowolony, gdy się w miękkim, tłustym błocie zanurzy.

— Dzik... — pomyślałem z obawą.

W tej porze spotkanie z dzikiem byłoby niebezpieczne — z maciorą zwłaszcza, gniazda swego pilnującą.

Wyteżyłem wzrok w stronę przesmyka. W różowej poświacie zorzy wieczornej, wykreślała się tam ciemnorudą sylwetą olbrzymia postać: kudłata, nastrzępiona, z obwisłą brodą fauna, z wielkim, włochatym garbem...

Nie było wątpliwości: ona to właśnie ów głos wydawała.

Niebawem, z gąszczów odpowiedziały głosy podobne.

Porozumiewawcze chrząkania trwały przez minutę. Potem wyrosły, jak z pod ziemi, dwie inne brodate i garbate postacie.

Trzy stare, od stada odbite samce, trzy olbrzymy poważne, ze łbami, jakby od myśli głębokich ciężkimi, stanęły na chwilę nieruchomo. Zbyt krótka była to chwila, aby przyjrzeć się im dokładnie. Zdążyłem tylko pochwycić dwa nowe rysy ich charakteru: powagę i melancholję.

Czy dostrzegły mnie, za grubym pnieniem ukrytego? Sądzę, że dostrzegły. Ale udały, że nie widzą. Była w tem jakby lekceważąca wyniosłość.

I zaraz iść zaczęły w stronę rzeczki.

Szły lekko i cicho. Puszcza, gęsto w tem miejscu zarosła, zdawała się przed nimi rozstępować. Nie przedzierały się przez gąszcze — raczej, przenikały je. Chwilami, te wielkie, masywne cielska czyniły wrażenie — cieniów...

Posuwałem się, a właściwie skradałem za nimi zdaleka, starając się zachowywać jaknajciszej. Ile razy sucha gałąź trzasnęła mi pod stopą, zatrzymywałem się w obawie, że je to spłoszy. Ale szły dalej, zupełnie na ów hałas obojętne.

Droga stawiała się z każdą chwilą przykrzejsza. Wyraastały przedemną to łany pokrzyw niebywalej wysokości;

to szańce z kolczastych, rozdzierających odzież krzaków; to węzowiska roślin powojowatych, które oplątywały stopy, podstępnie na miejscu przytrzymując...

Żubry szły zygzakiem, skręcając w prawo i w lewo — i tylko dzięki temu nie traciłem ich z oczu. Krzepiła mnie myśl, że wkrótce ujrzę je w miejscu otwartem, ozłocone luną zachodu, pijące, a zatem przez czas dłuższy spokojnie i — widzialne.

Nagle stanęły. Stanęły w miejscu, gdzie przerzedzała się puszcza, i gdzie rodzaj drzew zmieniał się widomie. Kończyło się królestwo dębów, klonów, sosen, świerków; ukazywały się olchy o pniach brunatno-zielonawych, jakby aksamitnych.

Dumne zwierzęta zdawały się mówić:

— Zatrzymałyśmy się, aby ci drogę pokazać. Tędy za nami idź — jeśli potrafisz...

Gdym do miejsca dotarł, już były daleko. Ledwie ich wzrokiem dosięgał. Jak trzy rudawe plamy, majaczyły wśród zieleni. Jednak dostrzegłem, że łby niosą wysoko...

Ruszyłem śmiało za nimi, i — wpadłem po kolana w wodę. To była pułapka. Olchy rosły na trzęsawisku, zamaskowanem bujną roślinnością. Trzęsawisko rozciągało się do samej rzeki...

Słyszałem szum oczeretu, łamanego potężną pierśią zwierząt; potem plusk wody i głośnie parskanie.

Noc zapadała. Cofnąłem się z pośpiechem, żeby odnaleźć dąb znajomy. Ztamtąd podążyłem do gościńca, gdzie czekał przewodnik.

— Szelmy! — roześmiał się, gdym mu swą przygodę opowiedział. — Umyślnie inną poszły drogą...

Nareszcie-m ujrzał żubry w stadzie, i mogłem napatrzeć się im dosyta.

Stado to rodzaj gminy, z kilku rodzin złożonej. Żubry, żubrzyce i żubrząta w doskonale zgodnym zespole. Karność tu i porządek nadzwyczajne. Łącznikiem, oprócz przywiązania, wzmocnionego osamotnieniem, poczucie idei: „siła w jedności“.

Ostatni z rodu! Zdaje się, że każdy żubr ma instynktową tej prawdy świadomość. Ztąd jego dzikość i wyniosłość, zaprawione melancholją.

Żubr-prowodyr, kilkunastoletni kolos, sprawia rządy w stadzie. Gdy stanie, wszystkie stają; gdy ruszy, wszystkie za nim idą.

Żubrzyce bywają płuche i lękliwe; żubrząta skaczą i podrygują, jak zwyczajne cielki — żubra-prowodyra nigdy nie opuszcza powaga. Chwilami czyni wrażenie figury z brązu.

Z powagą łączy surowość.

Czy i okrutność?...

Na kilka tygodni przedtem, w pewnej wiosce podpuszczańskiej, ofiarowano mi kupno żubrzącia. Sprze-

dawca twierdził, że to jednoroczne cielő zabite zostało przez starego żubra.

Staralem się zbadać wiarogodność faktu. Wypytywałem straż leśną — zwłaszcza tych specjalnych, urzędowych opiekunów żubra, którzy noszą miano „stróżów żubrowych“. Oświadczyli jednoznacznie, że w tym szczególnym wypadku, cielő padło bezspornie od kuli lub noża kłusownika; że jednak niekiedy, niesłychanie rzadko zresztą, żubry bywają dzieciobójcami...

— Z jakiego powodu?

— Bóg ich wie! Stary brodacz długo patrzy na takiego ciółka niechętnie, potrąca go, na ziemię przewraca; potem nagle przyprze do drzewa, rogami grzmotnie i po wszystkim.

— Może podejrzenia—wiarołomstwo?...

— Skądże-by! Dla nich to sprawa obojętna. Samiec nie dba ani trochę o swoje potomstwo. A i samica, po skończonych zalotach, niczem dla niego.

— A podczas zalotów?

— Podczas zalotów bywa zazdrośny. Wówczas nierzadko rywala poturbuje. Żeber mu kilka złamie, róg utraci, bok przebodzie. Zwykle jednak do tego nie dochodzi, gdyż słabszy dobrowolnie ustępuje mocniejszemu.

W istocie, żubr, który jest uosobieniem siły, ma dla siły cześć. Zdarza się, że dwa stada po 40 do 50 sztuk liczące, zejść się na jednym, obfitującym w paszę,

żerowisku. Stają wówczas naprzeciw siebie; w milczeniu oczami wzajem się mierzą. Racice ich biją z hukiem w ziemię, ogony ze świstem chłoszczą boki, ślepią krwią nabiegają—zda się, że lada chwila rozszalałe zwierzęta rzucą się na siebie: mordować, miażdżyć... Nagle jedno stado, na znak dany przez prowodyrę, zawraca i—spokojnie odchodzi. Drugie równie spokojnie zabiera się do żeru. Cóż się stało? Oto, po wzajemnym „rekonesansie“, pierwsze przekonało się, że jest od drugiego słabsze.

Każde stado nocuje tam, gdzie je noc zaskoczy. Ale następnego dnia napróznobyśmy go w tem miejscu szukali. O świcie, może jeszcze przed świtem, przeniosło się chyłkiem w inną stronę puszczy. W którą? nigdy zgadnąć nie można, Nawet „stróż żubrowy“ nic pewnego w tej mierze nie wie.

Żubr rozumie, że kilkanaście mil kwadratowych puszczy niedostatecznie zakrywają go przed ciekawością człowieka. Aby lepiej być zatajonym, osłania się jeszcze tajemniczością.

Stado, które miałem szczęście spotkać, nie było liczne. Znajdowało się w niem nie więcej nad dwadzieścia sztuk. Żubry pasły się spokojnie w dzikim ostępie, zarosłym bujną, wilgotną, aromatyczną trawą.

Przewodnik nakazał cichość, ostrożność. Zwolna, za drzewami się kryjąc, na palcach niemal stąpając, zbliżyłem się na czterdzieści kroków od stada.

Żubr-prowodyr stanął, inne również się zatrzymały. Dla krótkowidza była to jeszcze zbyt wielka odległość.

Zapytałem oczyma przewodnika. Dał znak ręką, iść dalej pozwolił.

Skurczony, z zatajonym oddechem, ciągnąc po trawie statyw i aparat fotograficzny, posunąłem się jeszcze trzy kroki... pięć kroków... Potem jeszcze krok... i jeszcze krok... aż do dziesięciu.

Jedna z żubrzc spłoszyła się. Nagłym strachem przejęta, pobiegła w bok, między świerki. Inne poruszyły się, gotowe również do pierzchnięcia. Lecz prowodyr stał w miejscu. Stado napowrót znieruchomiło.

Drżącemi rękoma ustawiałem aparat. Zwierzęta zwrócone były do mnie bokiem. Łby jednak miały skierowane w moją stronę, tym właściwym sobie, pełnym badawczości ruchem, który utrwalono na wszystkich niemal wizerunkach. Wódz stada, jakby umyślnie, zajął miejsce na lekkiej wyniosłości. Spoglądałem na niego co chwila. On również oczu ze mnie nie spuszczał.

Ciekawe było to wzajemne badanie się człowieka i zwierzęcia. Ciekawsze jeszcze: co zwierzę myślało o człowieku?

Sześć sekund (fotograf zawodowy wie, jak nieskończenie długą w takich wypadkach jest sekunda) trwała „ekspozycja“. Przez sześć sekund grzywiasty olbrzym stał jak posąg. Dopiero, gdym nacisnął gumową „grusz-

kę“, łeb spuścił i w inną stronę skierował. Zaraz też całe stado przesunęło się kilka kroków dalej.

Mówię „przesunęło się“, nie: przebiegło lub przeszło—gdyż żubry, przenoszące się na pastwisku z miejsca na miejsce, czynią wrażenie figur drewnianych, przesuwanych w jasełkach. Wynika to z właściwego im, lekkiego chodu, oraz ztąd, że wysoka trawa nogi im zakrywa.

Znowum za nimi poszedł, fotografowanie rzuciwszy, i tylko ciesząc oczy niezrównanym ich widokiem. Jakże były piękne! jak niepodobne do tych przeróżnych rysowanych, sztychowanych, malowanych i fotografowanych żubrów, które zdarzało mi się oglądać po książkach, pismach, wystawach malarskich, atlasach przyrodniczych...

Żubr, pod względem plastycznym, jest postacią posagową.

Porozumiejmy się jednak co do tego określenia.

O mężach takich, jak Dante, Szekspir, Goethe, Mickiewicz, mówimy: postacie posagowe. Mniej właściwą byłaby ta nazwa dla Kalderona, Cervantesa, Musseta, Bajrona, Słowackiego.

Rozumie się, mamy tu na myśli *duchową* posagowość twórców. Posagowi oni są dla nas wówczas, gdy wyobrażają wielką siłę, skupioną i spokojną; gdy ich duchy są piękne i szlachetne a zarazem dumne, nieugięte; gdy jest w nich coś z granitu i bronzu.

Czy to jednak znaczy, że można, i że należy odlewać tych mężów z brązu? wykuwać w granicie? Bynajmniej! Kto to czyni, miesza ze sobą pierwiastki najsprzeczniejsze, wręcz sobie przeciwnie, popełnia dziwactwo albo śmieszność.

Dziwaczny jest Dante marmurowy w Padwie; bronzowych Mickiewiczów w Warszawie, w Krakowie nie można nazwać inaczej, jak śmiesznymi.

Do odtwarzania w posągu odpowiednie jest tylko piękne „zwierzę ludzkie“. A więc kształtny siłacz (byle nie cyrkowy potwór o kończynach górnych dwakroć grubszych, niż dolne); smukły, lekkostopy młodzian; ładna, to znaczy: harmonijnie ukształtowana kobieta; dziewczę, którego kobiecość kryje się jeszcze w pąku i t. p.

Poza człowiekiem, przyroda posiada dużo form zwierzęcych i roślinnych (tak, roślinnych — choć rzeźba nic jeszcze dotychczas o nich nie wie), które są całkowicie, albo częściowo posągowe. Pełną dłońią czerpać ztąd może artysta-plastyk. Lecz wśród bogatego materiału czynić musi wybór. O omyłki łatwiej tu, niż gdzieindziej.

Już mamy posągi zwierząt. Właściwie: mamy zwierzęta na posągach, stanowiące ich akcesorja. Tu wspańskiego konia dosiada znakomity wódz lub bohater; tam sarna wysmukła tuli się do klasycznej Djany; owdzie bajeczny hipogryf służy za wierzchowca poecie; tam jeszcze byka „farnezyjskiego“ pętają dorodni siłacze; gdzie-

indziej lew z kajdan rozkuty, jako symbol swobodnej prowincji, łąsi się u stóp króla, który tego cudu dokazał...

Nie waham się twierdzić, że w świecie zwierzęcym postacią najbardziej posągową, *par excellence* posągową, jest — żubr.

Pięknością linii dorównywają żubrowi: koń, jeleni, gazela. Ale te wszystkie piękne zwierzęta uosabiają przede wszystkim *ruch*, wyrażanie zaś ruchu nie jest zadaniem rzeźby, choć jej to niektórzy przemocą narzucają.

Lew, tygrys, lampart, w porównaniu z żubrem, muszą być poczytane za zwierzęta zupełnie brzydkie. Pewni artyści idealizowali je — wynik nigdy nie odpowiedział zamiarom. Żaden zwierz drapieżny — dla tego właśnie, że drapieżny — nie nadaje się do posągu. „Posągowość“, pojęta najwłaściwiej, a zarazem najszczytniej, polega na spokoju, wyraża siłę uciszoną, raczej dobroczynną, niż szkodzącą.

Zwykły wół stepowy, z punktu rzeźbiarskiego, piękniejszy być może od tamtych wszystkich „królów“ czy „książąt“ świata zwierzęcego. Ale wół pod niejednym względem ustępuje żubrowi. Nie jest tak mądry, ani tak dzielny, ani tak dostojny. W spokoju uosabia potulne zgadzanie się z losem; w gniewie — bezmyślne szaleństwo.

Posągowość żubra widnieje przede wszystkim w jego kształtach. Nic piękniejszego, niż falista linja żubrowego grzbietu, od karku aż do nasady ogona. Śmiała, w swym

nagłym spadku prawie bezczelna, a jednak miękko wyginająca się, potoczysta i zarazem niesłychanej energii pełna. W ogólnym zarysie przypomina takąż linję u lwa. Ostatnia wszakże nie dorównywa jej pięknnością, jest bowiem za krótka. Lew to tylko: paszcza na czterech łapach. Wszystko w nim sprowadza się do dwojga pojęć; dzikości i żarłoczności.

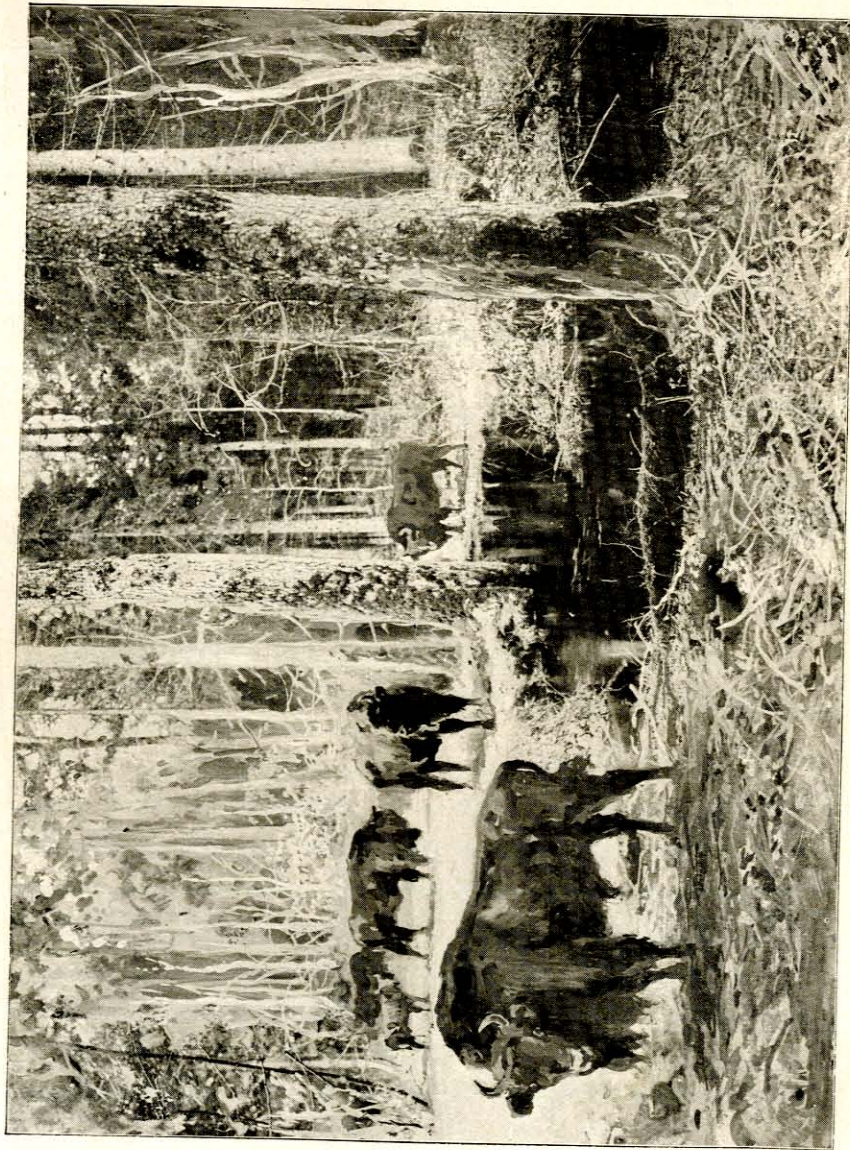
Pełen majestatu jest łeb żubra. Wielki, ciężki, zawsze nieco pochylony, wydaje się brzemienym myślami. Czoło sklepione i wspaniałe, bardziej na szerokość, niż na wysokość, rozwinięte, mądrością tchnie. Oczy, szeroko rozstawione, małe, wyrażające dowcip i przenikliwą spozstrzegawczość. Wyraz ich bywa często tajemniczy, do odgadnięcia trudny. Oprawa przypomina niekiedy spłaszczoną elipsę; żrenica wydaje się wąską i prostopadłą. Rogówka zwykle czarna, w gniewie zabarwia się czerwono.

Nozdrza wielkie, czarne i błyszczące, jak ze stali szmelcowanej; nogi mocne, w miarę grube i długie; ogon, nieco do lwiego podobny, z sutą na końcu kiścią, prawie zawsze odsadzony, niekiedy zadarty i na krzyżu leżący — oto harmonijna całość.

Doprasza się ta całość o bronz lub marmur.

Jeden szczegół jeszcze zwiększa wrodzoną posągowość żubra: jest to zwierzę nieme...

Gdy patrzymy na tę pierś potężną, na szyję rozrosłą, na pysk szeroki, pewniśmy, że wybiegnie z nich ryk, grzmotowi podobny. Tego ryku z utęsknieniem niemal



wyglądamy, błędząc po głuchych ostępach puszczy, w morzu milczenia zatopionych. Potrzebny jest nam, pożądany— bez niego cała niezmierność lasu grobem tchnie...

Daremne pragnienie! Żubr nie ryczy. Żaden głos nie dobywa się z jego piersi, krtani, gardła. Jest to zwierzę na wieczną niemotę skazane. Jego dusza dla nas nieodgadniona. Zaglądać do niej możemy tylko przez ślepie, ale te ślepie są same przez się zagadką...

Wspomniałem o chrzäkaniu żubra. Nie można tego chrzäkania nazwać głosem. Tak samo jak parskanie konia, odbywa się ono z nozdrzy.

Więc — posąg.

Na czas wiosny i letnich upałów żubr rozbiera się...

Zrzuca wówczas swą grzywę królewską, traci gęste, włosiste podgardle, pozbywa się nawet brody, czyniącej go podobnym do fauna i do mędrca.

Tak rozebrany, przestaje być poniekąd sobą. I jest to może jeden z powodów wstydlivej dzikości, którą w owej porze objawia. Kryje się wówczas w najnieodstępniejszych gąszczach; gdy mu koniecznie wypadnie przez polankę przejść, przesadza ją szalonymi skokami.

Zupełnie inaczej zachowuje się, gdy jest w swym stroju „paradnym”. Szuka wówczas miejsc otwartych; chętnie wychodzi na polanki; gotów nawet poza obręb puszczy wychylić się i błędzić po sąsiednich lasach, gajach, łąkach...

Nie unika też w owej porze człowieka. Można by nawet sądzić, że spotkania z nim pożąda. Prawie umyślnie idzie naprzeciw niego — pozwala mu zbliżyć się na dwadzieścia, piętnaście, niekiedy na dziesięć nawet, kroków.

Zbliżającemu się nie ustąpi. Ledwie go zoczył, staje jak wryty; zwykłą sobie, posagową przybiera nieruchomości. Piękny, dumny, wspaniały, pewny siebie, każe się człowiekowi — podziwiać.

Ten akt przymusowej adoracji bywa dla przechodzących, a głównie dla przejeżdżających, niewygodny. Wyminąć żubra na drodze nie sposób — trzeba go obchodzić lub objeżdżać. Nierzadko zaś po obu stronach drogi rozkłada się trzęsawisko lub ciągną nieprzebyte zarośla...

Jakiej barwy jest żubr?

Jeśli zadacie to pytanie takim, co go tylko przygodnie, na krótką chwilę, raz lub dwa razy, widzieli — usłyszycie odpowiedzi jaknajsprzeczniejsze.

Jedni będą was zapewniali, że żubr jest rudy, prawie czerwony. Inni powiedzą, że ma barwę habita bernardyńskiego. Inni jeszcze nazwą go zupełnie czarnym.

Szerść żubra jest naprawdę brunatna; wydawać się wszakże może i ruda, i brudnożółta, i czarna. Zależy to

najpierw: od oświetlenia; powtóre: od pory roku; potrzebie: od wieku zwierzęcia.

Wogóle, barwa żubra z latami stopniowo pociemnia się — wszakże i w ciągu jednego roku ulegać może przemianom.

Ciele (które rodzi się zawsze w maju) zaraz po przyjściu na świat jest szaro-czerwonawe, niemal rude. Na jesieni, nabiera barwy brunatnej. Ta barwa szybko ciemnieje, i już podczas zimy staje się tak ciemną, że zdala, na śniegu, małe żubrzątko nie różni się prawie od niedźwiadka.

Mówiąc o barwie żubra, wspomnieć muszę i o innych właściwościach jego sierści. Jest ona wełnista, miękka, uginająca się pod palcami i nadzwyczaj w dotknięciu miła. Już to samo dotknięcie poucza, że się ma do czynienia nie z drapieżnikiem, lecz ze zwierzęciem łagodnym, idylicznym.

Nie przesuwalem dłoni po skórze żywego żubra (tem nikt się chyba nie pochwali), lecz sprawdziłem subtelnosc jego włosia na wypchanem starannie zwierzęciu, które zdobi przedsionek pałacu cesarskiego w Białowieży. Tam również widziałem dziewięć żubrowych „popiersi“, których sierść, w szarej poświacie dnia bezsłonecznego wydawała się czarną.

Po wszystkie czasy żubry nie miały szczęścia do rysowników. Przekonałem się dowodnie, że, dopókim

znał je z rycin, nie znałem ich w rzeczywistości ani trochę.

Uskarżał się już na to baron Brincken w swem cennem i nie przewyższonem dotychczas dziele o puszczy Białowiejskiej.

Pragnąc złemu zaradzić, uprosił pan baron swego przyjaciela, utalentowanego artystę J. Sokołowskiego, aby mu żubra z natury odrysował. Rysunek pięknie przez Dietricha ojca wysztichowany, powiększa, niestety, liczbę niefortunnnych wizerunków „króla puszczy“.

Przez długie lata Europa czerpała pojęcie o żubrze z niezdarne go drzeworytu, który podał w swej książce Herberstein, posłujący w sprawie pokoju między Zygmuntem Starym a Bazyliem Iwanowiczem, wielkim księciem moskiewskim. Ten drzeworyt jest nie podobizną żubra, lecz—jego karykaturą.

Prawie jednocześnie z Sokołowskim odrysował żubra i żubrzcę „z natury“ Piwarski. Znakomity artysta dobrze wywiązał się z zadania—na nieszczęście, odbywając studja w porze letniej, przedstawił żubra „rozebranego“ to znaczy: bez grzywy i bez brody.

Dietrich ojciec, który był nie tylko świetnym rysownikiem, lecz także dobrym znawcą lasów i zwierząt, (urządzał, między innymi, zwierzyniec w Skierniewicach), próbował na własną rękę rysować i sztychować żubra. Uległ, niestety, wpływowi Sokołowskiego: w rycinach swych

uwydlatnił głównie dzikość zwierzęcia, która nie jest bynajmniej głównym rysem jego fizyczności, ani charakteru.

O zagranicznych wizerunkach żubra ledwie wspomnieć warto. Większość ich jest płodem czystej fantazji. Żubr naprzykład w „Królestwie zwierząt“ Brehma — chudy, długoszyjny, do dzikiego kozła i do wielbłąda podobny — zdaje się rysowany z... opowiadania, i to z opowiadania myśliwych, którzy mają ustaloną pod tym względem opinię.

Wspólną wadą wszystkich portrecistów żubra było to, że pamiętając zanadto o szczegółach, tracili z oczu całość modelu. Żaden nie podpatrzył i nie odtworzył zasadniczej, wspaniale pięknej linii jego grzbietu, o której wspomniałem, a która wyraża plastyczną odrębność tego najrzadszego ze zwierząt.

Dalej, na wszystkich bez wyjątku rycinach, żubr wydaje się zwierzem ociężałym. Jest to fałsz; powiedziałbym nawet jest to oszczerstwo. Żubr, choć bardzo ciężki, nie ujawnia ani trochę ociężałości. Krok jego sprężysty, swobodny, odznacza się zarówno wdziękiem jak lekkością.

Gdyśmy raz przez kilka godzin poszukiwali daremnie zaprzepaszczonego w mrokach puszczy stada, spytałem

przewodnika: czemu nie chwyci się sposobu, używanego w takich przypadkach w stepie?

— Jakiż on? — zagadnął.

— Przyłożyć ucho do ziemi i słuchem badać, w której stronie stado.

Uśmiechnął się.

— To może być dobre, gdy chodzi o konie lub woły—z żubrami-by nie pomogło.

— Czemu?

— Żubr stąpa tak cicho, że go o dwadzieścia kroków nie słychać.

— Czy równie cicho biegnie?

— O, nie! Gdy rozgniewane albo spłoszone stado pędzi cwałem, ziemia dudni, a szum, huk i trzask po całej puszczy idą...

Takie huragany rzadko się zresztą przytrafiają, gdyż i żubr rzadko wychodzi z równowagi.

Zwykły chód żubra jest cichy, ostrożny, lekko rozkołysany. Żubr, brodzący wśród traw gęstych, zdaje się nie stąpać, lecz płynąć. Potężne jego mięśnie, prawie zupełnie od powłoki tłuszczowej wolne, poruszają się widomie a rytmicznie. Ten ruch, jak fala na wodzie, rozchodzi się od karku po całym tułowi. I przypomina falujący chód pięknej, harmonijnie zbudowanej, gorsetem i wysokimi napiętkami nie zniekształconej, kobiety...

Pamiętajmy zaś, że waga dorosłego żubra dosięga *tysiąca pięciuset funtów...*

— Za zabicie żubra płaci się pięćset rubli...

— Komu?

— Wiadomo. Prawnemu wszystkim żubrów właścicielowi.

— A ja myślałem, że—zbójcy...

— Pan żartuje!

— Bynajmniej. Zabicie żubra jest okropnością, na którą wzdryga się serce szlachetnego człowieka. Jest wielu takich, którzy nie odważyliby się na ten czyn nawet za najwyższe wynagrodzenie. Inni, umiejący wchodzić w układy z sumieniem, podjęliby się tej zbrodni chyba tylko za wysoką opłatą.

— Ech!...

Mój informator spojrzał na mnie dziwnie, pół-nieufnie, pół-szyderczo — i zamilkł.

Ale poznałem, że słowa moje zapadły mu w duszę, jak ziarno ze stron dalekich wiatrem przyniesione. Już on będzie nad temi słowami rozmyślał, oswajał się z nimi, innym je powtarzał. W końcu one się staną nierozdzieloną częścią jego duszy i zozydzą mu mord bezprzyczynowy, niewinny.

Za mało się takich słów wygłasza! za mało się takich ziarn rozsiewa!

Jak można zabijać żubra? jak można, dla igraszki lub zysku, pozbawiać życia stworzenie boskie, piękne, szachetne, mądre, rzadkie? Zabić żubra to tyleż prawie, co zabić człowieka. Któż z nas zresztą zna i ocenić potrafi duszę tego milczącego olbrzyma? A może ona więcej warta od niejednej, tylko *de nomine* ludzkiej, duszy?

W Białowieży, tuż nad rzeczką Narewką, wznosi się, okaleczony przez czas, brzydki ale ciekawy obelisk. Z napisów na nim, częściowo już zatartych, dowiadujemy się, że i nasz August III, „król-śpioch, król-sadło“, był—bohater...

Aż w dwóch językach: polskim i niemieckim, obwieszcza ten monument wiekom potomnym:

„Dnia 27 septembra 1752 r. Najjaśniejsze Państwo August III, Król Polski, Elektor Saski, z Królową Jejmością i Królewiczami: Ksawerem i Karolem tu mieli polowanie, i zabili: *czterdzieści dwa żubrów... trzymaście łosiców*“..

Baron Brincken podaje o tem polowaniu szczegóły. Na kilka tygodni przed dniem oznaczonym, spadli na puszcze, liczną, strojną, błyszczącą zgrają, wysłańcy dworscy—sami niemcy, w bogatej myśliwskiej odzieży, z psami i bronią. Administracja miejscowa otrzymała rozkaz udzielania im najdokładniejszych wiadomości o żubrach. Wówczas cudzoziemcy, obrawszy miejsce na łowy o milę od Białowieży, polecili naganiać tam z całej puszczy żubry i łosie. Pracowało nad tem tysiąc ludzi, mając do po-

mocy niezliczoną ilość psów. Umyslnie wzniesione, długie, mocne płoty nie pozwalały rozpraszać się napędzonej zwierzynie.

Na środku malowniczej polanki stanął ozdobny, drewniany lecz mocny „pawilon“. Zajęła w nim miejsce rodzina królewska oraz wszyscy dostojnicy. Zastawiono suto stoły — przed taką bohaterską imprezą należało siły pokrzepić. Wino lało się rzeką. Uwijał się gorączkowo tłum służby. Wyróżniali się wspaniałym, teatralnym strojem „strzelcy“ w kaftanach z zielonego aksamitu, złotem szamerowanych. Jedynem ich zadaniem było: odbierać od najjaśniejszych osób broń wystrzeloną, a podawać nabitą.

Prawo strzelania pozostawiono wyłącznie członkom rodziny królewskiej.

W oznaczonym czasie zajęli stanowiska (w otwartym pawilonie) król, królowa i dwaj królewicze. Królowa usiadła, rozłożywszy przed sobą zajmujący „romans“ francuski. Królowi również przysunięto fotel wygodny, bo już tyć nadmiernie zaczynał.

I podniósł się nagle straszny, ogłuszający hałas. Dreszcz zgrozy, bólu, oburzenia wstrząsnął tysiącletnią puszcza. Naganka jęła napędzać biedne, oszołomione zwierzęta.

Rozpoczął się mord.

Grzmiał strzał po strzale. Krew tryskała purpurową fontanną; płynęła dymiącymi strugami. Piękne, olbrzymie, milczące ciała rzuciły się w drgawkach śmiertelnych...

A ile razy dumne, szlachetne zwierzę z nóg się zważyło, konni dojeżdżacze uderzali w trąby — zwycięska fanfara ulatywała ku niebu.

Konające zwierzęta dobijali oszczepnicy.

Polanka zmieniła się niebawem w krwawe jezioro.

Po każdym zabójstwie, królowa powracała do książki; król pił wino i pociągał dymu z wielkiej porcelanowej fajki. Podśpiewywał też wesołą aryjkę.

Dygnitarze składali powinszowania. Na polance piętrzyły się trupy.

Zimna krew i odwaga królowej budziły podziw i zachwyty. Ani jeden strzał jej nie chybił. Zamordowała dwadzieścia żubrów, w przerwach między jednym a drugim rozdziałem „romansu”.

Le Roi tira aussi en maître.

Bohaterzy!

C O B Y Ł O

Błądziłem wśród gąszczów niespokojny, nasłuchujący,
na każde drgnienie światła, na każdy dech wietrzyka
uważny.

Jako wyżeł byłem, który zgubił trop swego pana,
i jako ptak, co nie może odszukać drogi do gniazda,
które mu źli ludzie popsuli.

Las miljonem pokłonów pozdrawiał mnie, miljonem
oczu wypatrywał, miljonem szeptów pytał:

— Czego tu szukasz?

Podrażniły mię te pytania i odpowiedziałem lasowi
z wymówką:

— Miljon oczu masz a nie widzisz; miljon uszu
masz a nie słyszysz; miljon serc masz a nie czujesz. Aza-
li człowiek o takim spojrzeniu może szukać innej rze-
czy prócz tego, *co było?*

Zaszumiały na to gąszcze wrzawą zmieszaną, wrzawą zdziwienia, wrzawą niepokoju. Gdy wrzawa ucichła, odzywać się jeły to tu, to ówdzie, głosy oddzielne.

I rzekły najpierw kwiaty:

— My zawsze jesteśmy, czem byliśmy i zawsze będziemy, czem jesteśmy. Nie istnieje dla nas wczoraj; nie istnieje dla nas jutro. Zawsze tak samo układają się nasze kielichy, barwią korony, ząbkują płatki, złocą pręciki i słupki. Zawsze ten sam blask i ten sam zapach rozlewamy dokoła. Skądże nam wiedzieć co znaczy: *było*, skoro zawsze, zawsze *jesteśmy*?

Potem zabrały głos drzewa:

— Przypatrz się igłom sosen; przypatrz się liściom brzoź, dębów, klonów. Alboż nie takie, jak wczoraj? nie takie, jak kiedykolwiek? nie takie, jak zawsze? Rysunek gałęzi, kształt pni, zabarwienie kory czyż zmianie jakiej uległy? Nie inne byliśmy w pierwszym dniu stworzenia; nie inne będziemy w dniu ostatnim. Ty swoją przeszłość obliczasz na lata; dla nas setki lat i setki tych setek są obecnością. Nie pytaj nas o to, co było, bo odpowiemy:—Ślepyś?

Po drzewach przemówił promień słońca:

— Spojrz w moje ognisko, jeśli zdołasz; zmierz siłę mego blasku, jeśli ci własnych sił na to starczy. Przygasłem-że? ochłódłem? Nie od dziś i nie od wczoraj grzeję i świecę. Byłem, gdy ciebie nie było; byłem, gdy

nie było nikogo z tych, co pomarli. Ten sam jestem, co zbudził Adama, by mu pokazać Ewę; co głowę Mojżesza wytryskami świetlanymi ozdobił; co Szawła oślepił, a potem na kolana przed Panem rzucił. Tak samo dziś, jak przed tysiącami lat, czerwienię pnie sosen, rozzieleniam mchy leśne, potrząsam złotem kwiaty, strzałą brylantową przetykam gęstwinię. Ani się zmieniam, ani przemijam. Czemuż więc, jak dziecko, szukasz tego, co masz przed sobą?

Odezwała się następnie płynąca po niebie chmura:

— Odkąd zawieszono mię na wysokościach, jednam i ta sama. Gdy mię chłód kropli, spadam deszczem na ziemię; gdy mię słońce przygrzeje, unoszę się w powietrze i znów jestem chmurą. Zniżam się i wznoszę, spadam i ulatuję, a nie ubywa mnie, ani też przybywa. Jestem dziś, jaką byłam wczoraj; będę jutro, jaką jestem dziś. Pomiedzy „było” a „jest” niema dla mnie różnicy. Czemuż ty tę różnicę stworzyć usiłujesz?

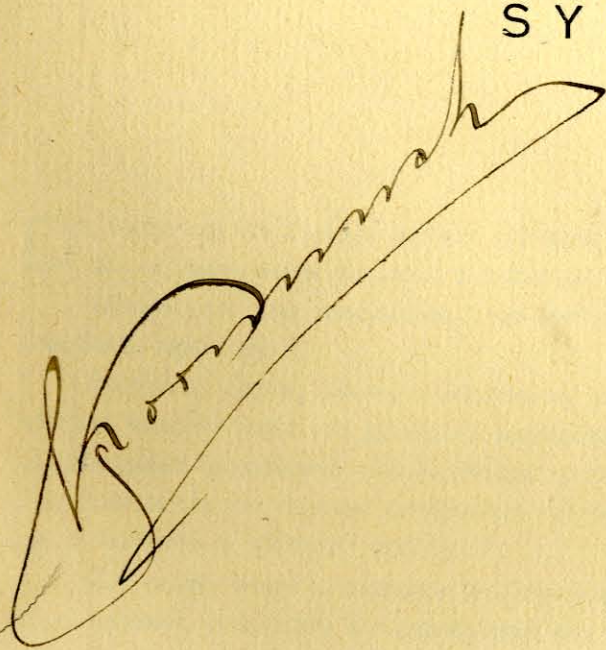
W ten sam sposób przemawiały mchy i drobne ziółka, owady krążące w powietrzu i pełzające po ziemi robaczki. Nakoniec zatrzepotał skrzydełkami szaremi ptak i zanucił swą zwykłą piosenkę. Jeden tylko takt ma ta piosenka, i nigdy, nigdy się nie zmienia. Tę piosenkę śpiewał ptak wczoraj; tę piosenkę śpiewać będzie jutro. Tak już postanowiono przed wiekami.

Gdy głosy umilkły, zawołałem:

— Pełna obludy jest wasza mowa i pełen przewrotności jest duch przyrody całej! Oto bowiem stoję w miejscu, gdzie *wówczas* stałem, a ani kwiaty nie mają tej barwy, ani drzewa tych kształtów, ani promień tego blasku, ani chmura tej lekkości, ani ptak tego głosu, co wówczas. Kwiaty są czarne, i liście drzew czarne; słońce świeci jak gromnica, chmura jest żalobnym całunem, w śpiewie ptaka nie słyhać nic, prócz miarowego świstu powietrza. Gdzie *tamte* kwiaty, tamte liście, tamte ptaki, promienie, chmury? Gdzie blask jej oczu, owal jej twarzy, różowy cień kapelusza, uściski dłoni, pocałowania ust? Gdzie czar i słodycz, co z niej płynąc, rzucały czar na przyrodę całą? Gdzie zapal, co ducha do gwiazd porywał? gdzie miłość wszechświat oskrzydłająca? gdzie wiara, co tęczami przepaście osłaniała? Nic z tego niema; nic z tego nie będzie. Wszystko, co raz umarło, zwiędło, zgasło, na zawsze już będzie umarłe, zwiędłe, zgasłe!...

Tak wołałem—a smutek mnie zwyciężał, i zdawało mi się, że jak Atlas, świat cały dźwigam na barkach.

S Y R E N A



I.

Do balwiera na Dunaju wszedł człowiek lat czterdziestu, z miny sługa dworski, z odzienia szaraczek.

Wszedł, nic nie powiedział, i na ławie pod ścianą usiadłszy, sapać jął.

Balwierz, ubrany kuso, z niemiecka po szwedzku, kończył właśnie golić łeb jakiemuś oczajduży z wielkimi obwisłymi wąsiskami. O wąsiskach tych słusznie rzecz było można, że się dawały trzykrotnie około uszu owinąć i końcami w cholewy zatknąć.

Gdy wąsal wstał i, pieniądz pobielany rzuciwszy, na ulicę wyszedł, gospodarz ku przybyłemu się zwrócił.

— Co ci to Maciuś? Za domem ci się ckni? za obwarzaną kaszą? za dziewczkami kasztelańskimi?

Tamten głową pokręcił przecząco.

— W Warszawie ci dziwno?

Gość spojrzął z podelba — nieśmiało mruknął:

— A juści.

Splunął na podłogę, butem zatarł, czapkę z barankiem z ręki do ręki przekładał.

— Niewiasty macie cudne—rzekł po chwili milczenia, oczu nie podnosząc.

— To się wie!—przytaknął balwierz.

— Istne *sereny*...

— Iiii!... Ogonów nie mają.

— Nie o ogonach myślę.

— O czymże?

— O głosie.

— Z głosem bywa różnie. Słyszałeś moja, kiedy w pasję wpadnie?

Gość nie odpowiedział. Czapkę w rękę gniótł i milczał.

— Jedna osobliwie—bąknął, do swego wracając.

— Co za jedna?

— Serena...

Balwierz, który, przed zwierciadłem stojąc, twarz wykrzywił i brodę sobie przyszyrzył, usta rozszerzył w filuternym uśmiechu...

— Ej, Maciuś!—rzekł, na nosie grożąc.—Już ja widzę, co się święci. Rozmłowałeś ty się, smyku!

Tamtego słowa te nie zmieszały.

— I srodze—przytaknął.

Balwierz od zwierciadła odstąpił, na ławie obok gościa usiadł, za szyję go objął.

— Gadaj, Maciuś, uczciwie, nie półgębkiem. Jak? kiedy? w kim? Krewniśmy, skrytości między nami być nie powinno...

Wówczas urodzony Maciej Wrona, dworski J. W-go IMci kasztelana plockiego, z panem swym do Warszawy przybyły, opowiedział szczegółowo, co mu na sercu leżało.

Zakochany był po uszy—na niewidziane.

Zaraz nazajutrz po przyjeździe, gdy szedł „między-murzem” (wypadła mu tędy droga do kasztelańskiej gospody, która mieściła się w Rynku), usłyszał głos czarowny.

Czysty, jak kryształ, *soprano* wybiegał z wysokiego okratowanego okna, uderzał o mur przeciwległy, i rozwiniętszy skrzydła, leciał, jak gołąb biały, w błękity...

Wrona, choć mu już było pod czterdziestkę, nie słyszał, jak żyw, śpiewu takiego. Odrazu się w nim rozmiłował, przez dzień cały w uszach i sercu go nosił.

Gdy wracał tą samą drogą wieczorem, śpiew znowu się rozlegał, czarowniejszy jeszcze i świeższy.

Zasłuchanemu Wronie (sam to mówił) było tak, jakby mu kto miodu plaster na sercu rozsmarowywał...

Ale choć stał długo w ciasnym przejściu, na napiętki się wspinał, i szyję, jak bocian, wyciągał, śpiewającej dojrzeć nie mógł.

Nazajutrz toż samo. Też same czary i też sama skrytość. Nawet języka nie było u kogo wziąć.

Wrona, który był kochliwy, jak kot, a zapalny, jak siarka, rozgorzał ku nieznajomej szalonym afektem. Ależ bo śpiewała! Słów nie rozeznawał — włoskie były — melodja jednak porywała go wprost za kołnierz i niby Habakuka ku niebu niosła.

— Miły mój! — do krewniaka mówił — tu być musi życia mojego meta. Mam szmat ziemi pod Mławą, w mieszku talarów twardych setkę. Rzucę dworszczyznę, co mi omierzła, na kobiercu stanę, — potem wezmę się do roli.

— Z kim na kobiercu?

— Z nią — z *serena*...

Balwierz pogładził wymuskaną czuprynę.

— A jeśli cudzoziemka? — zapytał.

— Nic mi to! — wykrzyknął Maciuś z mocą.

— A jeśli poganka?

— Nawrócę ją, lub się sam spoganię...

— O! o! o! — zaśpiewał balwierz na trzy różne tony i, wstawszy, chodząc począł krokiem podrygującym po izbie.

Nagle zatrzymał się, palec wskazujący ku krewniakowi wysunął.

— A jeśli stara i szpetna? — szyderczo zagadnął.

Tamten rzucił się gwałtownie.

— Nie kpil! Stare i szpetne jak żaby skrzeczą, — ta pieje, jak słowik.

Balwierz nie ustępował.

— Maciusiu! — krzyknął, ostatniego chwytając się argumentu. — A jeśli... nie zechce ciebie?

Dopiero to Wronę wzruszyło.

— Uf! — jęknął i za łeb podgolony się złapał. — W najdroższą uraził mnie bolączkę. Nie daj Bóg aby tak być miało!

W milczeniu głową pokiwał.

— Właśnie ja z tem, mój miły, do ciebie przyszedłem.

— A cóż ja pomogę?

Tamten głos zniżył.

— Gdybyś chciał tylko... Wy, ludzie uczeni, (balwierz się nadał) na wszystko sposób macie. Wam znane są zioła, co mury kruszą, kamyki, co czynią niewidzialnymi, zaklęcia na przyciąganie ludzi, kordyały na wzbudzenie afektu...

— To nie balwierska rzecz, jeno alchemicka — mruknął gospodarz, nie przestając się nadymać. — Zresztą — łaskawiej dorzucił — pomówię o tem z moją babą. Ona coś nie coś zna się na tem...

Maciuś uściśnął krewniaka z całego serca i „zbawicielem“ swym nazwał.

II.

Gdyby Wrona nie był rodem z prowincji, gdzie ludzie ślepi na świat przychodzą, a częstokroć i przez całe życie wzroku nie odzyskują, i gdyby w stolicy gościł nie po raz pierwszy, byłby z pewnością w afektach swych powściągliwszy i ostrożniejszy...

Przedewszystkiem wiedziałby, że *Inter moenia*, albo inaczej „Międzymurze“ miejscem dobrej sławy nie jest.

W tym przesmyku, dzielącym mur wewnętrzny od zewnętrznego, a zaledwie na dwadzieścia do trzydziestu łokci szerokim, nader trudno było-by uwić gniazdo słowikowi.

Oprócz żołnierstwa, które gęsto się snuło, to śpiesząc na posterunek do bram miejskich, to na stałe leże do „Domu rycerskiego“ przybywając (zład późniejsza miejsca tego nazwa), królował tu kat ze swoim dworem, na którym i niewiast — ale jakich! — nie brakło.

Rzeczy tych ślepy Mazur pod uwagę nie brał i brać nie chciał.

Ile mu tylko czasu od posługi przy kasztelanie zbywało, pod basztą spędzał.

Obojętnem mu było, że go ci i owi palcami wytykają, albo i w żywe oczy zeń się śmieją, z rezygnacją też znosił urągawisko dzieciaków, które, w załomie murów ukrywszy



się, gruzem go osypywały. Ów „miód, rozsmarowany na sercu“, wynagradzał mu wszystko.

Śpiew rozlegał się z przestankami, zawsze jednakowy—melodyjny, piskliwy nieco i uczony.

Gdyby śpiewano proste piosenki, Wrona nie byłby uległ opętaniu, „arje“ wszakże, których dotąd nigdy nie słyszał, otworzyły przed nim zarazem niebo i piekło.

Zachwycony był, jakby słyszał chóry anielskie, i odurzony, jakby się opił blekotu.

Mimo zaklęć, ziół przy księżycu zbieranych, kabalistycznych znaków i kordjału (wszystkiego pod przysięgą milczenia dostarczyła balwierka), czarodziejka nie zjawiała się...

Przez cały czas swego wystawiania, Wrona widział tylko dwukrotnie straż marszałkowską, zaciągającą wartę, i raz jeden basztowego strażnika.

Strażnik był przygarbionym starowiną; miał wyraz twarzy człowieka, który ustawicznie nadśluchuje.

Wysunął się lękliwie z wąskiej furty, uszy bawdawczo nadstawił — potem ręką oczy przysłonił, na niebo spojrzął i kichnął.

Zrobiwszy to, cofnął się napowrót do ciemnicy.

Jednego wszakże wieczora, doczekał się Wrona niespodzianki. Wszystką krew ona w nim wzburzyła.

Gdy już się dobrze zmierzchno i śpiew ucichł, skrzy-
nęła furtka, z baszty wybiegł mężczyzna. Włoszek to
był młodziuchny, lat może osiemnastu, gach widocznie,
w odzieniu obcisłym, z włosami długimi, które nakrywał
kształtny berecik z piórkiem.

Wybiegł, jak strzała, i jak strzała przebiegł tuż mimo
Wrony, który poczuł nawet zalatujący od niego zapach
kamfory czy piżma. Maciuś rzucić się chciał na współzawod-
nika, uczynić tego wszakże nie mógł, za całą broń mając
tępy kozik. Przytem ręczość obu była całkiem niejednaka.
Wrona na chlebie dworskim roztył się i ocięzał, tamten
smukły był i chybki jak jeleń.

Zamiast więc za gachem, który pomknął w stronę
Zamku, wieśniak puścił się do krewniaka.

Właśnie balwierz rozczesywał szlachcicowi jednemu
czuprynę kształtem „ordyńskim“, co, jak wiadomo, nielada
jest mitręgą—gdy ów wpadł jak kula wystrzelona z muszkietu.

— Miły mój! — z progu wrzasnął — ratuj!

Balwierz rzucił się niecierpliwie, zatargawszy szlach-
chica, który zaklął.

— Czego chcesz? — mruknął z gniewem.

— Łuku chcę tatarskiego! — jęczał Wrona — kon-
cerza! arkebuza! kolubryny!...

Był tak pocieszny, że i balwierz i szlachcic, jeden
o gniewie, drugi o bólu zapomniawszy, śmiechem
parsknęli.

— Na wojnę idziesz, Maciuś? — spytał balwierz
wśród śmiechu.

— Na wojnę, mój miły!

— Na Turka? Szweda? Tatara?

— Na Włocha.

— Zabić go chcesz?

— Boże zachowaj! Albow to Herod, by młodzianki
rzezać!

— Postrzelić zatem? przedziurawić? okaleczyć?

— I to nie!

— Na cóż ci ryszstunek tak srogiego?

Wrona dwa razy splunął, zanim odpowiedział.

— Przerazić chcę łotra — bąknął wreszcie, czapkę
gniotąc. — Niech na bory i lasy ucieka, mnie i mój afekt
w spokojności zostawi!

Pot kroplisty otarł z czoła, na ławie zasiadł.

Dopiero po odejściu szlachcica, balwierz dowiedział
się szczegółów o nowym frasunku krewnego. Amory to
zawsze sprawa głupio-smutna. Nuż krewniak wlezie w jaką
matnię, o którą w stolicy nietrudno? Wujeczni są, rato-
wać go trzeba.

Balwierz stanął przed zwierciadłem, bródkę sobie
trefił i rozmyślał.

Nagle zawołał tryumfująco:

— Maciuś!

— A co?

- Króraż to jest owa baszta?
 — „Czerwoną” ją zwał.
 — To i lepiej.
 — Czemu lepiej?
 — Dowiesz się. Strażnika widziałeś?
 — Widziałem.
 — Jakiż on?
 — Stary już. Lisem go czuć i borsukiem. Bestja nieprzystępna i podejrzliwa. Wietrzy tylko, nasłuchuje...
 — Bo głuchy.

Uśmiechnął się balwierz sam do siebie, wtarł w bródkę maści mocno pachnącej, od zwierciadła odstąpił.

— Słuchaj, Maciuś — rzekł, rękę na ramieniu krewniaka kładąc. — Ja tego strażnika znam.

— Ba!

— Nie mów ba, jeno zważaj. Ja strażnika znam. Nazywa się Balcer. Miałem niegdyś robotę koło jego uszów. Ta dziewczka to musi być jego córka.

Wronie oczy się zaiskrzyły. Wydało mu się, że odmykają przed nim bramę do nieba. Otworzył usta, jakby chciał słowa krewniaka połykać.

— Wprawdzie — ciągnął tamten — nie pamiętam, czy Balcer miał dziecko. Wszelako że wdowiec, to wiem. Balcerową chowaliśmy z piętnaście lat temu. Może jaki pędrak po niej został. Nietrudno o to. Zważasz, Maciuś?

— Zważam, mój miły.

— Otóż, jak rodzonemu ci rzekę. Jutro, zamiast armaturę brać, świątecznie się przywdziej. Pójdziemy do Balcera. Ja mu się przypomnę, o uszy zapytam; ty dziewczkę poznasz i...

Reszta słów balwierzowych przyduszona została krzepkim krewniaka uściskiem.

III.

Jedno małe, zakratowane okienko i para wąskich, ukośnych, strzelniczych otworów słabo oświecały izbę sklepioną o ścianach nietynkowanych, o ceglanej posadzce.

W smudze białawego światła siedział zgarbiony na zydlu staruszek i zapisywał coś do wielkiej, w pergamin oprawnej księgi. Przed staruszkciem leżała wiązka kluczy olbrzymich; nieopodal stał w kącie halabard pęk i muszkietów kilka.

Dębowe, okute, na klamkę zamknięte drzwi wiodły do obocznej izby, w której wyspiewywał ktoś pełną piersią słodkie „rulady“.

Dźwięczny, choć trochę piskliwy, sopran napełniał falami melodji obie izby, strugą wezbraną nazewnątrż się wylewając. Melodja, co kilka lub kilkanaście taktów, milkła, ustępując miejsca gamom, pasażom, trylom.

Nie popis to był, lecz lekcja.

Staruszek pisał z trudem wielkim, powtarzając na głos wyrazy. Zębów mu brakło, szeplecił przeto okrutnie.

— Szloszarzowi — mówił i pisał zarazem — za klucz do fortu *florenusz unusz*. Ża dwie kopie bretnali...

W tej chwili zastukano.

— ... „do deszek żbijania — ciągnął, nie przerywając sobie — florenów szedem“.

Zastukano i zakołatano mocniej.

Staruszek nie przestawał pisać, głowy nie podnosząc, choć wyraz jego twarzy był taki, jakby się pilno dobijaniu onemu przysłuchiwał.

Tymczasem stukającym zbrakło cierpliwości. Zakołatawszy raz jeszcze bezskutecznie, sami sobie drzwi otworzyli.

Dwóch ich było. Weszli, i na progu stanąwszy, chrząknęli. Chrząknięcia nie usłyszano. Utarli z hałasem nosy — toż samo milczenie.

Jeden postąpił krok naprzód i wyrzekł głosem donośnym:

— Pokój temu domowi!

Nie odpowiedziano.

Wówczas obaj porozumieli się oczami i poszli prosto ku stołowi. Dopiero gdy się o róg jego otarli, dostrzeżeni zostali.

— Jezusie Norymberszki! — wrzasnął staruszek przeżliwie, z zydła się zrywając.—A kto to? a czo to? a do kogo to?

I cofnął się ku miejscu, gdzie muszkiety stały i halabardy.

— Perz jestem, balwierz z Dunaja! — oznajmił się głośno jeden z przybyłych. — A to mój wujeczny, Maciuś Wrona, dworski jaśnie wielmożnego kasztelana płockiego!

Stary nie słuchał. W jednej ręce trzymając halabardę, gwałtownie nią potrząsał; drugą ręką drzwi pokazywał, krzycząc aby sobie precz poszli.

Więc balwierz chwycił się środka ostatecznego. Poskoczył szybko ku staruszkowi, wpół go chwycił i, obezwładniwszy, w samo ucho huknął:

— Perz jestem!... Balwierz!... Na uszy waszmości kurowałem... A to Maciuś!... Wujeczny!..

Usłyszał nareszcie strażnik i uspokoił się.

Halabardę oparł o ścianę, dwa zydle gościom podsunął.

Dziwne mu jednak były te odwiedziny.

— Jezusie Norymberszki! — nie przestawał powtarzać.—A czo to waszmoszciców sprowadziło? A czo to waszmoszcie chceta?

Balwierz wyjechał z przygotowanym zawczasu konceptem.

— *Remedium* na głuchotę mam!—do uszu staremu krzyknął.—Przyniosłem, abyś waszmość spróbował.

I wy dostał z kieszeni słoik mały, błoną pęcherzową zaklejony.

Ale staruszek rękę ze słoikiem odepchnął.

— Nie trza! nie trza! nie trza!... — prędko trzepał. — Na uszy, chwalić Boga, zdrowem!... Szłyszę dobrze, dzięki Jezusowi.

I zaraz ku czemu innemu rozmowę zwracając, trzęsącym się palcem Wronę wskazał:

— A ówże po czo?

Balwierz odchrząknął, czub pomuskał, stopą po posadzce zaszurał.

— To kategoria odmienna — wyrzekł uroczyście a dobitnie. — Waszmość, mości Balcerze, córkę masz...

— Czo?

— Córkę masz waszmość, pannę nadobną, jak lelija...

— Czo? czo?

— Jak lelija, mówię, nadobną, a śpiewającą cudnie, jak serena...

Strażnik dłoń do ucha przyłożył.

— O czym waszmość mówisz? — zapytał, usta bezębne otwierając.

— O córce! — krzyknął tamten na całe gardło.

— O czyjej?

— O waszmościnej!

Staruszek rzucił się na zydlu, głową i rękami trząść zaczął.

— Jezusie Norymberszki! — krzyczał! — Nijakiej córki nie mam!... Nijakiego szyna nie mam! Jak palec jeźdem!... Czo waszmoście chczeta?...

Balwierz stropił się, Wronie wyciągnęły się policzki, wąsy obwisły.

W tej chwili za dębowymi drzwiami rozległ się pasaż tak głośny, że obaj goście na zydlach podskoczyli.

Balwierz ujął strażnika za ramię, ku drzwiom wykręcił.

— A cóż to za niewiasta w owej komnacie zamknięta? — zapytał.

— Niewiaszta? — zaszepelił przestraszony staruszek. — Jezusie Norymberszki! Jaka żnów niewiaszta?

Tamten, do samego nosa rękę mu przyłożywszy, drzwi okute wskazał.

— Nijakiej niewiaszty nie mam! — zajęczał strażnik. — Jak palec jeźdem. Czo odemnie chczeta?

— Któż więc tam śpiewa? — zakrzyknął z pasją już balwierz.

— Pacholę jedno śpiewa. Włoszek niebożątko z kapeli królewskiej... Dyszkant ma, gadają, jak szwider. Chudziaczka nikt na gospodę wzięcz nie chciał... Jam się zmiłował, bo mi to nie szkodzi... A czo waszmoście prawita, nie rozumiem... Jaka niewiaszta? Jezusie Norymberszki!..

Maciej Wrona zaraz nazajutrz kasztelana i Warszawę porzucił.

Na wsi osiadłszy, sto talarów bitych na kościół dał i rekolekcje odprawił, dziękując Bogu, że go ocalił z szatańskich sideł *sereny*.

Wszystkim zaś do końca życia powtarzał, że tę *serenę* na własne uszy śpiewającą słyszał, i że ją strażnik „Czerwonej Baszty“ w Warszawie u siebie trzyma, a przed ludźmi za pacholę włoskie udaje.

CZEGO NIE ROZUMIEJĄ
JASKÓŁKI I MOTYLE

Odbiliśmy się raz od swego młyna tak daleko, że gda-
kanie jego kół przestało już do nas dochodzić.

Nina zrywała polne kwiaty do bukietu—tak się
zaś jakoś złożyło, że im dalej, tem kwiaty rosły piękniejsze
i w większej obfitości.

Za ostrózkami więc i chabrem błękitnym uszliśmy
wiorst kilka, ani wiedząc: jak i kiedy.

Oddawna już zresztą przestaliśmy rachować godzi-
ny i zajmować się czasem. Zegarki nasze leżały na dnie
komody, nie nakręcane od miesiąca.

Któż na miłośnej schadzce śledziłby bieg wskazó-
wek? Któż, odbierając tysiące pieśczoł od przyrody,
zrażałby ją liczeniem czasu na równe a skąpe ułamki?

Słońce stało na niebie tuż przed nami. Zdawało
nam się, że, idąc, do słońca idziemy.

Nagle wśród równin, łagodnie falujących, na któ-
rych gdzieniegdzie tylko grusza polna samotnie stró-

zowała, wyrosło nad głowami naszymi wzgórze, na niem sosen kępa niewielka.

Sosny były chorowite i rzadkie. Kępa przeświecała nawskróś, pozwalając widzieć na przeciwnej stronie żółte ściany i czerwoną dachówkę dworu wiejskiego.

Zaciekawiliśmy nas ten dwór żółto-czerwony, weszliśmy więc między sosny, pomimo, że nic w nich nie było, coby mogło przyciągnąć ku sobie.

Pewne drzewa, jak pewni ludzie, działają odpychająco od pierwszego wejrzenia.

Ziemia pomiędzy sosnami nie zieleniła się ani jednym źdźbłem trawy. Jeśli rosła tam ona kiedyś, to ją widocznie wydeptano. U podnóża pni napróżno wzrok upatrywał roślinności młodej, która zwykle starodrzewowi towarzyszy. Była to wegetacja bez przyszłości, tak jak są żywoty bez jutra.

Minąwszy tę smutną sośninę, ujrzelśmy przed sobą spory dom, po którego ścianach pięło się dzikie wino. Do jednej ze ścian przypierała altana z tyczek, oplecionych powojem i grochem. W tyle znajdował się ogródek, opuszczony i chwastami zarosły.

Ale największą, a widocznie i najważniejszą częścią zabudowań były szopy niezmiernie długie, które ciągnęły się po obu stronach dworu, zdając się tworzyć z nim całość nierozdzieloną.

Nieco dalej żółciło się ogromne pole, odgródzone od budynków i placu przed nimi niskim, żerdzianym płotem.

Płot tworzył linię łamaną, w tem zaś miejscu, gdzie przecinały się dwie ukośnie biegnące jego połowy, posiadał bramę — wysoką, przestronną, na oścież w tej chwili otwartą.

Zbliżyliśmy się do niziuchnego płotka. Zaledwie Nina oparła na nim parasolkę, w żółtym domu otworzyły się drzwi — mężczyzna jakiś, na progu stanąwszy, zapytał krzykliwie:

— Wy za granicę?

Zrozumieliśmy.

Płotek, z krzywych żerdeń niedbale sklecony, był czemś więcej, niż metą gospodarskiej posiadłości...

Ten płotek przedzielał dwa narody, dwa kraje, dwie cywilizacje.

Żyto, rosnące z tamtej jego strony, było już niemieckim żytem; bławatki, które, jak niebieskie światełka, tliły się wśród kłosów, były już bławatkami niemieckimi.

Niemieckim był nawet wiatr, nadlatujący stamtąd razem z wonią polnych, miodem pachnących powojów...

Rozumie się, że Nina musiała wyrzec się wzbogacenia swego bukietu zagranicznym kwieciem. Wyrzeczenie się to objawiła czempredzej pytającemu gromko mężczyźnie.

Cofnął się on, uspokojony—choć niewątpliwie kilkanaście par czujnych, acz niewidzialnych oczów śledziło od tej chwili wszystkie nasze poruszenia.

Z dziwnym uczuciem poczęliśmy teraz rozglądać się dokoła.

— Jakto?—pytała Nina, szeroko otwierając oczy; — więc kłos, który wyrósł tutaj z przyniesionego wiatrem ziarna, jest nasz, a miliony kłosów, rodzonych braci jego, dla tego tylko, że wyrastają o krok jeden dalej, są już cudzoziemskie?

Starałem się wytłómaczyć jej, że to jest bardzo naturalne, nawet konieczne...

— Dla kogo?...

W odpowiedzi mogłem tylko ramionami wzruszyć.

Zajęci myślą rozdziału, zwróciliśmy oczy na niebo, upatrując i na niem linji granicznej.

Niebo było jedno i niepodzielne.

Spojrzeliśmy na słońce.

I słońce było jedno i niepodzielne.

W tej chwili motyl, który nieopodal nas siedział na płotku, rozkładając i składając czerwone ze srebrzystą podszewką skrzydełka, porwał się do lotu i spokojnie na niemiecką stronę pofrunął.

Bujał tam długo ponad chwiejącymi się kłosami, znalazłszy wreszcie towarzysza, może towarzyszkę, spokojniej jeszcze przyleciał z powrotem.

Jednocześnie kilka jaskółek, czując zbliżającą się ulewę, poczęło z piskliwym ćwierkaniem zataczać olbrzymie koła, wybiegając daleko a bezkarnie poza pas graniczny...

— A widzisz! — zawołała z tryumfem dziecinnym Nina. — Jaskółki i motyle nie uznają owej „konieczności“, o której mi tak uczenie rozprawiałeś...

Zasmuciły mię te słowa nieroztropne.

— Ach, Nino, Nino! — z wymówką rzekłem — alboż zapomniałaś, że człowiek jest istotą, od płochych ptaków i owadów lekkomyślnych rozumniejszą?...

SZLAKIEM UMARŁYCH

Nareszcie i nad Wenecją niebo się zmroczyło. Stada chmur ciemnych napędził *scirocco*, od dwóch dni wiejący. Wzrusza on i gwarem napelnia morze; w kanałach i w kanalikach wodę podnosi; barkom, żaglami oskrzydlonym, jaskółczą chyżość daje...

Na placu przed Bazyliką wystąpiły małe jeziorka. Błyszczą zdala, na szarym marmurze, jak srebrna inkru-stacja. Jedno załało Loggię, najmisterniejszy z Sanso-vina klejnotów. Po innem brodzi gromada chłopców w czerwonych fezkach, puszczając na wodę papierowe gondole. Z trzeciego piją gołębie.

Deszcz mży. Smutno. Uwiązane do malowanych słupów statki, tłuką metalowymi dziobami w granit wy-brzeża i w marmur pałaców. Gondolierzy porozłazili się po *trattoriach* i *bottiglieriach*. Grają w zatłuszczone kar-ty; piją z fajansowych dzbanków *vino nero*; gryzą, ma-czając w kubkach, surowe selery.

Wenecja zszarzała i zbrzydła. Teraz dopiero widać, jak jest głucha. Gdy nie ożywia jej paplanie gadatliwej ludności i stukot drewnianych sandałów, wydaje się grobem. Nie usłyszysz tu odgłosu kopyt końskich, ani turkotu kół; nawet ćwierkanie wróbla uszu twych nie doleci. Czasem tylko wrzaśnie zawieszona gdzieś wysoko papuga, lub zapiszczy małpka, wysuwająca wężącą mordkę przez poplątane kratowanie okna...

Jak cicho! Jak ponuro! Z zaułków, dziwacznie pokręconych; z przesmyków, tak wąskich, że rozkrzyżowały ręce, obu przeciwległych murów dotykasz; z podcieni, mroku i tajemniczości pełnych; z okien czarnych, w gotycko-maurytańską ramę ujętych; z ruder, deskami zabitych, a książęce herby na czole noszących; z całego chaosu rzeczy nieznanymi ci i strasznymi, kędy majaczą kudłate łby lwów, paszcze smoków, ziewy rekinów, pyski czartów—wszystko zmieszane z pulchnymi ciałami amorków figlarnych, nimf o nabrzmiąłych piersiach, wszetecznie zakrywających twarze a obnażających łona — wypelzła mgła smutku ciężkiego i na mózgu ołowiem się kładzie.

A tam w górze, wśród lasu wieżyc, kopuł cebulowatych, strzał żelaznych, ku chmurom wymierzonych, jęczy wciąż i modli się, szaleje i rozpacza żałobna muzyka dzwonów, oplakująca umarłych, urągająca żywym, wieszcząca smutek i zagładę tym nawet, którzy dopiero przyjąć mają...

Przy *Ponte Santi Apostoli*, siadam do dużej barki, odpływającej na morze. Środek jej zajmuje długa, oszkłona buda z lawkami wewnątrz, obitemi ceratą. Wyglądają ztamtąd oliwkowe twarze, włosy rozczochrane, czerwone łachmany, sępie profile, oczy głęboko zapadłe, zęby żółte, poszczerbione, żzute...

Lepiej na pokładzie — mimo deszczu i wiatru. Ale i tu mam wprost siebie staruchę, trzęsącą się, siną, z ustami otwartymi, szczęką opadłą...

Łódź Charona!

Płyniemy kanałem, pełnym śmiecia i odpadków różnych. Woda ma tony atramentowe.

Statek nasz potraça o zbite masy zielsk wodnych, rybich i ptasich wnętrzości, skorup rakowych, słomy, pierza, łuski, papieru, obierzyn. Wszystko to rozkłada się, i zgniłym, mdlącym wyziewem napelnia powietrze.

Poczerniałe, chylące się ku sobie domy mroczą bardziej jeszcze ten przesmyk ponury.

Nagle jasność wielka uderza. Jasność i świeżość. Prześlizgnąwszy się pod arkadą mostu, wpływamy na morze...

Ile razy znajdę się na płaszczyźnie wodnej, tchu mi przybywa. Fale śpiewają mi pieśń znajomą, serce zgodnie jej wtórzy. Te dwie mroczne otchłanie rozumieją się i szukają. *Abyssus abyssum vocat.*

Dzisiejsze morze niepodobne do tego, jakie oglądałem dni temu kilka. Całe pobródzone, poryte, do niwy podobne, po której pług przeszedł.

I barwę ma inną—ani seledynową, ani błękitną, ani oliwną. Barwę ma stali. Miejscami kładą się na niem rdzawe, brunatne, całkiem nawet czarne plamy. Wre przytem, jak wrzątek...

Rozglądam się dokoła. Panorama Wenecji rozciąga się długim, wąskim pasem — do wstęgi czerwono-żółtej podobna. Na prawo arsenał i doki. Na lewo pustynia wodna, tu i owdzie barkami pocentkowana. Barki wyglądają, jak much czarnych stado. A ten oto chrałaszcz, to — okręt. Przedemną cel mojej wycieczki — San Michele.

Celu tego rozmowny *barcaiuolo* nie odgadł...

— *Signor* do Murano? — pyta, zwracając na mnie zmrużone oczy.

— Nie, do tej bliższej wysepki, gdzie opactwo...

— Po co? Zabawy tam żadnej niema. Żywej duszy *signor* nie znajdzie. Mnichy mruczą pacierze, drzewa szumią, morze gada — to wszystko.

— Jest tam coś jeszcze, o czym zapomniałeś...

— A tak: *cimitèro*...

Kapelusz zdjął, przeżegnał się.

— *Ecco!*— rzucił, do zwykłego tonu wracając.—Co za myśl jechać tam samemu i w czas taki! Żywym trzeba

do żywych. W Murano jest na co patrzeć, dzięki Bogu. Same *vetrerie* cud cudów. A dziewczęta!...

Gadał jeszcze—ja tymczasem śledziłem drogę, którą szła barka. Ta droga, to gościniec umarłych. Tędy wszyscy weneccjanie żwawi i wszystkie smętne weneccjanki płyną gondolami czarnymi — po śmierci.

Z morza tymczasem, naksztalt olbrzymiej gałęzi koralu czerwonego, wyrasta wysepka. Mur ją opasuje wysoki, małemi wieżyczkami najeżony, nietynkowany, krwawy. Wygląda zdala, jak reduta.

Zbliżamy się i barka płynie teraz wzdłuż owego muru, z ponad którego wystają ciemnych cyprysów wierzchołki. Mur jest pełen szczerb, które morze wygryzło. Wyglądają, jak rany otwarte.

W jednym miejscu, pod naporem fal, szaniec pękł od podstawy do szczytu. Przez szczelinę widać bielejące nagrobki. Nie wiem dla czego wyobrażam sobie, że tą szczeliną wymykają się umarli, gdy im przyjdzie ochota żywych odwiedzać...

Morze z głuchym pomrukiem o mur się rozbija.

Czyżby chciało skruszyć kajdany, które śmierć nałożyła? A może, samo pełne szumu i wrzenia, niecierpliwie się ciszą, jaka wysepkę zaległa?

Barcaiuolo i towarzysze jego gadają coraz prędzej, coraz głośniej. I wiosła coraz szybciej obracają się w ich żyłastych rękach. Pragnęliby jaknajprędzej to miejsce

wyminąć. Jeden zaczyna piosenkę jakąś, ale zaraz urywa — jakby mu ją wiatr z otwartych ust zdmuchnął...

Spostrzegam arkadę niską, czarną, ze świetlanym w głębi punktem. Fale ciekawie tam zaglądną, każda jednak szybko wszedłszy, szybciej jeszcze ucieka.

— Co to?

-- Korytarz nędzarzy, *signore!*

— A ten punkt jasny w głębi?

— Furteczka cmentarna, *moussiou!*

Charon mój stara się przy tych słowach uśmiechnąć.

— Te piękne wrota—dodaje—które *signor* widział z tamtej, strony, odmykają tylko panom. Biedak wkrada się tędy jak złodziej...

Barka zatrzymała się przy kamiennych schodach. Wsiadam sam jeden. Szatańskie oczy, jastrzębie profile, bursztynowe twarze i łachmany o barwach papuzich, popłyną zaraz dalej, do zaczerwionego dymem fabrycznym, Murano.

Barcaiuolo, któremu płacę, podejrzliwie patrzy mi w oczy, do kieszeni zagląda. Upatruje zapewne lufy wążkiej, błyszczącego ostrza, flakonika... Głupi! Pochlebić mi chce myślą, że się śmierci nie ulękę. Jam przecie nie uląkł się — życia!

Mijam szybko przedsiónek, obwieszony wieńcami, których długie, czarne wstęgi żalobnie szumią; mijam

dziedzińczyk klasztorny, z kolumnadą dokoła i rzeźbioną cysterną pośrodku; mijam wirydarzyk jakiś, kwiatów i posągów pełny—i staję u celu.

Tu leży... Wenecja!

Tu leży Wenecja wieku dziewiętnastego, Wenecja młoda, wątłe dziecię wspaniałych, krzepkich rodziców. Ich samych szukać trzeba gdzieindziej: po lochach kościelnych, pod marmurowymi płytami dzisiejszych *campi* i *campioli*—na dnie oceanu wreszcie...

San Michele jest grobem Wenecji dopiero od roku 1812. Przedtem, przez ciąg sześciu stuleci, mieli tu pustelnię swą Kameduli. Obecnie, pozostały po Kamedulach klasztor służy Franciszkanom.

Ze wzgórką, na którym stanąłem, obejmuję wzrokiem cały cmentarz. Jest on dużą, prawie nagą, płaszczyną. Środkiem biegną dwie czarne linje cyprysów; w jednym miejscu zbita kępa drzew, murem obwiedzionych; po bokach trochę krzewów, kilka topol, dwa czy trzy platany. Dokoła—morze.

Na nagrobki miejsca tu niema. Kupią się one na placu przy klasztorze i w ogródku małym, przy katakumbach. Tu, nawet mogiłek sypać nie wolno. Groby oznaczone są małymi tabliczkami z marmuru, w ziemię wtkniętymi. Z jednej strony nazwisko, z drugiej numer — na tem kończy się wszystko. Z miejscem liczyć się trzeba skrupulatnie, więc też groby tak szczupłe,

że trumna trumny dotyka. Często ludzie, którzy za życia stronili od siebie jaknajdalej, po śmierci bokami do siebie przypierają...

— Bogacz i na to sobie poradził! — mówił mi później pewien wenecki demokrata. — Zakupuje dla siebie dwa albo trzy „numery“, i rozwała się w swej trumnie, jak w karecie...

Białe kamyki, niby sznury pereł, wyciągają się długimi szeregami. Cmentarz zdaje się polińjowany w różnych kierunkach białą farbą na tle ciemno-zielonem. Gdzieś tam, żywi zatknęli umarłemu lekki, drucziany krzyżyk, powiesili na nim paciorkowy wianuszek, uczepili latarenkę malerka, w której drży płomyk naftowej lampki, jedyny ślad życia, z jakim się tu spotykam. W kilku miejscach widać uplecione z drutu namiociki, kosze, urny. Pną się po nich powoje i groszki wonne; czyniąc z nagrobka jakąś rzecz wesołą, ogrodowi włościwszą, niż cmentarzowi. Znalazłem w jednym miejscu nagrobek taki w kształcie kolebki—wykwiecionej różami mchowemi, żonkilami, tacetami. Straszna kolebka!...

Zdała, obojętnemu zwłaszcza oku, cmentarz przedstawia się wesoło. Posiany jest błyszczącymi kulkami szklanymi różnych kolorów. A że i kwiatów nie brak, wianki zaś nagrobne wyrabiane są z paciorków, nie tylko czarnych, lecz także niebieskich, białych, różowych—barwy

jasne i pogodne przeważają. Tyle też tu jednak tylko jasności i pogody!

Pomiędzy grobami błędę samotny. Deszcz mnie smaga i wicher, cyprysy perlami rosy osypują. Co krok zagradzają mi drogę krzaki róż, bujnym kwiatem okryte. Nie wiem, czy o wiosnie śpiewają im rozkochane słowiki, teraz ani jednego ptaka nie widać, nie słychać. Jedynym głosem: stłumiony ryk morza, które żali się, dąsa i krzyczy: „Puśćcie mnie! puśćcie!...”

Umarli weneccy oddani są: ziemi, niebu i morzu. Żywi nie często do nich zaglądną. Płynąć barką tak daleko — rzecz kłopotliwa; siedzieć zaś bezczynnie i mleć językiem na miejscu—tak wygodna. Zresztą, dziś lub jutro, zawiozą ich tam inni...

Zachodzę na sam koniec cmentarza, gorzką rozkosz w tem obcowaniu z nieboszczykami znajdując. Tak wiele mamy sobie do powiedzenia — ust nie otwierając! Mniej oni dla mnie obcy, niż czereda obieżyświatów, włócząca się po weneckich placach, galerjach, muzeach; zachwycająca się tem tylko, czem „Guide“ zachwycać się każe; otwierająca usta przed spospolitowaną bazyliką św. Marka, zamykająca je przed odrapanym ale najpiękniejszym z rzeczy weneckich — zaułkiem.

Tu dopiero czuję się bezpiecznym; tu pełną oddycham piersią. Nie wejdzie mi tu w drogę para nowożeńców, trzymająca się za ręce, zatapiająca oczy w oczach,

nie widząca w Wenecji nic cenniejszego nad miłość swą nic piękniejszego nad dwojga serc harmonję. Nie usłyszę tu śmiechu dzieci, który, nakształt słonecznego promienia rozwidnia mrok starego grodu, ożywia zdrzemnięte w śnie wiekowym mury, wlewa do serc wierzących otuchę, i zwątpionym mówić się zdaje: „Nie wszystko stracone“...

I tu są kobiety młode, kochające i kochane, ze spojrzeniem pełnem czułości, z sercem do poświęceń gotowem; i tu są dzieci, od aniołów Tycjanowskiej „Assunty“ piękniejsze i od wszystkich ponęt życia milsze. Jedne i drugie śpią cicho, z rękami na piersiach skrzyżowanemi—jak moje; i ku niebu twarze nieruchome obróciły — jak moje; i nigdy się już nie przebudzą — jak moje...

Zadzwoniono. Na wysokiej dzwonnicy opactwa zakłótył się dzwon jeden, potem drugi i trzeci. Spizowa melodja spłynęła z wysoka, rozlała się po płaszczyźnie cmentarnej, ześlizgnęła na morze, które poniosło ją daleko, daleko...

Chodźmy do kościoła. „Grób i ołtarz sąsiadują ze sobą“ — zauważył Musset.

Świątynia z XV-go wieku, niewielka, ale jak wszystkie kościoły i kościółki włoskie, rzeźb cennych i obrazów pełna. Okna przyćmione kolorowemi szybami, filary czerwonym sukniem obciążone, płótna o kolorycie zadymionym, powała z dębu, rzeźbiona, wyłaczana. Na gzemsach

doniczki z kwiatami; w konfesjonałach zielone zasłony; posadzka w kwadraty czerwone i żółte.

Barwy zawsze; barwy wszędzie...

Na ołtarzu palą się świece — księdza nie widać. Napróżno wodzę okiem po stallach, napróżno zapuszczam je w głębie ciemnych kapliczek, napróżno rozglądam się po gankach wysokich—nigdzie żywego człowieka.

Nagle, gdzieś w górze, niedźwiedzi zamruczało stado. Zamruczało i zamilkło. W przeciwnej stronie kościoła odpowiedział głos jeden—nosowy, brzęczący. Odpowiedział i ścichnął. Przez kilka chwil głucho. Niebawem, z różnych kryjówek poczynają wylatywać krótkie urywane pomruki, i jak bąki po kościele huczą... Rzekłbyś, że to nawołują się z dziupli swych puhacze.

Nawa świątyni rozbrzmiewa melodją ponurą i straszłą. Rozróżniasz w niej jęki, błagania, przekleństwa, skargi. Rozróżniasz słowa łacińskie, a uwierzyć ci trudno, że to mruczą—ludzie...

Wtem zagrał niewidzialny organ. Zagrał wesołą, skoczną, operową aryjkę. Puhacze zamilkły, jakby zdziwione wybrykiem niewczesnym.

Zaledwie jednak organ przystanął, aby tchu nabrać: mruczenie z podwójną wybuchą zajadłością... I rozpoczyna się sprzeczka ludzi z muzyką.

Przedrzeźniają się sobie wzajem głosy ze świąta i głosy z klasztoru. Ostatnim przybywają posiłki,

bas głęboki — może samego przeora; falset chrypliwy — piwnicznego pewnie braciszka; baryton bezdźwięczny, syczący, czkawką przerywany — niezawodnie zgrzybiałego opata, którego na chór z krzesłem wnosić musiano.

Klasztor zwyciężył. Pusta, Figarowa aryjka, zdławiona mručeniem, które do siły grzmotów urosło, blade, rozplywa się, zamiera. Niewidzialne gardła raz jeszcze zwycięskim chórem wybuchły—milkną.

Kościół zapadł w poprzednią ciszę. Słyszeć tylko szturmowanie wichru do zalewanych ołowiem szybek i wiekuisty płacz morza, rozbijającego się o granity...

Dziwny kościół! Osobliwe nabożeństwo!

Wychodzę do kruchty z duszą sprzecznymi wrażeniami skłóconą. Daleko mi do harmonji, jaką daje modlitwa, najwyższa „ataraksja” ducha, mistyczne roztopienie się w bezmiarze, któremu na imię—Bóg.

W kruchcie bieleją marmurowe ciała świętych, zienią się doniczki z kwitnącemi roślinami, czernieje skrzynia żałobna, do karawanu żydowskiego podobna, napisami okryta.

Na jednym boku skrzyni czytam:

Breves dies homini sunt. Numerus ejus apud Te est.

Na drugim:

Constituisti terminus ejus, qui praeferiri non poterunt...

Pośrodku napisów: kościotrup z kosą i klepsydrą, szczerzący zęby w szyderskim uśmiechu...

Do czego ta skrzynia? Może nakrywają nią trumny, gondolami wiezione?

Zbyteczne to... Gondola wenecka już sama przez się jest karawanem.

Odwracam oczy i spostrzegam w jednej z wnek uśmiechającą się lubieżnie — Wenus. Łukowate linje jej ramion, piersi i łona spływają w całość niewymownie ponętą a zmysłową. Kibić przegięła, jakby w tańcu bachicznym, nogę jedną uniosła, ręce splotła. Wspaniała jest, poezją ciała owiana, do uciech ziemskich ciągnąca. Byłażby to *Venus libitina*? Ale i ta zkądżeby tu?...

Zbliżam się i spostrzegam u stóp posągu czaszkę trupią. Nie Wenus to, lecz — Magdalena..

O dwuznaczność taką we Włoszech nie trudno. Chrystusy są tu nierzadko Apollnami; Madonna z Djaną bliźniaczo bywają podobne; cheruba od amorka rozróżnić prawie nie można.

Zmierzcha się. Kruchtę i kościół cały napelniają cienie. Wychodzą z framug wszystkich, zlatują ze sklepienia, spływają z ołtarzy. Zdaje mi się, że mają kształty ludzkie, że ręce rozpacznie załamują, że skrzydłami białymi wiewają, że pokazują niebo i za sobą iść każą...

~~~~~  
Staję w miejscu, czarem dziwnym spętany. Zapomi-  
nam gdzie jestem, pocom przyszedł...

— *Moussiou! moussiou! Barca é pronta!*

To *barcaiuolo* mój, powracający z Murano, przywo-  
luje mnie do rzeczywistości, wsuwając przez odemkniętą  
furtę odkrytą głowę i twarz wylekłą...

Wychodzę, powtarzając huczące wciąż w mózgu  
słowa:

— *Breves dies homini sunt...*

A morze odpowiada mi głosem wielkim:

— *Deo gratia...*

---

ARONEK

— Przepraszam... Słuchałem, co pan pisze książki. Czy to prawda?

— Prawda, panie Aronku. Cóż robić! Z potrzeby, człowiek chwyta się wszystkiego.

— Przepraszam.

Żyd łypnął na mnie siwemi oczyma, i zaciął biczem swego „Malczyka”. „Malczyk” był niedużym, ale ferycyjnym, wciąż podrygującym, konikiem, maści nieokreślonej, nakrapianej, która w skośnych promieniach zachodzącego słońca wydawała się zielonkawo-różową.

Bryczka, silnie szarpnięta, wyskoczyła z jednej koleiny i wpadła w drugą. Przez czas dłuższy jechaliśmy bez wstrząśnień.

Dążyłem do Świsłoczy, aby stamtąd—po obejrzeniu miasta, pełnego miłych, acz nie historycznych, wspomnień i pamiątek — udać się koleją w głąbię puszczy Białowiezkiej. Aronek, właściwie pan Aronek, nie był wynajętym woźnicą, lecz pachciarzem, który, jadąc w tę samą stronę, ofiarował mi miejsce na swej jednokonce.

Jak wszyscy na Białej Rusi, mówił i on bardzo wolno, z bardzo długimi pauzami. Przejechaliśmy już kilka

staj, zdążyliśmy nawet napotkać jakiegoś samotnego podróżnego—rzecz, na tych drogach niesłychanie rzadka—gdy Aronek obrócił się do mnie w trzech czwartych, i jakby kończąc zaczęte przed chwilą zdanie, rzekł:

— ... To pan musi znać panią Arzeszko?

— Nie, nie znam.

— Ona także pisze książki. Ona pisze dużo ładnych książek. Ona jest wielka, sławna *aftorka*.

— Pan Aronek mówi pewnie o pani Orzeszkowej. Znam ją. To i Aronek o niej słyszał?

Żyd zaśmiał się dziwnie — krótko i bezdźwięcznie. Była w tym śmiechu uciecha—nie było wesołości.

— Czy ja słuchałem o pani Arzeszko? Ha, ha. To dobre!

„Malczyk“, znów zacięty, wy dobył się z piasku, w którym brnął dotąd. Bryczka po twardym gruncie potoczyła się żwawym, nierównym, żydowskim truchtem.

Wyminęła nas kobiecina w białej chustce na głowie, z ciężkim na plecach koszem. Wpatrzyła się najpierw we mnie bystro, podejrzliwie, jakby chciała zajrzeć do duszy i do sumienia—potem rzekła niezbyt głośno:

— Pàchwalony!...

— Na wieki!

Przeszła — i znów otoczyła nas cichość niezmierna, nawet cykaniem koników polnych nie przerywana. A była to wczesna, ciepła jesień, pora ich zalotów i muzycznych popisów.

Aronek nie przestawał śmiać się—nie tracąc zresztą na chwilę poważnego, surowego wyrazu twarzy. Powaga i surowość były stałym jego znamieniem, które uwydatniał jeszcze głos głęboki, basowy, rzadko u żydów spotykany.

Rysy miał Aronek grube, wydatne, bardziej staro-litewskie, niż semickie. Gdyby ubrać go w kubrak z siwego samodziału, w łapcie z łyka lipowego, dać mu łuk na plecy, toporek na ramię, nie raziłby obcością nawet w orszaku Giedymina. Czerwony był przytem, opalony, a policzki jego, zmarszczkami pobrużdżone, do połowy w gąszczu siwej brody ukryte, słońce tak silnie opiekło, że naskórek pękał i łuszczył się, niby kora na brzozie.

Aronek był biedny, rodziną obarczony, kłopotami znękan. Mieszkał w walącej się chacie, z krzywymi oknami, w których brakło połowy szyb, gałganami pozatykanych. Telepał się nieustannie, od rana do nocy, nierzadko i nocą, po wyboistych drogach, goniąc za groszem, którego łaknęły dzieci i wnuki, i na który czyhali wierzyciele. O biedzie mówił połatany chałat, nędzna uprzęż na koniu, zapadłe boki „Malczyka“. Mimo to twarz i cała postać Aronka tchnęły dostojnością, która zmuszała wszystkich nazywać go: „panem Aronkiem“...

I jeszcze jedną posiadał właściwość. Oto w jego dużych, siwych, nieco zapuchniętych oczach było coś ta-

kiego, że nawet zupełnie go nie znając, nie można było przemówić doń inaczej, jak—po polsku...

— Ha, ha—śmiał się pachciarz krótkim, gardłowym, przerywanym śmiechem.—Czy ja słuchałem o pani Arzeszko?... Ha, ha. Ona miała rok i ja miałem rok; ona miała dwa roky i ja miałem dwa roky. My się razem chowali. Ha, ha.

— W jednym domu?

— W jednej wsi. To było w M....., u pana Pawłowskiego. Pan wie, kto był pan Pawłowski?

— Zapewne ojciec pani Orzeszkowej?

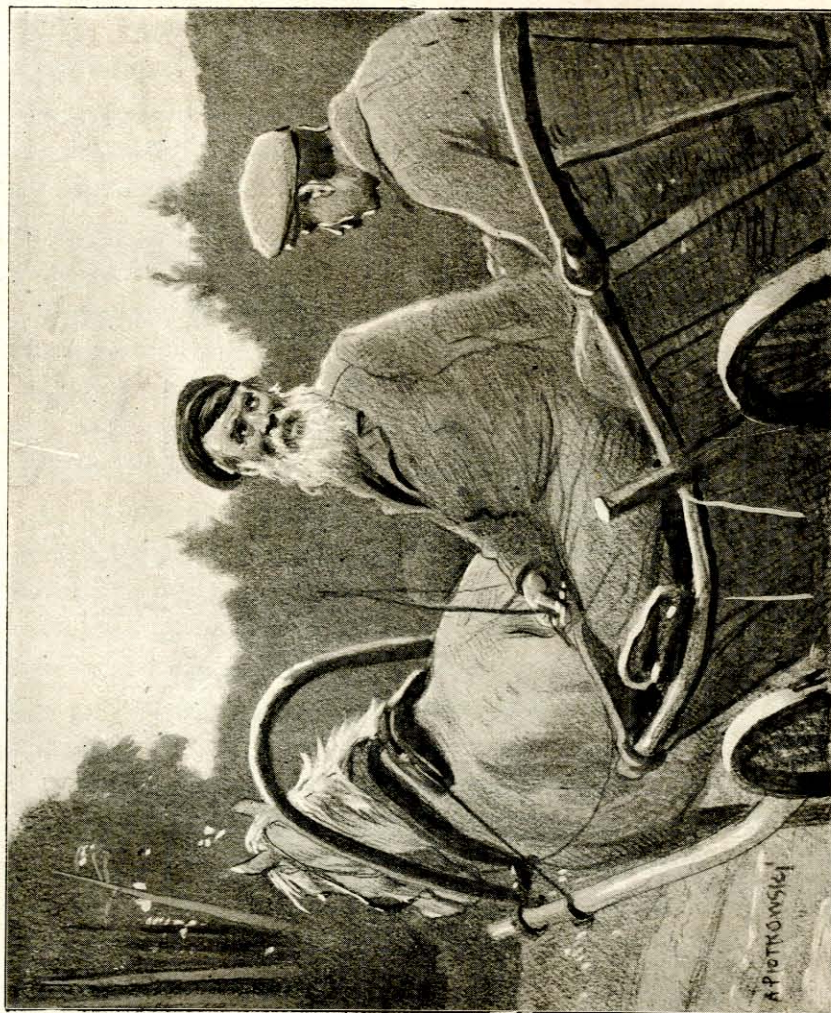
— Tak, to był jej ojciec. A stary Szepszel, to był mój ojciec. Więc mój ojciec u jej ojca trzymał pacht. I trzymał karczmę. Więc my się razem chowali—jak to dzieci, w jednej wsi, gdzie się żyje dom o dom, ściana o ścianę...

Zamyślił się Arnek, i nawet o „Malczyku“ zapomniał. Skorzystał z tego konik, i zwolnił biegu, a choć według zwyczaju podrygiwał, łbem to w prawo, to w lewo wyrzucał, były to tylko pozory pośpiechu. W rzeczywistości, włókł się noga za nogą, jak ze smołą.

Po długiej pauzie, znów padło zdanie:

— To była bardzo nauczna panienska. I taka dobra, taka miła panienska... No, ty—paszoł!

„Malczyk“ otrzymał surowe napomnienie, i znów truchtem pobiegł.



Cisza zapadającego wieczoru i bezkresnych, zdrzemniętych rozlogów napełniła się głośnym, metalicznym brzękiem. Wózek pocztowy, czyli „na pocztowych“ jechał „urządnik“. Dzwonek przy dyszlu kołysał się nierówno, to krzyżąc w niebogłosy, to przycichając i boleśnie jęcząc. Za wózkiem wlokła się chmura tytoniowego dymu.

Aronek skłonił się nisko jadącemu. Tamten ani powieką ruszył.

Patrzyłem na tę scenę, jak przez mgłę sennego marzenia. Myśl moja była daleko. Wstecz się cofnąwszy, bujała nad cichą wioską litewską, ulatywała nad łąką kwietną, po której, za ręce się trzymając, biegało dwoje dzieci: dziewczynka katolicka i chłopiec żydowski, córka dziedzica i synek pachciarza. Było to bardzo niewłaściwe, nadzwyczaj rażące, a zarazem—mądre i poetyczne. Ten obrazek, utrwalony przez artystę, mógł być służyć za symbol literackiej i społecznej działalności autorki „Meira Ezofowicza“...

— Pan pewnie myśli — zbudził mię basowy głos Aronka—że ja nie umiem czytać po polsku. Ha, ha. To proszę spytać o mnie w Hurczynach, w Walichnowszczyźnie, w Wilejszach. Tam wszędzie panie, panienki i panowie dają mnie „Kurjer Polski“, „Gazetę Warszawską“, „Kurjer Litewski“ i takie różne *żywopisne* lustracje. To, chwała Bogu, mamy co czytać: i ja, i moje córki, i moi



zięciowie, i moje wnuki. Czasem, to się coś jeszcze posła i tej córce, co wyszła za mąż do Ameryki. A wie pan, przez co my wszyscy czytamy po polsku?

Odpowiedź miał na końcu języka, ale zwyczajem białoruskim nie dał jej zaraz. Uwagę jego zajął na czas dłuższy—„Malczyk”.

Zielonkawo - różowy konik z nadejściem wieczora ulegać zaczął dziwnemu roztargnieniu. To, biegnąc drobnym truchtem, chwycił zębami i obrywał obwisłe gałązki drzew przydrożnych; to zwalniał biegu, i szyję w bok przegiąwszy, rżał przeciągle a smutno, niby żaląc się przed kimś dalekim; to wreszcie, gdy mu na oddalonych, we mgle tonących łąkach, inny koń odpowiedział, stawał, uszami strzygł, drgającymi chrapami powietrze wciągał...

Wszystko to były objawy nostalgiczne: tęsknota do towarzystwa swoich i—pełnego żłobu.

Więc Aronek podetnie go raz, drugi i trzeci, z jednego i z drugiego boku; więc morały prawić mu weźmie:

— Ci ty stydu ni majesz? Ci ty u mnie darmo służyć-by chciał?...

Wreszcie chwyci się zwykłych na Białej Rusi życzeń:

— Ach ty, czort!... Kab ciebie wouk sjeł! Kab z ciebie szkuru stiahnuli!

Przypomniał sobie nakoniec „Malczyk” obowiązki swe; lirycznych i melancholicznych wybryków poniechał. Bryczka potoczyła się równiej i żwawiej.

Wówczas i Aronek zdecydował się zdanie swoje uzupełnić.

— Przez co my wszyscy czytamy po polsku? Przez to, że panna *Lize* (ona się nazywa *Lize*), jak dostała cukierków *ili* chleba z miodem, to mnie zawsze miodu *ili* cukierka dała. A jak jej kupili „lamentarz”, to do mnie codzień z lamentarzem przychodziła i litery polskie pokazywała. To ja się nauczyłem czytać sam — a potem córki swoje nauczyłem—i tak dalej poszło. Niech jej Bóg da zdrowie i dobre dzieci!

— Bezdzieta jest, panie Aronku.

Żyd wpatrzył się we mnie bystro, niedowierzająco.

— Doprawdy?

— Doprawdy.

— Szkoda! — głową pokręcił, westchnął. — Wielka szkoda!...

Noc już zapadła. Przed nami, w ciemnościach, zamigotały liczne, na płaszczyźnie rozsypane światełka.

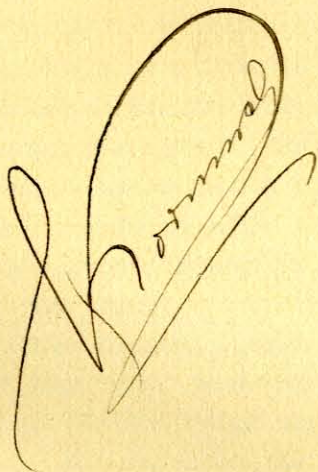
— Ot, i Świsłocz!—oznajmił Aronek.

Niebawem, trzeba się nam było rozstać—na zawsze już, niestety.

Ostatnie słowa Aronka były:

— Aj! gdyby mnie, choć raz jeszcze, choć zdaleka, na pannę *Lize* popatrzeć!...

SUKA

A handwritten signature in black ink, written in a cursive style. The signature is slanted and appears to read "SUKA" or a similar name. It is located in the lower right quadrant of the page.

Zmierzch padał. Mówiąc ściśle, nie padał, lecz z ką-  
tów wypełzał i powoli dokoła się rozlaził. Pada-  
nie zmierzchu, podobne do sypania się puchu czarnego,  
zauważa się tylko na szerokich, odkrytych, jednostajnych  
płaszczyznach. W naszej kotlinie, zamkniętej z jednej  
strony ścianą lasu, z innych wzgórzami i ogrodami, i uro-  
zmaiconej na każdym kroku jakąś niespodzianką bujnej  
a swobodnej wegetacji, cienie zdawały się wychodzić to  
z czarnych przerw między sosnami, to z nor, które w gli-  
niastym gruncie wyłobiły deszcze, to z nisko rosnących  
krzaków głogu i tarniny, to wreszcie z poza płotów, sto-  
gów, budynków.

Dzień skwarny wysuszył i spopielił ziemię. Zamiast  
mgieł błękitnych, podnosił się tu i owdzie obłok żółtej  
kurzawy. Ptactwa słycać nie było, owady kryły się przed  
spieką. Bór stał cicho, jak skamieniały. Niebo prześwie-  
cało wskrós gałęzi, zielonkawo-złote i blade, jakby barwa  
jego na słońcu spłowiła. Od zorzy wieczornej brały blask

tylko szczyty; poniżej wszystko już było szare i przyciemniało się.

Był to jeden z tych zmierzchów smutnych i, rzekłbym, jałowych, których melancholia rodzi się z wyczerpania i zmęczenia. Nadchodząca noc nie przynosiła ze sobą ani chłodu, ani senności. Czuło się, że w ciągu kilku godzin przerywanego, letargicznego [spoczynku] ziemia nie odzyska sił, za dnia utraconych. Była jak człowiek, nadmiernie zmęczony, który, rzucając się na pościel, leży z otwartymi oczyma, daremnie snu przyzywając.

Siedzieliśmy w kilkoro na przyzbie. Stał przy nas dzban wody zimnej, zaprawionej winem, przysmaczonej cukrem i pomarańczami. Ale napój ani ochładzał, ani uspokajał. Zdenerwowanie przyrody udzielało się i ludziom. Nie rozmawialiśmy nawet. Od chwili do chwili ktoś słów kilka przemówił, lub z opowiadaniem wystąpił krótkim. Gdy zamilkł, nikt mu nie odpowiadał, i milczenie, niczem nie przerywane, trwało czas długi.

Nie wiem już, jak do tego doszło, że ten i ów zaczął odzywać się o miłości macierzyńskiej. Przedmiot ożywił kobiety. Ninie, świeżem macierzyństwem dumnej, zaróżowiła się twarz i rozplómiły oczy; mało jeszcze w tej sprawie mogła być powiedzieć, ale już wiele czuła i rozumiała.

— Ja państwu to tylko powiem — dowodziła młynarzowa, — że za swoje dzieciaki dałabym się posiekać na drobny mak, nie przymierzając, jak to zielsko dla indyków. A gdyby kto chciał mojemu dziecku krzywdę jakową zrobić, to, jak jestem kobita słaba, oczy bym mu wydrapała...

— Rychtyk! — potwierdził młynarczyk. — Już ja swoją panią młynarzową znam. Serce złote na durch! Nie prawda, panie Wędziszewski?

Młynarz podniósł zwieszoną głowę.

— Każda kobieta jest taka — mruknął. — Przyrodzenie tak już wymajstrowało...

Młynarczyk znów pośpieszył z przytaknięciem.

— Jo, jo, jo! Mój pan młynarz gada, jak sam *pryster*. Przyrodzenie... rychtyk!

— Przyrodzenie, czy nie przyrodzenie — ciągnęła młynarzowa, — ale to wiem, że najlepszy ojciec nie będzie tak kochał swego dziecka, jak najgorsza matka. Kobiety bywają różne: takie i owakie... wiadomo. Ale, jak którą Pan Jezus pobłogosławi dzieciątkiem, zaraz się dla niego odmieni. Będzie z panią matką koty drzeć, mężowi zalezie za skórę (młynarz westchnął), z sąsiadkami poczubi się nie raz i nie dwa, ale swemu maleństwu krzywdy nie zrobi, choćby też była najgrzeszniejsza. Babskie sprawy znam ja dobrze, widziałam też już na świecie niejedno, — ale na taką matkę, coby swego dziecka rodzzonego nie kochała, jeszcze mi się dotąd natknąć nie zdarzyło...

W tej chwili kolonista z Wólki, siedzący nieco opodal na pieńku, niespokojnie się poruszył.

— A Zaleszczanka?—rzekł, nie patrząc na nikogo, głosem świszczącym trochę, bo zęba nie miał na przodzie.

Nazwisko to zbudziło wszystkich. Wyprostowali się i po sobie spojrzeli; potem każdy się zgarbił i wzrok w ziemi utkwiał. Zapanowało milczenie. Nawet młynarzowa zdawała się z tropu zbita, zakłopotana... Ale odzyskała nagle rezon i, do kolonisty zwracając się, dobitnie oświadczyła:

— Zaleszczanka to nie kobieta...

— Tylko?..—zaświszczał tamten.

— Suka.

Głowy się podniosły. Argument przyniósł wątpliwym ulgę.

Potrzebę wierzeń idealnych równie silnie odczuwają towarzystwa, zasiadające w fotelach akademickich, jak i to, które usadowiło się przed chatą młynarską na przyzbie. I argument pocieszający wszędzie też bywa jeden. Kto postępowaniem swem psuje regułę idealną, wyrzucany bywa za nawias.—To nie człowiek—mówi się o nim;—to typ zbrodniczy lub obłąkany, potwór, zwierzę... Zupełnie, jak w starej Kartaginie, gdzie, rzucając ludzi do pieca Molochowego, wołano: „To nie ludzie, lecz woły!”

Zapytałem o Zaleszczankę.

Historja to była jedna z tych, jakie za dni naszych słyszy się zanadto często; nie brakło jej wszakże szczegółów, miarę zwyczajną przerastających.

Zaleszczanka, córka zubożalego kolonisty, poszła do miasta „za szczęściem”. Poszła z twarzą rumianą, w koszuli zgrzebnej i łatanych sukniach; powróciła bez rumieńca, w cienkiej bieliźnie, w sukniach całych i strojnych. Przywiozła nawet trochę grosza. Za powrotem nie wzięła się do żadnej pracy, za to pełno jej było na każdym jarmarku, na każdym odpuszcisku — wszędzie, gdzie huczały basy, lał się trunek, a majątne chłopaki sypali pieniędzmi, szukając kochanic.

Wkrótce po przybyciu dziewczyny, zjawiła się we wsi kobieta, nieznaną nikomu, kryjąca coś sporego w fałdach chustki przestronnej. Zobaczyła się z Zaleszczanką, poszeptały coś — kobieta odeszła. Ktoś ciekawy śledził ją i przekonał się, że pod chustką kryła... dziecko.

Po miesiącu — nowe zjawienie się kobiety i nowe szepty z dziewczyną w zapłotkach. Tym razem nieznaną odchodziła wolniej i z niechęcią, tajemniczy, osłanianej chustką, strzegła mniej pilnie, niż poprzednio.

Wkrótce potem wszyscy już wiedzieli, że Zaleszczanka ma dziecko „na mamkach”. Nikt zresztą jej tego za zbrodnię nie poczytywał. Z początku dziwiono się

trochę, później żartowano, w końcu puszczoło wszystko w niepamięć.

Ciągnęło się to kilka miesięcy.

Jednego razu kobieta w chustce przybyła do wsi późnym już wieczorem. Mało kto widział ją, nikt prawie jej nie zauważył. Wyszły z Zaleszczanką aż za ostatnie płoty, w szczerze pole, — a że tuż blisko był gościniec, gdzie raz po raz ktoś jechał, skręciły w bok, między wzgórze i parowy. Co tam robiły, niewiadomo. Dziewczyna już po północy wróciła do domu i zaraz spać się układała. Taka była, jak zwykle — tylko matka zauważyła, że nie ma na szyi wstążki czerwonej, którą przez dzień cały nosiła.

Nazajutż we wsi sąsiedniej było wesele. Zaleszczanka od tygodnia już szykowała nogi do tańca, usta do uśmiechów, oczy do zerkania. Szykowała też stroje, jakich nikt tu w miasteczku jeszcze nie widział, sute, podług wzorów warszawskich. Chciała być ładną i zaćmić towarzyski. Na weselu miał być wójt, stary wdowiec, któremu w oko wpadła. Przebąkiwał, że gotówby się z nią żenić, gdyby nie plotki ludzkie o dziecku...

Zaleszczanka wstała do dnia i zaraz muskać się jeła, stroić. Wyśpiewywała przytem piosenki co najweselsze. Z uciechy wielkiej zdawała się prawie pijaną; co chwila się zataczała.

Naraz matka ją pyta:

— Córuló! a gdzie to owa wstążka czerwona?...

W dziewczynę jakby piorun strzelił. Zrobiła się szkarłatna jak krew, a potem zaraz biała jak kreda.

— Wstążka? — krzyknęła, przyskakując do starej. — Nie gadać mi ta o wstążkach nijakich, bo... bo..

Oczy jej wyszły na wierzch, usta posiniały. Ręce wysunęła naksztalt szponów — chrypliwie dokończyła:

— ...bo zaduszę!...

Wesele było huczne. Pito, tańczono, śpiewano. Nie brakło trunków i muzyki; nie brakło dziewczyn ładnych i gorących zalotników. Najładniejsza była Zaleszczanka, a wójt najgorętszy. Stary wdowiec chodził za dziewczyną, jak cień, zaprzysięgał się, że zaraz po żniwach do ołtarza ją powiedzie. Zaleszczanka tylko się śmiała...

Ale nad wieczorem zrobił się gwałt. Przyszedł strażnik z ludźmi, wójt wywołali. W parowie za wsią pastuch znalazł świeży trup dziecka; dziecko było uduszone wstążką czerwoną...

Historja o Zaleszczance rzuciła cień na całe towarzystwo, siedzące na przyzbie. Cień to był głębszy, niż cienie zapadającego wieczora. Nina miała lzy w oczach; dzieci młynarzowej tuliły się do matki, jak pisklęta do kokoszy; młynarz zgarbił się tak, że mu ramiona równa-

ły się z głową. Co zaś do kolonisty, ten, przeciągając słomkę przez usta, oczyma mówić się zdawał:

— A co, pani młynarzowo! a co!...

I mój duch zasępił się i zatrwożył. Z poza mgieł wiejskiej sielanki wyjrzała do mnie zapomniana chwilowo ohydna twarz rzeczywistości.

Po dłuższej chwili milczenia, młynarzowa powtórzyła raz jeszcze z przekonaniem:

— Alboż to kobieta? To suka...

— Suka! suka!—ozwały się głosy dokoła.

I tylko sceptyczny kolonista z pieńka pod nosem mruczał:

— Suka?... Dlaczego suka?... Dość powiedzieć: baba. Nie zważano na niego.

Nagle na drożynie, wychodzącej z lasu, coś zabiełało. Punkt jakiś jasny biegł szybko po linii zygzakowatej w stronę młyna. Wszystkie oczy obróciły się w tę stronę ze zdziwieniem, prawie z trwogą...

— Kot, nie kot... królik, nie królik... — mówił młynarz, mrużąc pomarszczone powieki i nad oczyma, choć słońca nie było, daszek z dłoni robiąc.

— Może dusza?... — szepnęła młynarzowa i przeżegnała się.

— Mamo, ja się boję!.. — zapiszczała mała dziewczynka, wciskając główkę w fałdy matczynej spódnicy.

— Rychtyk! — odezwał się młynarczyk.—Jak ja byłem u *miemców*, to widziałem duszę. Bielusiénka była jak mąka...

— Musiała być młynarska... — zaświszczał bezzębny kolonista.

W tej chwili biały przedmiot zniknął za krzakami. Gdy wysunął się z poza nich, ujrzeliśmy o kilkadziesiąt kroków przed sobą — wyżlicę.

Biegła znamiennym biegiem psa, który szuka zgubionego tropu—z nosem przed siebie wysuniętym, z oczyma niespokojnie latającemi, zbaczając co chwila na prawo i na lewo, zatrzymując się przy każdym krzaku, węsząc ziemię, trawę, kamienie. Musiała przybywać z daleka, bo była okryta kurzem i zziajana. Zapadłe boki i obwisłe wymiona świadczyły, że niedawno rodziła.

Młynarczyk zawołał: „wściekła!” i do ucieczki się porwał.

Powstrzymano go uwagą, że psy wściekle zachowują się inaczej. Biegną prosto przed siebie, nie zatrzymując się, nie węsząc. Ta zresztą wyżlica wyglądała nie jakby innych chciała krzywdzić, lecz jakby ją właśnie skrzywdzono.

— Rasowa sztuka! — zauważył młynarz, i, do kolonisty się zwracając spytał:—Czy nie z Dobrzelina?

— Nie; dobrzeliński szlachcic kundle tylko chowa i jamniki.

— Może komisarska, z miasta?

— I to nie; komisarz ma ogary i jednego wyźła czarnego, podpalanego. Znam wszystkie psy w okolicy; tegom nigdzie nie widział. To pies z dalekiej strony, może z za kordonu...

— Czego ona szuka, biedaczka?—spytała Nina.

— Czegóżby, moja pani, jak nie dzieci!—pośpieszyła z objaśnieniem młynarzowa.

— Dzieci?

— A no tak, szczeniąt. Zabrano je widać i potopiono, żeby jej nie nędziły. Może je nawet tędy wieźli...

Tymczasem wyźlica znalazła się tuż przy nas. Była biała, w ciemno-brązowe łaty. Mały łeb, pierś szeroka, kształtne wygięcie krzyża świadczyły, że należy do gatunku szlachetnego. Znać jednak było na niej wielkie zmizerowanie.

Dzieci ją przywoływać sukę, ale nawet nie spojrzała w ich stronę. Widok zabudowań zdawał się podwajać jej czujność. W najmniejszy kącik zajrzała: była w sieni i w kuchni odemkniętej, w chlewiku i w dole po kartoflach; była na grobli, pod młynem, nad rzeczką, między zagonami warzywa, w obórce, w stodole, w stajni. Obleciała dom dokoła i raz jeszcze znalazła się przy nas. Ale choć, wężąc pod stołem, o nogi siedzących ocierała się, nie zatrzymała się przy nikim na chwilę.

— Może głodna?—rzekła Nina ze współczuciem.

Wyniosła z izby chleba z miodem, kawałek zimnego kurczęcia — wabiła ją pieścizotliwie.

Wyźlica nie tknęła jedzenia. Na sekundę jednak — na jedną sekundę tylko — przystanęła i ślepie na Ninę podniosła. Tych ślepi nie zapomnę. Zakrwawione były i łzami nabrzmiałe. Wyzierał z nich żal, tęsknota, wyrzut niemy; nienawiści w nich nie było. Te ślepia mówiły:

— Nic złego ludziom nie zrobiłam... Za co mnie skrzywdzili?...

Zaraz potem wyźlica wytknęła przed siebie pysk wietrzący i dalej pobiegła. Skierowała się teraz z biegiem rzeczki, w stronę przeciwną tej, skąd przybyła. Biegła truchtem, jakby wartką falę prześcignąć chciała. Nosem trącała o każdy korzeń wystający, o każdą grudkę ziemi, o kamyk każdy. Gdzie tylko gałęzie układały się w ten sposób, że tworzyły kryjówkę, pysk tam wsuwała, wężąc niespokojnie.

Wreszcie z oczu nam zniknęła.

Cały nastrój wieczora był melancholijny; dziwne zjawisko, niewiadomo skąd przybyłe i niewiadomo dokąd podążające, melancholię bardziej jeszcze zwiększyło.

Po zniknięciu wyźlicy nikt się już prawie nie odzywał. Niebawem wszyscy się rozeszli.



Nazajutrz, również w godzinie zmierzchu, powracaliśmy z Niną ze wspaniałego widowiska, jakie wyprawiała przyroda. Siedząc przed chwilą na szczycie najwyższego wzgórza, byliśmy widzami jednego z tych zachodów słońca, w których się człowiekowi objawia Bóg Mojżesza, Bóg Abrahama.

Szliśmy nastrojeni uroczyście i milczący. Cisza była w naszych sercach, cisza w powietrzu i na ziemi. Nagle zaszeleściły za nami zwiędłe liście. Odwróciwszy się, ujrzeliśmy wyżlicę.

Biegła z powrotem... ale jakże zmieniona! Wiedziałem, że jeden dzień rozpaczy o lata całe postarzyć może człowieka; nie przypuszczałem, że to samo zrobić potrafi i ze zwierzęciem. Biedne psisko wyglądało jak skielet, skórą obciągniony. Szerść wyżlicy, wczoraj jeszcze biała, gładka, gęsta, była teraz popielata od kurzu, zwichrzona, wypełzła. Pełno było na niej ostrych, silnie we włosy wkręconych bodiaków. Tu i owdzie krwawiły się świeże skałczenia. Z otwartego, ciężko ziejącego pyska ciekła ślina, zwieszał się długi, blady, bezwładny język.

W biegu jej nie było już wczorajszej energii; poruszała się automatycznie, jakby, do wiekuistego ruchu nakręcona, powstrzymać go nie mogła. I teraz jeszcze wietrzący pysk zwracała na wszystkie strony, śledząc, węsząc, wypatrując; znać jednak było w ocieężałych, apatycznych jej ruchach, że już szuka bez nadziei znalezienia.

Wymijając nas na wąskiej ścieżynie, otarła się o suknię Niny. Musiała ją poznać, bo przystanąła. Przystanąła i nosem jąła trącać, jakby znaki porozumienia dając. Nina pochyliła się ku niej, mówiąc miękkim, czułości pełnym głosem:

— Co się z tobą stało, biedaczko ty moja? I dzieci nie masz, i siły straciłaś, i od domu odbiegłaś daleko. Serce się ścisza patrzeć na ciebie. Cóż to za człowiek bez sumienia tak cię skrzywdził okropnie? Już ty nie odzujesz, biedaczko, dzieci swoich, ani sprawiedliwości u nikogo nie znajdziesz. Bóg ci to chyba kiedyś wynagrodził...

— Nino — zauważyłem,—zapominasz, że psom Bóg życia przyszłego odmówił...

Tymczasem suka stała w miejscu, słuchając — słuchając pilnie, z natężoną, rzecby można, uwagą. Chwilami przechodziło ją drzenie silne, najpierw wzdłuż krzyża, potem po nogach. Piszcziała jakimś stłumionym, mysim piskiem, który sprawiał dziwnie przykre wrażenie.

Czy rozumiała, co do niej mówią?

Nina uczuła litość nad biednym zwierzęciem. Z właściwą kobietom (dobrym kobietom) potrzebą pocieszenia cierpiących pieszczołą, wyciągnęła rękę, żeby ją pogłaskać.

Wówczas stała się rzecz nieprzewidziana.

Wyźlica, czy ruchem tym przestraszona, czy też jakąś myślą nagłą tknięta, skoczyła w bok, szalonym pędem przebiegła łąkę, do lasu wpadła — w ciemnych jej go przepaściach zginęła...

Nina stała przez chwilę z wyciągniętą ręką, przelekła, zasmucona.

— Przecież ja jej nic złego zrobić nie chciałam... — tłumaczyła się głosem wzruszonym.

Przez całą resztę wieczora była smutna. Mówiła o czym innym, ale widoczne było, że myśli o wyźlicy. Uśpiwszy dziecko i sama na spoczynek idąc, rzekła nagle:

— Co ona tam, biedaczka, w lesie porabia? Jeszcze ją wilki rozszarpia! Jaka szkoda, żeśmy jej nie wzięli na noc do siebie...

Uspokoilem ją zapewnieniem, że w naszym lesie wilków niema.

W nocy obudziła mnie.

— Słyszysz?—wystraszonym głosem rzekła.

— Co takiego?

— Coś skomli...

Wstałem, wyszedłem przed chatę, słuch wyteżyłem.. Cisza panowała głęboka. Słyszać było tylko szept fal na rzecie i przeciągłe westchnienia lasu.

— Przywidziało ci się — rzekłem, wracając.—Uspokój się i zaśnij.

Nie upłynęła jednak godzina, gdym znów wołanie jej usłyszał. Siedziała na pościeli, drząc.

— Ach, mój drogi—rzekła,—jak okropnie coś zawyło!...

Z trudnością uspokoilem ją i namówilem do spoczynku.

Zbudził nas prześliczny ranek, złoty od słońca, wybrylantowany rosą, wypachniony aromatem miliona kwiatów łąkowych i leśnych. Wieczorne spotkanie i nocne przywidzenia rozproszył on do szczytu; przy śniadaniu, które jedliśmy w ogrodzie, nawet mowy o nich nie było.

Wyszedłem do lasu z książką, alem nie otworzył jej nawet. Poezja pływała w powietrzu; najpiękniejsze poematy z każdego zakątka wzywały. Natura obchodziła jedno ze swych świąt uroczystych. Od barw ćmiło się w oczach, od zapachów kręciło się w głowie. Las pełen był wrzawy ptactwa, brzęku owadów, szeptu liści, mnóstwa głosów tajemnych, niewiadomo skąd i dokąd idących. A te wszystkie głosy, barwy, blaski, zapachy zlewały się w hymn potężny, który wystawiał siłę, mądrość i miłość Stwórcy...

Aby lepiej przysłuchać się gruchaniu gołębia dzikiego, zboczyłem w gęstwinę. Zaledwie uszedł kilka kroków, ujrzałem rzecz smutną: na mchu, pod pniem wielkiego drzewa, leżała sztywno wyciągnięta, rojami much otoczona, martwa już — wyźlica.

Na wzdętych jej piersiach żebra sterzczały wypukło; boki były głębokimi dołami; pysk o wyszczerzonych zę-

bach zdawał się wykrzywiać gorzkim, ironicznym uśmiechem.

Widok był smutny i przykry; mącił ogólną harmonię, śpiewaną dokoła przez wszystko stworzenie żyjące.

Długom wpatrywał się w tę pustą formę duszy zwierzęcej. Odchodząc, czułem, że ten obraz nieraz jeszcze w myślach mych wskrześnie.

Ledwie na drogę wyszedł, spotkałem kolonistę. Trzymał w ręku strzelbę, i rozglądał się po wierzchołkach drzew zmrużonemi oczyma.

— Widziałeś pan? — spytał po przywitaniu, wskazując ręką miejsce, które przed chwilą opuściłem.

— Widziałem.

— To nie z głodu — z naciskiem ciągnął.

— Z czegoż?...

— Z żalu.

Oparł strzelbę o drzewo, przybrał minę poważną, westchnął...

— Ot, suka! A ludzie co? Młynarka równa Zaleszczankę z suką. Głupia! Wiem ja, co trzymać o Zaleszczance. Przez nią dziś ze mnie ni mąż ni wdowiec. Ot co!... Suka? Mój panie! znam ja się dobrze na psach....

Machnął ręką pogardliwie.

— Na babach też!

I odszedł.

TRZY KALINY

Z paryskiego „Łuku tryumfального“, rozjuszona, jak lwów stado, wypada i wprost na widza rzuca się z *krzykiem ogromnym* gromada uzbrojonych, w marmurze wykutych ludzi, nad którymi pływa w powietrzu sztandar poszarpany. Tak, z krzykiem! Ten marmur krzyczy:

— Aux armes, citoyens!  
Marchons! marchons!  
Qu'un sang impure  
Abreuve nos sillons!...

Poezja, muzyka, rzeźba stopiły się tu w jedno. Niepodobna ich rozdzielić. Poezja śpiewa i rzeźbi; muzyka rzeźbi i deklamuje; rzeźba deklamuje i śpiewa. Poeta, muzyk, rzeźbiarz stworzyli przedziwny akord, gdzie trzy sztuki piękne, jak trzy Gracje, ręce sobie podają. Zjawisko niesłychanie rzadkie — którego powstanie ułatwiła w tym wypadku okoliczność, że poeta i muzyk byli jedną osobą.

Podobny trójgłos artystyczny i my posiadamy. Ale niema w nim rozjuszenia, dzikości i krwi. Jest słodki, jak poezja ludu polskiego; jest też, jak ona, smętny, napełniający duszę rozmarzeniem i tęsknotą. Nosi wszystkie znamiona tej poezji, gdyż z niej się narodził.

W Paryżu, z marmurów ulicznych krzyczy dysząca żądzą krwi i zemsty „Marsyljanka”. U nas, z cichego grobowca na Powązkach, płynie kryształowo, jak strumień, rozdzwoniona—„Kalina”.

I ją trzech mistrze w ciało artystyczne oblekli: poeta, muzyk, rzeźbiarz. Ale naprawdę — żaden z nich nie był jej ojcem. Ją zrodzili: polski lud i polska przyroda.

\*            \*            \*

Prastara legenda opowiada, że król Kserkses zakochał się raz w drzewie. Klękał przed niem, pocałunkami je okrywał—na jego gałęziach, jak na ramionach dziewicy, złote łańcuchy zawieszał.

Nie wiemy, co tkwi na dnie tej legendy: może myśl panteistyczna, może symbol, może kult piękna, przejawiającego się w przyrodzie?

Poezja naszego ludu zdobyła się na myśl jeszcze piękniejszą. Ona zbratała przyrodę z człowiekiem. Toż samo czułe serce, które bije w grajku wiejskim, posiada i krzew kaliny. Chłopiec kocha kalinę; kalina kocha chłopca. Pogańskie to może—ale jakże pięknie!

Kiedyndziej, dusza siostry, zamordowanej przez siostrę, wcieli się w wierzbę i głosem fujarki zapłaczę: „Graj, braciszku, graj”... Kiedyndziej jeszcze, jabłoń leśna przyjmie na siebie dusze ofiar, zgładzonych bez spowiedzi przez zbója. A gdy wypełni się czas pokuty, jabłka skrzydeł dostaną i w niebo ulecą. To znowu dąb otworzy się, ofiarowując uciekającym sierotom schronienie, a lipa wyciągnie do nich rosochate ramiona i pas zło-cisty im poda...

To wszystko nam wydaje się cudem i baśnią; dla ludu jest zupełnie proste i prawdziwe. Takim też było dla Lenartowicza. Jego „Kalina” nie jest bynajmniej jakimś „wierszem z tematów ludowych”. To — najczystsza, wprost ze źródła wytryskująca: pieśń ludowa.

Jeśli słuchamy jej, jak zdarzenia rzeczywistego, jeśli uczuwamy smutek, dowiadując się, że kalina po śmierci Janka „wszystkie korale zrzuciła w wodę, z żalu straciła swoją urodę” — jest to czarodziejski wynik wiary głębokiej, jaką miał poeta, pisząc swe arcydzieło.

W samym środku zeszłego stulecia, gdy już trzy wielkie słońca poezji romantycznej ku zachodowi się miały, upodobał sobie Duch Boży na sośnianem Mazowszu człowieka cichego, syna ubożuchnej, mieszczań-skiej rodziny, i dał mu pomazanie swoje. I napełniła się pierś tego człowieka muzyką rojów pszczolnych, pogwarem gajów brzeziowych, szumem puszc nadnarwiań-

skich, drzącą melodją lir dziadowskich, jękami słowików, gruchaniem gołębi, tęskną nutą fujarek, gdy ich głos po rosie płynie wieczornej... I, gdy człowiek ów zaśpiewał, objawiła się w pieśniach jego dusza tej krainy, o której świat dotąd nie wiedział.

„Lirnik mazowiecki” podsłuchał raz krzewu „o liściu szerokiem”, co gwarzył „w gaju nad modrym potokiem”, i podsłuchaną tajemnicę wydał ludziom w „Kalinie”.

Prosta to była piosenka—jedna z tych, któremi zniwiarka odpędza znużenie, matka usypia dziecię, a dziewczyna skraca chwile oczekiwania na miłego—jednak głęboko w duszę narodu zapadła. Któż jej nie zna! Któż na pamięć jej nie umie! Po kilkudziesięciu latach nie straciła świeżości, ani wdzięku. Owszem, świeższą i wdzięczniejszą wydaje się dziś, niż wczoraj — „nadchodzi bowiem pora (jak to przenikliwie odgadł Kallenbach), w której, za sprawą najrozmaitszych czynników, dźwięk prosty, serdeczny i swojski liry mazowieckiej szerzy się coraz więcej, tłum ludzi obiega, wnika do duszy”...

Nie zabiją tego dźwięku orgje i sabaty modernistyczne. Na chwilę zagłuszyć go mogą—ale on je przetrwa.

\* \* \*

...„Od Europy szły wtedy (około roku 1845) powie-  
wy harde, ogniste, rewolucyjne. Warszawa mocno je od-  
czuła; i w naszym domu brzmiały echa to Mickiewiczow-

skich Prelekcji, to republikańskich teorii, a młodzież garnęła się coraz gęściej do salonu, gdzie mogła znaleźć pastwę dla umysłu. Była to młodzież wyborowa pod względem wykształcenia i talentu. Na czele stała urocza para dwóch młodzianków, dopełniających się wzajemnie: Lenartowicz i przyjaciel jego, Ignacy Komorowski. Obaj ubodzy, obaj natchnieni, mieszkali razem gdzieś nad Wisłą, na skromnej facjatce, i tworzyli razem arcydziełka. Tworzyli je co tchu przez tydzień, aby w poniedziałek przyjść razem do moich rodziców i tam popisać się świeżym, jeszcze nigdzie nie ogłoszonym, utworem. Tym sposobem na poniedziałkach najpierwej dały się słyszeć owe *Maćki, Wisły, Kaliny*“.

Tak opowiada Deotyma w swym, w rękopisie mi znanym, pamiętniku.

Komorowski był więcej, niż dopełnieniem Lenartowicza; więcej nawet, niż jego bratnim duchem. To był poprostu Lenartowicz-poeta, przełożony na dźwięki.

Nie wyobrażamy sobie pieśni ludowej deklamowanej. Nawet w druku ona wygląda nieswojsko: sztywnie i martwo. Nabiera dopiero życia i staje się sobą, gdy się ją zaśpiewa.

Tak właśnie z „Kaliną”. Przysięglibyśmy, że narodziła się razem z melodją, że ją odrazu — wyśpiewano. A nuta tego śpiewu nie mogła być inna, tylko taka, jaką Komorowski w natchnieniu *odnalazł*. (Bo artysta, mojem

zdaniem, nic nie tworzy, lecz tylko stworzone przed wiekami odnajduje).

I musiały być w tym śpiewie tony fujarki i ligawki, sielskie, rozciągle, niesione echem w zielono-niebieską nieskończoność łąk, od rosy wilgotnych, i w niej zwolna zamierające. I musiało grać w tym śpiewie rzewnie a rytmicznie srebrne podzwonne toczącego się po kamieniach i pluszczącego o brzeg wyniosły potoku. I musiał być ten śpiew nawskroś przejęty złotem słonecznym, błękitnością przeglądającego się w wodzie nieba, ciemną, połyskliwą zielenią liści kalinowych, szkarłatem jagód, zapachem konwalji, wonią trawy skoszonej, a razem tęsknotą, słodyczą, świętością. I musiał wreszcie ten śpiew brzmieć tak, aby z tysiąca innych każdy wyróżnić go mógł i powiedzieć:

— Oto śpiew *polski*...

Czyż nie taką jest „Kalina“?

Dość zaśpiewać ją w dzisiejszym, tak często beznarodowym, bezwyznaniowym i bezdusznym salonie, aby powiało nań zaraz tchnienie swojskości, dziwiąc jednych, nawracając drugich — w innych budząc niepokój i wyrzut sumienia...

Cudotwórczą władzę ma pieśń, która, płynąc z ludu, rdzeń narodu wyobrażającego, już przez to samo jest narodowa!

Dziś, w pół wieku przeszło po zgonie śpiewaka, stwierdzamy, że czas ani jednego listka z jego „Kaliny“ nie

stracił. Upłynie drugie półwiecze, i naród będzie tak samo, jak dziś, świeżością jej się zachwycił. I spełni się przepowiednia Deotymy, niegdyś, nad trumną młodego pieśniarza wygłoszona:

Dopóki w Polsce rość będą kaliny,  
Dopóty Polki będą cię śpiewały!...

\* \* \*

Ruch, zbudzony w duszach przez natchnionego poetę, nie ustaje, choć już poeta rękę od „czarodziejskiego drewna“ odjął.

...Upłynął dziesiątek lat od ukazania się „Kaliny“. Jeden z jej śpiewaków ku innemu zwrócił się przedmiotem; drugi — na zawsze zamilkł. Nagle, już na mogile ostatniego, cudowny krzew raz jeszcze wspaniałym wystrzela kwiatem: nagrobną rzeźbą Wojciecha Święckiego.

Ten sam duch, który wiódł poetę i muzyka, staje się natchnieniem rzeźbiarza. Święcki tworzy arcydzieło. Nic równego mu rzeźba polska do owej chwili nie wydała. Czy wydała później?...

Ten skromny, dziś podobno w gruz sypiący się, pomniczek jest najpiękniejszym, może jedynie pięknym ze wszystkich, którymi tak gęsto usiano cmentarz Powązkowski. Przed kilkunastu laty znała go cała Warszawa; czy zna dziś, nie zaręczę. Płaskie, mieszczańskie idealiki

z miasta żywych przeniosły się do miasta umarłych. Już i groby starają się zaćmiewać wzajemnie przepychem marmurów, złociń, bronzów, martwym blaskiem materiału, na ruble szacowanego. Już piaskowiec, choćby dłutem Fidjasa lub Michała Anioła rzezany, nie nęci tłumów, bo im nie „imponuje“...

Ale arcydzieło, uznane czy nie uznane, pozostaje arcydziełem. Kto w gąszczach cmentarnych odszuka rzeźbę Świąckiego, a Polakiem jest i nie ma duszy znieprawionej kosmopolitycznym modernizmem, dozna uczucia zbląkanego wędrowca, który swój dom rodzinny odnalazł. Serce mu zabije, w myślach uczyni się jasno — poczuje to niezrównane, nieprzeplacone tchnienie swojskości, które krzepi i uzdrowia. Taż sama bowiem swojskość, która owiewa „Kalinę“ Komorowskiego i Lenartowicza, bije falą wezbraną z „Kaliny“ Świąckiego.

„Trzeba być odważnym, żeby mieć talent“ — powiedział ktoś. Świącki złożył w swem dziele dowód odwagi, graniczącej z bohaterstwem. I on, jak Kochanowski, „wdarł się na skałę... gdzie doówczas nie było śladu polskiej stopy“.

Jakże za jego czasów wyglądała nasza rzeźba nagrobna? Wyobrażały ją Nioby, podwójnie skamieniałe, bo, jak kamień, zimne i, jak kamień, bezduszne; Anioły smutku i Anioły zmartwychwstania, w prześlicznie udrapowanych szatach, ze skrzydłami, gdzie każde pióro po-

liczyć się dawało; urny etruskie, klócające się z obrzędowymi formami cmentarza chrześcijańskiego; symboliczne, strzaskane kolumny, rysowane w „sztambuchach“ przez wszystkie pensjonarki i wszystkich aplikantów; wreszcie wszelkiego kształtu bryły solidometryczne z jednym, starannie wygładzonym bokiem, na którym „ryto złotem“ *epitaphium* nieboszczykowskie. Przechadzka po takim cmentarzu skłaniała nie do smutku i myśli Hamletowych, lecz do—ziewania.

Więc trzeba było mieć szaloną odwagę, żeby do tego świata sztywnych, tandetnych, kamieniarsko-klasycznych szablonów wprowadzić — chłopca wiejskiego, z gołą głową, bosemi stopami, w przepasanej krajką koszulini, trzymającego w jednej ręce wianek z kwiatów polnych, w drugiej fujarkę... Fujarka pastusza przy — trąbach archanielskich, lampach pompejańskich, starożymskich zgaszonych pochodniach, greckich *alfach i omegach!*...

Nie wiem, jak wyglądała w owym czasie warszawska krytyka artystyczna, pewien wszakże jestem, że jej wodzirej, na widok arcydzieła Świąckiego, podniósł wysoko brwi, ścisnął z politowaniem ramiona i uronił miłosierne słówko:

— Barok...

Tymczasem właśnie wszystko inne na Powązkach było, a w większej części jest dotąd, barokowe, to zna-



~~~~~

czy: sztuczne, zwyrodniałe, do czasu i miejsca nie przystosowane, grobowiec zaś z napisem „Śpiewakowi Kaliny“ świeci, jak zwiastun odrodzenia — nie klasycznego naturalnie, lecz narodowego.

*

*

*

„Kalina“ Lenartowicza wskazała drogę polskiej Poezji.

„Kalina“ Komorowskiego wskazała drogę polskiej Muzyce.

„Kalina“ Święckiego wskazała drogę polskiej Rzeźbie.

Gdyby Poezja, Muzyka, Rzeźba poszły temi drogami, światby zadziwiły...

TĘGOBORSKI Z TĘGICH-BORÓW

(SYLWETKA)

Widziałem w życiu wiele pięknych wąsów, żadne jednak nie wytrzymałyby porównania z wąsami Tęgoborskiego. Jak jedwab miękkie i jak jedwab połyskujące, miały ciemno-złocistą barwę starego węgryna, sama zaś natura układała je zgrabniej, niżby to uczynić mogło żelazko najbiegłego fryzjera. Lgnęły do tych wąsów oczy i serca kobiet; podobali w nich też sobie i mężczyźni.

Cały zresztą Tęgoborski niepospolicie był piękny. Pańskość aż biła od niego. Gdy pokazał się w miasteczku powiatowem, spadały przed nim nie tylko czapki i jarmułki żydowskie, ale także kapelusze mieszczkańskie i kaszkiety urzędnicze.

Tęgoborski każdemu odwzajemniał się ukłonem, który polegał na bardzo niskiem opuszczeniu dłoni otwartej i... bardzo wysokiem zadarciu głowy.

Ledwie się zjawił wskiem, gdzie nabył wielki ale zrujnowany Sroczyń (przemianowawszy go zaraz na Tęgie-Bory), szlachta zatarła ręce i wykrzyknęła chórem:

„Ten się nie da!”

Wykrzyknik dotyczył walki, jaką okolica toczyła od wielu już lat z „ciężkimi warunkami ekonomicznymi”, uosobionymi w miasteczkowej firmie bankierskiej: Altman i synowie. Tęgoborski, świeżo ożeniony, miał pieniędzy huk, a energii i przedsiębiorczości więcej, niż trzy okoliczne powiaty.

Finez był przytem niepospolity. Na jego twarzy, zawsze uśmiechniętej, i w oczach lekko mrużących się widniały w każdej okoliczności dowcip i przebiegłość. Przed bracią szlachtą sam się przymiotami tymi przechwalał. Mówiono też o nim, że „kuty na cztery nogi”, „w kaszy zjeść się nie da”...

Tęgoborski, przeciwny systemowi więzienia kapitałów w szkatule, zaraz po zamieszkaniu w Tęgich-Borach w ruch je puścił. Obracały się one w dwóch kierunkach. Jedna połowa szła na utrzymanie we właściwej świetności starych klejnotów szlacheckich, przez małżeństwo Tęgoborskiego zespolonych: „Doliwy” i „Kozłarogów”, druga na meljoracje gospodarskie.

Te meljoracje w zachwyty i podziwy wprawiały sąsiadów. Gdy po sutem przyjęciu w Tęgoborskim dworze obejrzeliby Tęgoborskie łąki, pola, zagajniki, stajnie, obory i owczarnie, powracali do domu podwójnie upojeni, wykrzykując na różne głosy:

— Nie da się!... O! ten się nie da z pewnością!...

Tęgoborski tymczasem, zawsze piękny i uśmiechnięty, jedwabnego wąsa pomuskując, budował, irygował, zaprowadzał płodozmiany, szczepił drzewa owocowe, zarybiał stawy — nie zaniedbując zarazem, *more antiquo*, hulać w domu i po za domem przy każdej zdarzonej okazji, a często i bez okazji.

Ten ruch nadzwyczajny sprowadzał do Tęgich-Borów ludzi wszelkiego rodzaju, przeważnie zaś żydów. Ci ostatni, po skończonym interesie, miewali zawsze miny kwaśne. Tęgoborski zaś śmiał się coraz weselej i raz po raz powtarzał dwa ulubione przysłowia: „Trafił frant na franta” oraz *Contre un corsaire corsaire et demi...*

Kwaśne były miny czerni Izraelskiej; niewiele słodsze żydowskich potentatów.

W kilka lat po sprowadzeniu się Tęgoborskiego, stary Altman mówił do osoby zaufanej:

— To jest pan? Nie, to nie jest z przeproszeniem żaden pan. Czy to prawdziwe panowie tak robią jak pan Tęgoborski robi? Kiedy on się sprowadzał w nasze okolice, to mi myśleli, że to będzie sztuka *fajn*, prawdziwy szabasowy kawalek. Mi sze zebrali i była wielka narada: komu jego oddać? On bardzo łakomy był, bo pieniędzy miał dużo a fantazjów jeszcze więcej. No, i na mnie padło. Ucieszyłem się bardzo i czekałem. Czekałem długo, aż w jeden wieczór on przyszedł do mnie i pożyczył parę tysięcy rubli na pół roku. Wielkie miałem ukontentowanie,

że już się zrobił początek i dałem mu pieniądze na jeden procent. On grzecznie podziękował — bo on jest zawsze bardzo grzeczny. Ale co żydkowi po pańskiej grzeczności? — on za nią ryby na szabas nie kupi. Kiedy przyszedł termin, to ja byłem zupełnie spokojny. Chwała Bogu, nasze panowie nigdy na termin nie oddają. Żeby oni na termin oddawali, to coby się stało z biednymi żydkami? Tymczasem cóż się dzieje? W wigilję terminu ja sobie śpię na obydwie uszy, a ktoś z całej siły dobija się do mojej okienicy. Zostałem obudzony i całe moje familje obudzone zostało. „Co jest?” — „Wstawaj Altman!..” — „Co się stało? co za gwałt? kto to taki?” — „To ja, Tęgoborski z Tęgich Borów”. — „Olaboga! czego jaśnie pan chce od biednego żydka o tej porze?” — „Jakto? to jutro termin wekslu, a ty sobie śpisz jakby nigdy nic? Patrz! ja spać nie mogłem. Kazałem założyć cztery konie i przyjechałem rachunek regulować. Wstawaj — musimy iść do rejenta!” I co pan powie: poszliśmy do rejenta, i ten warjat (niech jego dzieci nie będą takie!) wypłacił wszystko co do grosza...

To był pierwszy interes na weksel. A drugi interes to był zbożowy. Na przednówku ja kupiłem od pana Tęgoborskiego pięćset korcy żyta, tak sobie, na papierek. Jak przyszli żniwa, to ja się cieszyłem, że był wielki nieurodzaj i że w Tęgieborów zebraли tylko dwieście korców.—Co teraz będzie?—mówiłem do synów — i my sze

śmiali. Termin był 15-go. Przyszedł czternasty — niema nic; piętnasty rano—także nic. Powiedziałem żonie, żeby zrobiła kugiel na obiad, i pojechałem troszkę za interesami. Wracam na obiad—i cóż to oczy moje widzą? Przed domem pełno fur, chłopcy jakies kręcą się i pytają: „Gdzie żyto składać?” — „Co za żyto? z kąd żyto? po co żyto?...” „Od pana Tęgoborskiego z Tęgieborów”... „Zlitujta się ludzie! z kąd on wziął to żyto?... — „Dał dwadzieścia korcy swoich, a resztę dokupił od gospodarzy...”

Altman, doszedłszy do tego punktu, przybierał minę pełną oburzenia i wzdargy najwyższej. Krzywił twarz i, spluwając na stronę, kończył:

— I to jest pan? Nie, to nie jest pan. To jest— z przeproszeniem—żyd!!!

Inny z rodziny Altmanów wyrażał się o Tęgoborskim z niemniejszą zgrozą.

— Ja—mówił—przyjechałem raz sobie do niego jak do sąsiada. To było *przedeświety*, więc myślę, że on mnie da parę kilka kaczek, parę kilka gęsi, albo coś podobnego. On chodził po swoim wielkiem podwórzu, zakręcał swoich wielkich wąsów i krzyczał na ludzi z wielką fanaberją. Bardzo się rozweselił na moje przybycie, więc ja mu zaraz życzyłem dobrego zdrowia i ładnych dzieci i wspomniłem co spodziewam się pięknego prezentu na

święta. On wziął mnie pod ramię, swoją wielką łapę przed samym moim nosem wysunął, i tak do mnie powiedział: „Patrz, kochany panie Altman, co ja tu zrobić zamysłam. Tu na prawo, gdzie te pokrzywy, stanie pałac—wielki pałac, piękny pałac, wspaniały pałac; a tu, prosto, gdzie ten plac pusty, będzie ogród—wielki ogród, piękny ogród, wspaniały ogród. A czy wiesz, panie Altman, co będzie w tym ogrodzie? Będą stawy. O, patrz pan: jeden staw, drugi staw, trzeci staw, czwarty staw, piąty staw. Będzie pięć stawów — zarybionych. W tym pierwszym stawie będą szczupaki, w tym drugim karpie, w tym trzecim karasie, i tak dalej”. Ja słuchałem cierpliwie, ale jakem widział, że on tylko gada, a o prezencie nie myśli, to powiedziałem: „Przepraszam jaśniego pana, ale—co na tem wszystkim Altman zarobi?” I przypomniałem mu cokolwiek, że nasze święta nadchodzą, i że bidne żydki zawsze coś od szlachty na święta dostają. To on wyciągnął do mnie swoją wielką łapę i powiedział: „I ja o tobie pamiętam, kochany sąsiedzie, i daję ci na to słowo szlacheckie, że jak do mnie przyjdiesz, to ci z tego pierwszego stawu ofiaruję na szabas najpiękniejszego szczupaka!”

— Tak, tak, tak—powtarzał stary Altman, głową siwą potrzęsając.—To nie jest żaden pan. To może nawet nie szlachcic...

A kiedy Altmany tak wyrzekali, przybierając z dnia na dzień miny frasobliwsze, szlachta aż w ręce klaskała z uciechy.

— Chwała Bogu! — mówiono przy każdym spotkaniu—znalazł się wreszcie taki, co się nie da!...

I nie zaniebdywano dodać jeszcze z otuchą:

— Znalazł się jeden, znajdzie się i więcej...

Tęgoborski tymczasem rozwijał działalność zdumiewającą. Już mu gospodarstwo rolne nie wystarczało—przemysliwał o zakładach fabrycznych, o młynie parowym, o hucie, tartaku, piapierni...

Na początek, z gorzelnii zrobił dystylarnię i począł w Tęgich-Borach fabrykować nalewki, wódki słodkie, likiery. Było to epoką w dziejach powiatu ...skiego. Dotąd jeszcze wspomnienie tego faktu wyprowadza tam z równowagi tak zwanych „stróżów tradycji“, którzy zżymają się na — ponieważ klejnotu szlacheckiego.

Poniewierka odbywała się w ten sposób, że Tęgoborski na butelkach z wyrobami swymi umieszczał „Doliwę“. Wódki Tęgoborskie poznawało się zdaleka po jaszkrawych etykietach z trzema czerwonymi różami w polu błękitnem. Herb na butelkach z winem nie raziłby zachowawczej szlachty, ale na wódce, którą lada cham mógł kupić i do sukmany schować — stanowił dla karmazyna *sacrilegium*...

Oswojono się z tem jednak powoli — oswojono zaś tem łatwiej, że Tęgoborski dla wyrobów swych dziwnie sympatyczne wynajdywał przezwiska.

Różnobarwne etykiety na butelkach, pełne figur, symboli i herbów wyglądały jak obrazki, w całym też powiecie wszystkie sługi i dziewczki folwarczne wyklejały niemi kufferki.

W Tęgich Borach wrzało, jak w garnku z gotującą się kaszą. Wozy i powozy, bryczki czterokolne i dwukolne nieustannie przejeżdżały i odjeżdżały, zaśmiecając wszystkie drogi sianem i słomą. Prócz ludności miejscowej, kręcili się tam wciąż Niemcy i żydzi. Tęgoborski, którego wszędzie było pełno, na prawo i na lewo zawierał tranzakcje, odbierał i wyliczał pieniądze, rozkazywał, śmiał się, kłął, facecje prawił — a potężny jego głos, ni by stuk rozpędzonego koła w fabryce, górował nad całym zamętem przemysłowo-rolnej gospodarki.

Plan, z którego pierwszym zarysem poznał się jeden z Altmanów, spełniony został co do joty. Na miejscu starego, zrujnowanego dworu, stanął pałac, z bramą murywaną, zdobną na wierzchu w misternie splecione: „Doliwę“ i „Kozłarogi“. Nieopodal pałacu zazielenił się ogród olbrzymi, mieszczący w swoim obrębie pięć zarybionych stawów. I były w pierwszym stawie szczupaki, w drugim karpie, w trzecim karasie i tak dalej.

Przyjeżdżali do Tęgich - Borów owocarze po owoc, handlarze ryb po ryby, — on umiał z każdym rozmówić się jego własnym językiem, jakby ogrodnictwo i rybołówstwo były jego zawodowemi zajęciami.

Opowiadał potem przy kieliszku, w sposób niezrównanie humorystyczny, jak to owi kupcy usiłowali podejść go i wyzyskać, licząc na szlachecką, przysłowiową niezadność...

— Ale się nie dał, do stu diabłów! — kończył, z junaquierą kręcąc węża, głowę do góry zadzierając.

I dodawał rozpromieniony:

— Trafiał frant na franta! *Contre un corsaire corsaire et demi!*...

Współpowietnicy, olśnieni i zachwyty pełni, okrzyknęli Tęgoborskiego jednogłośnie Metternichem.

Jednakże ten Metternichskiego powiatu pod jednym względem różnił się zasadniczo od swego austriackiego pierwowzoru. Miał on zwyczaj, innym dyplomatom nieznanym: wtajemniczać wszystkich w swoje projekta i wyklądać im przy zdarzonej sposobności formalne kursy dyplomacyi...

— Główna rzecz w tem — nauczał *ex cathedra* swych wężatych adeptów — żeby pieniądź ani przez chwilę nie odpoczywał. Dla tego jest okrągły, że jego przeznaczeniem toczyć się i toczyć bez wytchnienia. Kieszeń nie jest bynajmniej miejscem odpowiednim dla pieniędzy. Gdyby

się tam kiedykolwiek zahaczyły, trzeba je natychmiast wypłacać. Wierzcie mi, kochani sąsiedzi, że u mnie nie znaleźlibyście nigdy stu rubli leżących...

— „U mnie tak samo!...“ „I u mnie też!...“ „I u mnie!...“ „I u mnie!...“ — odzywały się głosy dokoła.

Zgodnie z wyznawanymi zasadami, Tęgoborski nie dawał nigdy swym rublom odpoczywać. Pieniądze, napływające z gospodarstwa, przemykały mu się tylko przez ręce, jak woda przez sieć rybacką. Gdy nie mógł użyć ich natychmiast na jakąś przemysłowo-rolną meljorację, meljorował nimi swoje i przyjaciół zdrowie wypróbowanym eliksirem długowieczności, *Hungariae nato, Poloniae educato*.

Pierwszych wpływów ze sprzedaży słodkich wódek i likierów użył na skupowanie gałganów do mającej się założyć piarni.

Przez długi czas po wszystkich drogach, należących do Tęgich-Borów, wlokły się nieustannie furmanki, wyladowane szmatami, ze śmietników całej guberni pozbieranymi. Dostawcami byli wyłącznie żydzi — co zwykłą czujność Tęgoborskiego bardziej jeszcze zaostrzało.

Odbierał osobiście każdy transport, nie zrażając się ani męczącą czynnością, ani przykrym starych gałganów odorem. Poniesione trudy wynagradzała mu aż nadto radość, jakiej doświadczał, odkrywszy malwersację.

Gdy po rozrzuceniu podejrzanego węzła ukazała się we środku słoma, Tęgoborski nie posiadał się z uciechy. Kazał przywoływać dostawcę, ujmował go lekko za brodę, i z czarującym uśmiechem mówił:

— Toś ty myślał, kochasiu, że Tęgoborski dudek? że nie zna różnicy pomiędzy szmatą a słomą? Omyliłeś się, rybko, kapitalnie — więc, żeby ci się ta omyłka nigdy już więcej nie przytrafiła, każę ci zrobić małą notatkę dla pamięci...

I, obracając się do ludzi swych, wołał:

— Hej! wypisać panu Szwarzmajerowi rachunek!

Świadomi rzeczy ludzie zaraz na miejscu, na owych zmieszanych ze słomą gałganach, wypisywali synowi Izraela *pro memoria*, którego z pewnością do końca życia nie zapomnieli.

A Tęgoborski, wyśmiawszy się należycie, pod boki się ujmował, jedwabnego wąsa zakręcał i mówił z dumą niezmierną:

— Hej? Trafił frant na franta! *Contre un corsaire corsaire et demi!*...

Niebawem stanęła i piarnia — wyrabiająca na początek szarą, opakunkową bibułę.

— Cierpliwości! Będzie i welinek... — upewniał Tęgoborski osoby, zajmujące się losami przedsiębiorstwa.

Tymczasem zawiązywał kontrakty na dostawę bibuły z aptekarzami, mydlarzami, handlarzami win...

Kupcy żydowscy zachowywali się z początku opornie, ale i oni nawrócili się w końcu do Tęgoborskiej papierni, której wyroby były dobre i tanie.

— Ehe! — śmiał się szlachcic, wciągając Icka lub Szmula na listę stałych odbiorców — *contre un corsaire...*

I zapijał resztę przysłowia tęgim łykiem „Hetmanki”.

— Rybo! — zagadnął raz na jarmarku chłopą w nowej sukmanie — a zkąd to masz taki galanty przydziewek?

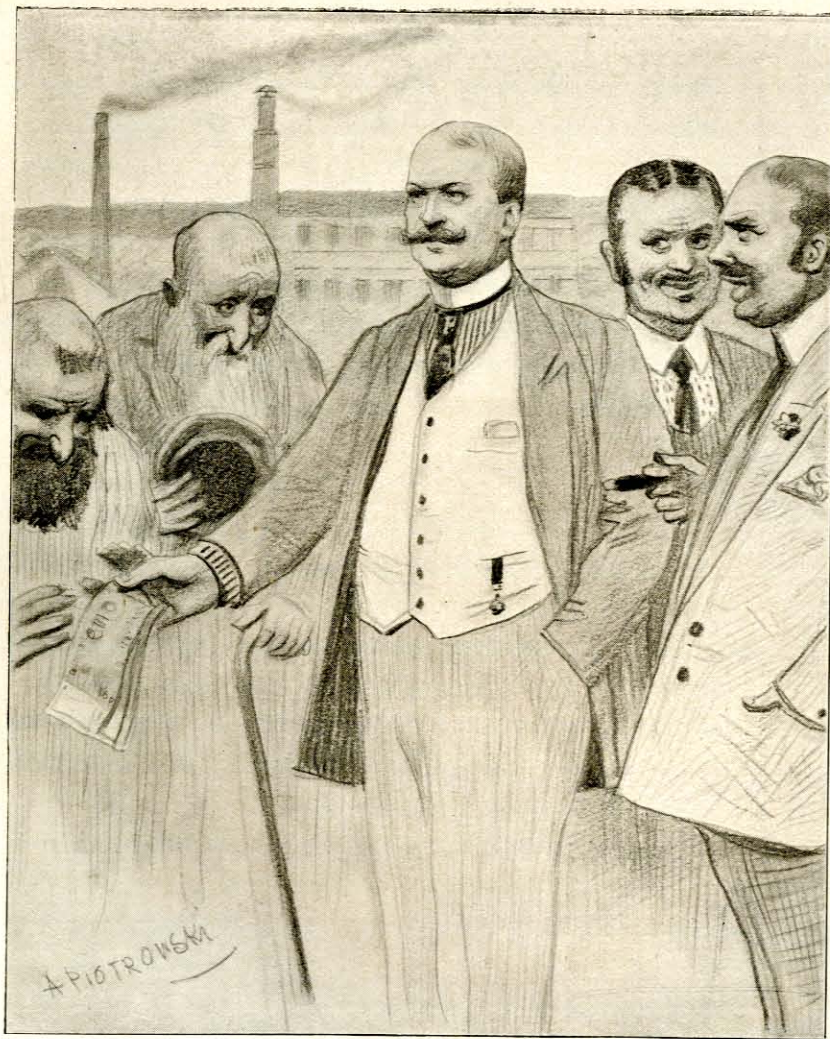
— Kupiłem go se, jaśnie panie, tam gdzie i wszyscy: u Mordki Igielnika, wpodłe Zielonej karczmy. Przydziewek nicegój, ino me żyd psiawiara ośwabił...

Tęgoborski zapytał o cenę, wypróbował w palcach materiał, przyjrzał się zbliżeniu szyciu — i zagwizdał wesołą arję z motywów: „Trafił frant na franta”.

Tegoż dnia, znalazłszy chwilę wolną, zapisał ćwiartkę papieru cyframi, i — zadowolony z rezultatu — wyprawii współpowietnikom wspaniałą bibę w handelku. Nazajutrz pojechał do Warszawy, na trzeci dzień miał wielką naradę z warszawskimi krawcami, a nie upłynął miesiąc, jak na listę tęgoborskich zakładów przemysłowych przybyły:

„Pracownia i Magazyn ubiorów męskich — dla włościan”.

W tym samym jakoś czasie powiatemskim wstrząsnęła zgoła niespodziewana wiadomość, że Tęgoborski rozwodzi się z żoną. Przy tej sposobności jedni zapytali:



ANTONI PIOTROWSKI.

„TĘGOBORSKI Z TĘGICH BORÓW”.

„To Tęgoborski ma żonę?” a inni objaśnili, że i pałac, i stawy, i papiernia, i dystylarnia narodziły się z żoninego posagu.

— Co teraz będzie?—spytało głosem żalobnym kilku pesymistów.

— Będzie lepiej jeszcze niż było!—zakrzyczeli w odpowiedzi optymiści. — Tęgoborski, pozbywszy się baby, odzyska zupełną swobodę, i odda się w całości swym przedsiębiorstwom. To człowiek wyższy—do niewoli domowej nie stworzony!...

Przepowiednia spełniła się.

Po ustąpieniu pani Tęgoborskiej, ruch w Tęgich-Borach wzmógł się i doszedł do rozmiarów zdumiewających. Kołowało się tam dniem i nocą, a zjazd bywał o każdej porze taki prawie, jak na jarmarku.

Szlachta zachwycona i otuchy pełna we wszystkich miasteczkowych handelkach wznosiła toasty na cześć Tęgoborskiego, wykrzykując na różne głosy:

— Nie da się! Ten się nie da z pewnością!
Altmany zaś stawali się z dnia na dzień posepniejsi.

* * *

Przez kilkanaście lat nie miałem o Tęgoborskim żadnej wiadomości.

W tych dniach, gdym mijał któryś z kościołów warszawskich, mignęła mi przed oczyma karta żalobna z nazwiskiem znajomem. Na karcie przeczytałem:

„Ś. p. Kazimierz Doliwa Tęgoborski, b. obywatel ziemski i t. d. Wyprowadzenie zwłok i t. d. Zaprasza się krewnych, przyjaciół i t. d.”

Zastanowił mię nie tyle sam fakt śmierci człowieka już niemłodego, co litera *b.* przy słowie „obywatel”, oraz bezosobiste wyrażenie „zaprasza się...”

Traf zdarzył, żem tegoż dnia spotkał się z jednym z urzędnikówskiego powiatu, niegdyś stałym bywalcem Tęgich-Borów.

— Czem kto wojuje, od tego ginie!—rzekł „radca” na wzmiankę o Tęgoborskim.

— Więc zginął?—zapytałem.

— Ano, z właściciela dóbr przeszedł na nadzorcę w młynie parowym, z pensją 25 rubli miesięcznie.

— Człowiek tak energiczny! tak ruchliwy!..

— Ruch, kochany panie, o tyle tylko wychodzi na zdrowie, o ile jest umiarkowany i łączy się proporcjonalnie z odpoczynkiem — oświadczył z powagą radca, wielki zwolennik racjonalnego sportu pieszego.

— Słyszałem, że zakłady Tęgoborskie szły dobrze?..

— To też nie zakłady zgubiły go, ale zasada, że „kieszień nie jest miejscem właściwym dla pieniędzy“. W wszystko, co miał, w ruch puszczał; puścił więc najpierw własny majątek, potem posąg żony, potem kapitały pożyczzone — aż musiało skończyć się tak właśnie, jak się skończyło.

— A jak się skończyło?

— Żona z resztką ocalonego majątku wróciła do rodziny w Sandomierskiem, a Tęgie-Bory zsubhastowano.

— I któż został ich właścicielem?

— Młody Altman...

GRZECH ŚMIERTELNY

GRZECH SMIERTELNY

W ładnej, wesołej komnatce, wyklejonej papierem w pasy żółte i fioletowe, trzydziestoletnia pani Cylia piła czekoladę i wzdychała.

Trudno byłoby przyczynę tych westchnień odgadnąć, bo któż może wiedzieć, dlaczego wzdychają trzydziestoletnie wdówki, świeże jak centyfolia i pulchne jak dubelt na jesieni?

Może powodem przydługiego nieco wznoszenia się i opadania wydatnej piersi była okoliczność, że nad stolikiem, błyszczącym od srebrnej zastawy śniadaniowej, wisiał duży portret nieboszczyka jej męża? Z portretu wyzierała zawiedła twarz człowieka, liczącego co najmniej lat pięćdziesiąt i przybranego w senatorski mundur z wysokim, suto zahaftowanym kołnierzem. Serce kobiety jest zagadką—nie należałoby więc do osobliwości, gdyby młoda i ładna kobieta zakochana była do szaleństwa nawet w tak wysoko postawionym... kołnierzu.

Co prawda, na tejże samej ścianie znajdował się inny portret, portrecik raczej, nie większy od dłoni—dłu-

gowłosego artysty... Ale czyż można przypuszczać, żeby pani Cecylja, z takim materialistycznym smakoszoństwem chrupiąca biszkopty i wciągająca w różowe nozderka aromat czekolady z wanilią, mogła obierać za przedmiot westchnień wątlęgo sługę ideału, bez tuszy, bez jutra i bez pokrytego haftem kołnierza!...

Pozostaje jedno jeszcze przypuszczenie.

Przed komódką ze złożonymi bronzami (pieścidełkiem z XVIII-go wieku, które ś. p. senator po babce swej odziedziczył) zawieszona była błękitna lampka, a poza lampką przymykała błękitne również oczy patronka pani Cecylji, w nabożnym skupieniu ducha klawisze organu naciskająca...

Spojrzenia pięknej wdówki wybiegały chwilami w stronę świętej — czyż więc nie najstuszniejszą i nie najprzyzwoitszą będzie hipoteza, że ona to właśnie napęłniała wydatną pierś pani senatorowej wzruszeniem?...

Właśnie ostatnia kropla wonnego napoju przeszła z filiżanki na różowy, cokolwiek z pomiędzy warg wychylający się języczek, gdy do pokoju wbiegła młodzianka, ruchliwa osóбка, w strojnem okryciu, suto ukwieconym kapeluszu i... z chusteczką przy oczach.

Osóбка rzuciła się pani Cecyli na szyję, przycisnęła pobladałą twarz do jej piersi i — tłumionem łkaniem wybuchnęła.

— Żańciu! co tobie?

Łkania z cichych przeszły w głośnie.

— *Qu'as tu, ma mie?*

— *J'ai que... j'ai que... j'ai...*

Nie mogła dokończyć, jakby ją coś dławilo.

Wdówka z niekłamanem współczuciem pocałowała ją w czoło, nazwała po kilka razy *mon enfant*, — potem pulchnymi paluszkami ją rozpinać okrycie, wyjmować śpilki przytrzymujące kapelusz i krzątać się koło niej, jakby była naprawdę słaba i bezsilna...

Ale zaledwie osóбка zwana „Żańcią“ uczuła się zwolnioną od zwierzchniego ubrania, skoczyła, jak wie-wiórka, przed obraz świętej Cecylji, i wspiąwszy się na palce, zakryła go batystową chusteczką...

— Na Boga! Co to znaczy? — wykrzyknęła zdziwiona i pełna już niepokoju wdówka.

— To znaczy — wyjąkała wreszcie tamta, nie odwracając się odrazu — że nie mogłabym dziś znieść spojrzenia tych czystych, świętych oczu, że swoje musiałabym przed niemi zamykać...

Twarz pani Cecylji spoważniała.

Przez kilka chwil panowało milczenie.

Żańcia stała wciąż przy komódce; wdówka wodziła wzrokiem po jej smukłej, prawie dziecinnej figurce i drobnych, figlarnych kosmykach, które kręciły się na karczku białym, niby runo na młodem jagnięciu. Wreszcie po-

dniosła się z krzesła i wolnym krokiem do stojącej podeszła. Objęła jej kibić ramieniem, dotknęła ustami jej uszka. Całując, szepnęła:

— Zgrzeszyłaś?...

Tamta wyłkała w odpowiedzi:

— Nędzna jestem... niegodziwa... *misérable*...

Szczególny blask, jakby zadowolenia wewnętrznego, przemknął po twarzy pani Cecylji. Ale powlokła się ta twarz prawie natychmiast wielką surowością.

Wdówka przeszła kilkakrotnie przez pokój w milczeniu. Jakby pod wpływem wzrastającego wzruszenia, twarz jej rumieniła się coraz silniej, kroki stawały się coraz szybsze. Wreszcie podeszła żwawo do Żancii, wykręciła ją siłą prawie od komódki—w jej mrużących się, złotawych oczach, zatopiła badawcze spojrzenie.

— Z kim? — rzekła tonem bardziej rozkazu, niż pytania.

— Z Władysławem — odparła Żancia, bez namysłu i bez zmieszania.

— Z tym roztrzępającym?

— Tak...

— Z tym szalawitą?

— Niestety!

— A Karol?

— Mąż mój od tygodnia na wsi.

Wdówka poczęła liczyć coś na palcach...

— *C'est grave*... — półgłosem, uroczyście wyrzekła.

— Coś obliczała, Cecyljo?—spytała tamta.

W tonie, jakim jedna z tych kobiet mówiła „Cecyljo“, a druga „Żańciu“, malowała się dokładnie wzajemny ich stosunek. Były to bezwątpienia przyjaciółki, ale przyjaciółki na nierównych prawach. Coś nakształt duchowego macierzyństwa przeziarało z obejścia się młodej wdówki z młodą mężatką. Widoczne było, iż Żancia znajduje się pod lekką kuratelą Cecylji...

— Obliczałam, ile czasu upłynęło od twego ślubu—rzekła ostatnia w odpowiedzi.—Pięć miesięcy dopiero — a już Karol...

— Mąż za żonę nie odpowiada...

— Świat sądzi o tem inaczej.

— To nie należy do świata...

— Do kogóż więc?

— Do kościoła.

— Czy sądzisz, że kościół nie weźmie męża twego w rachunek?

— Mógłby to zrobić wówczas tylko, gdyby mąż mnie do grzechu namawiał. Popęłniłby on w takim razie jeden z „grzechów cudzych”...

— O! do tego chyba w żadnym wypadku dojść nie mogło...

I znów z pod surowej maski, w jaką przybrała się twarz pani Cecylji, wyrzał na jedno mgnienie oka promyczek figlarniej wesołości.

Wdówka pociągnęła Żańcę do stojącej pomiędzy oknami kanapki. Kanapka to była niewielka, niziutka, przytulna. Gdy przyjaciółki usiadły, znalazły się tak blisko, że ramiona ich ocierały się o siebie. Zachęcało to do szeptów poufnych, do zwierzeń.

Pani Cecylja zaczęła od ucałowania młodziutkiej towarzyski.

— Jeszczem cię nawet dotąd nie przywitała jak się należy! — mówiła, rozpogadzając zachmurzone czoło. — Wszelkie grzeszne namiętności psują nam harmonję życia—i dla tego uważałam zawsze, że są one *de mauvais goût*...

Żańcia nie odpowiadała, mając wciąż oczy utkwione w kwiaty dywanika, rozesłanego przed kanapką.

— Czy możesz, moja śliczna, przytoczyć jakieś okoliczności łagodzące?

— Prawie żadnych...

— Och!

— W pierwszej chwili to było tylko... zapomnienie; ale później, choć przyszła świadomość, powstrzymać mnie już nie mogła. Daj mi, Cecyljo, chusteczkę.

Oczy i chusteczka zwilżone zostały łzami.

Wdówka ponownie ucałowała przyjaciółkę.

— Jakże to było?... — do samego uszka jej szepnęła.

Więc Żańcia, nie odejmując chusteczki od oczów, jęła mówić głosem przyciszonym.

— Karol wyjechał we czwartek przed samym obiadem. Miał wyjechać po obiedzie, ale w ostatniej chwili otrzymał od rządcy telegram, nie pozwalający tracić ani jednej minuty. Wypił tylko kieliszek wina i zjadł kawałek domowego pasztetu. Było mi to bardzo nie na rękę, bom właśnie przygotowała obiad suty i cudownie ułożony. Omijał mnie sukces, na który napewno liczyłam. Choć mąż mój ulegał jedynie konieczności, miałam do niego żal. Ty wiesz, Cecyljo, jak to boleśnie doznać podobnego zawodu! Bo najpierw, co do pasztetu: udał mi się, jak nigdy jeszcze. Był ścisły, formę trzymał doskonale, a mimo to w ustach się rozplýwał. Oprócz tego, były kuropatwy, ale jakie kuropatwy! Pół pieczone, pół duszone. Z pozoru, dziwactwo; w rzeczywistości — delicje...

Pani Cecylja nie mogła powstrzymać uśmiechu, widząc jak przyjaciółka drobiazgowo i naiwnie kreśli tło zapowiedzianego dramatu. Jednocześnie wrodzone smakosztwo kazało jej z zajęciem śledzić szczegóły opowiadania.

— Jakże przyrządzasz, Żańciu, te kuropatwy?—wtrąciła niby obojętnie.

— Piekę je najpierw do połowy na rożnie; potem dzielę na połówki i kładę do rondla; następnie zalewam własnym ich sosem i śmietaną...

— Kwaśną?

— Naturalnie. *Mais ce qu'il y a d'essentiel*, to kilka jagód jałowcu...

— Który się następnie wyrzuca?

— Tak.

Obie kobiety wpadły na chwilę w zadumę...

Przerwała ją Żańcia skargą żałością:

— Po odjeździe Karola, wszystko to poszło do krendu, gdyż ja z żalu i gniewu zupełnie straciłam apetyt!... Nazajutrz...

— Cóż, cóż nazajutrz?

— Nazajutrz około południa przyszedł Władysław. Właściwie mówiąc, nie przyszedł: wpadł jak burza...

Pani Cecylja rozsiadła się wygodniej, czując, że nadchodzi najciekawsza część opowiadania.

— Wpadł jak burza—ciągnęła Żańcia—i zaraz w progu zawołał: „Ratuj mnie, śliczna kuzyneczko!—umieram z głodu i pragnienia!...” Szalony ten chłopiec nazywa mnie kuzynką, choć istnieje pomiędzy nami zaledwie cień powinowactwa. Używa jednak chętnie tego tytułu, gdyż widocznie sprawia mu on przyjemność...

— I daje przywileje...

— Których tym razem nadużył, aby mnie zgubić! Ale *tam* (podniosła paluszek ku sufitowi) nie będzie mu to darowane. Połowa kary, na mnie przygotowanej, spadnie na niego...

— Skoro więc Władysław zawołał: „Umieram z głodu i pragnienia“?...

— Ja wybuchnęłam pustym śmiechem i kazałam czempredzej postawić na stole butelkę wina, pasztet i wczorajsze kuropatwy...

— Brakuje jeszcze raków, *un buisson d'écrévisses*, a byłoby zupełnie, jak w „gabinecie“—zauważyła nawiasem wdówka.

— To szczególne; Władysław zrobił toż samo spostrzeżenie!... Kiedy już stół zastawiono, namówił mnie ten sowizdrzał do wypicia jednego i drugiego kieliszka wina. Ale bo też co wyprawiał! czego nie wygadywał! Nie zbywa mu nigdy na wesołości, tym razem jednak przeszedł samego siebie. Śmiałam się do rozpuku. Opanowała mnie taka pustota, żem o swej powadze kobiety zameżnej całkowicie zapomniała. Byłam gotowa bawić się w „kotka i myszkę“ albo w „łapki“. I wówczas to—odurzona winem i tą pensjonarską, upajającą wesołością—straciłam głowę i...

Łkania głośne nie dały jej dokończyć.

Łkała długo i boleśnie, utulić się nie mogąc.

Pani Cecylja przysunęła ją do siebie, okryła pocałunkami i rzekła z macierzyńską niemal powagą:

— Uspokój się, Żańciu. Jakakolwiek jest twoja wina, żalem swym i łzami wielką jej część okupiłaś. Powiedziałam: *c'est grave*, i powiedzenia tego nie cofam; uznać jednak muszę istnienie okoliczności łagodzących. Przedewszystkiem usprawiedliwia cię do pewnego stopnia młodość i niedoświadczenie. Następnie, pamiętać trzeba, że w chwili upadku byłaś prawie niepoczytalna. Upojono cię tą niezdrową atmosferą szału, jaką pewni mężczyźni, na zgubę kobiecego rodu, roztaczają dokoła siebie. Taka sztuczna, karnawałowa wesołość bywa dla nas bardzo niebezpieczna—choć niebezpieczniejszy jeszcze od niej jest romantyczny, elegijny smutek, na który serca kobiet łapią się, jak muchy na cukier...

Zamilkła na chwilę i dokończyła z westchnieniem:

— Na taką właśnie przynętę mnie złapano...

Wyznanie było niespodzianką. Żańcia, usłyszawszy je, zapomniała o płaczu, i chusteczkę od twarzy odjąwszy, rozszerzonymi oczami na mówiącą spojrzała.

— Co mówisz, Cecyljo?... Ciebie?... złapano?...

Wdówka w odpowiedzi głębiej westchnęła i tłustym paluszkim wskazała przyjaciółce miniaturę bladego bruneta z „marzącymi” oczyma, który chował się skromnie w cieniu olbrzymiego konterfektu ś. p. senatora.

Potrzymała paluszek przez chwilę w powietrzu i rzekła:

— To... moja wina.

Potem podniosła go wyżej, ku żółtej, kościstej twarzy, wychylającej się ze wspaniałego kołnierza, i dodała ciszej:

— A to... moje usprawiedliwienie.

Błyszczące oczy Żańci rozszerzyły się nad miarę od zdziwienia i niepokoju. Milczała przez chwilę, potem ledwie dosłyszonym głosem szepnęła:

— Dawnoż to było?...

— Lat temu cztery.

— Jakto?... za życia męża?...

— Tak, za życia—senatora.

Przestrach odmalował się na twarzy młodej mężatki. Zamilkła.

— Poznałam go zagranicą, w kąpielach — mówiła wdówka z oczyma utkwionemi w miniaturę.—Był artystą. Wiołonzela pod jego ręką płakała, jak człowiek żywy. Ten płacz nie płynął ze strun instrumentu, lecz z duszy artysty. Trzeba było mieć serce kamienne, żeby nie współczuć jego smutkowi...

Westchnęła głęboko, głowę opuściła na piersi.

— Nigdyś mi o tem nie mówiła...—szepnęła Żańcia wzruszonym głosem.

— I nigdybym nie powiedziała, gdyby...

— Gdyby?

— Gdyby nie to, że już dziś...

— Co dziś?

— Że już dziś nie potrzebujemy chować przed sobą oczu, gdyż...

— Gdyż?

— Gdyż obie jesteśmy równie...

Żańcia nie dała dokończyć. Gwałtownie zerwała się z kanapki; na środek pokoju wyskoczyła.

— Co mówisz, Cecyljo? — krzyknęła z trwogą, ale i z niedowierzaniem. — Czyżby mój grzech dorównywał twojemu?...

— Przewyższa go.

— Ależ ja przysięgi nie złamałam! zaufania nie zdradziłam! honoru nie zdeptałam!...

Lekka bladeść pokryła twarz pani Cecylji.

— Jakto?—z zająknieniem rzekła — wszakżeś sama powiedziała: „Wówczas to, odurzona winem i pensjonarską, upajającą wesołością, straciłam głowę i...

— I zjadłam udko kuropatwy, zapominając o tem, że to... piątek.

Twarz wdówki z bladej stała się szkarłatna.

Pochwyciła porzuconą przez przyjaciółkę chusteczkę— w milczeniu gryźć ją zaczęła drobnymi, ostrymi ząbkami.

— To się nie godzi...—wyjąkała po chwili zmienionym głosem.—Podeszłaś mnie...

Żańcia podbiegła do przyjaciółki, za obie ręce ją ujęła.

— Przebaczl!...—rzekła ze współczuciem — jam temu nie winna...

— Czemuż przyznawałaś się do grzechu śmiertelnego?

— Wychowałam się w klasztorze... Grożono tam piekłem za przełamanie postu... nawet w zapomnieniu...

Wdówka uśmiechnęła się smutnie i wzrok ku ziemi spuściła, jakby nie mogąc wytrzymać spojrzenia przyjaciółki.

Nagle na rzęsach jej zawisła łza, i drobną, błyszczącą perelką spłynęła po sukni na posadzkę...

W kilka chwil później, w małej, wesołej komnatce, wyklejonej papierem w pasy żółte i fijołkowe, siedziały dwie młode kobietki, cmokcząc z maleńkich kieliszków słodkie wino i zagryzając je suchymi ciastkami.

Zanosiły się obie od śmiechu, jak dwa podlotki...

DRECH SINE STILLY

1891
 The undersigned
 do hereby certify
 that the above
 is a true and
 correct copy
 of the original
 as shown to
 the undersigned
 on the 1st day
 of June 1891
 at New York
 City
 J. S. [Signature]
 Secretary

* * *

[Signature]
 J. S. [Signature]
 Secretary

— Co panu dać: ułanów czy dragonów?

Mróz ścisnął nie żartem. Pytająca — mała, mizerna kobiecina, w wypłowiałej chustce i wielkich futrzanych rękawicach—tupała nogami o bruk, a pobieliałe od zimna wargi drżały jej jak w febrze.

— Ułanów czy dragonów? — powtórzyłem z niejaką ironią.—Więc tu są różne rodzaje broni do wyboru?

— A jakże! Mamy kirasjerów, *krzyżaków*... Ale może pan dobrodziej woli piechotę?

— Mnie to tam zupełnie wszystko jedno—syn mój jednak zamilowany jest w koniach..

— Pokaż panu starą gwardję... — mruknęła siedząca obok starucha z wielkim kawałem waty na lewym, silnie zapuchniętym policzku.

Zaraz też stanął przedemną szereg wiarusów w olbrzymich, futrem okładanych bermycach, i chwiać się począł na mroźnym, grudniowym wietrze.

Wszyscy wogóle wojacy, na kulawym stolczku zeqrani, należeli do pułków, których kości dawno już w grobach spróchniały. Nie patrzyli jednak na siebie, jakby

powinni patrzeć rówieśnicy, synowie jednej epoki i jednych zasad militarnych. Każdy miał prawe oko utkwione w kupującym, a lewe błędzące w zamyśleniu po choinkach, ubierających środek placyku „za Żelazną Bramą”.

— Ile za ułanów? — spytałem, bez zbytej chęci czynienia zakupu.

Ci wszyscy rycerze nie przypadali mi jakoś do smaku. Może raził mnie ich wygląd zbyt archaiczny, może gniewała buta, okazywana wyraźnie „cywilusowi”, może wreszcie wydawał mi się podejrzanym gatunek ołowiu, z którego ich odlano...

— Pięć koni białych i pięć koni karych — mówiła trzęsąca się od zimna kobieta — razem dziesięć sztuk — z pudełkiem i wata — oddam panu dobrodziejowi wszystko za dwa złote i groszy dwadzieścia...

— Dam pięćdziesiąt groszy! — rzekłem, i zawróciłem się już, aby odejść.

Ale zatrzymały mię w miejscu słowa kobieciny:

— Za tę cenę nie opłaciłoby się nam robić...

— Robić? — powtórzyłem ciekawie. Więc to się na miejscu wyrabia?

— A jakże, proszę pana. Na Pivnej, kole kościoła...

— To właśnie ojciec mój tem się zajmuje! — odezwała się staruszka z fluksją, bardziej nosem niż ustami, które miała chustką zakryte.

— Ojciec pani! — zadziwiłem się, usiłując wytworzyć sobie w umyśle obraz człowieka, cieszącego się tak już dojrzałą córeczką.

— A ile też lat liczy sobie ojczulek? — spytałem ciekawie.

— Na ten święty Michał, co minął, skończyło mu się dziewięćdziesiąt i sześć...

Spoważniałem — tymczasem mała kobiecina, dygocząc z zimna i uderzając się po bokach futrzanymi rękawicami, wskazywała nosem gwardzystów Napoleońskich, i mówiła:

— Dziaduś był sam kiedyś taki, jak oni... A tych innych to także na własne oczy widział... Teraz, jak odlewa z ołowiu tę starzyznę, to płacze, jak dzieciak... „Jak będę umierał, powiada, to formę połamię... Po co się mają moi kamraci po cudzych rękach poniewierać!... A innych, powiada, robić nie będę, bo to wszystko....”

Nie dałem kobieciny dokończyć. Odliczyłem na stoliku dwa złote i groszy dwadzieścia, i schowałem dziesięciu kawalerzystów do kieszeni.

Odchodząc od kramu, pomyślałem:

— Zaprawdę, narodem poetów byliśmy, i narodem poetów pozostaniemy...

Zaraz zaś potem przyszła mi do głowy refleksja:

— Na djabła jednak zdała się poezja — w przemyśle!

BRYLANTOWA STRZAŁA

Słońce nie wyszło jeszcze zpoza węgła domu, i jedna ściana tonęła całkowicie w cieniu i chłodzie.

Do tej ściany tuliła się niewielka weranda, z widokiem na ogród. Na werandzie siedzieli przy rannej kawie dwaj niegdyś koledzy, witający się po dwudziestoletnim przeszło rozłączeniu.

Snula się też tam cicho, bez szmeru, pulchna, rumiana dziewczyna, z sennym wyrazem twarzy, z ruchami ociężałymi — córka gospodarza domu, od kilku lat owdowiała.

Przybysz szczerze przejmował się rolą „dawnego kolegi” i sumiennie ją wypełniał. Wyczałowawszy, wyściskawszy i tysiącem „serdeczności” osypawszy gospodarza, siedział teraz naprzeciw niego, z rozczzerwioną twarzą, błyszczącymi oczyma, i gadał, gadał...

Nieustannie wrywało mu się: „Pamiętasz, Władek?...“ „Pamiętasz, Skalski?...“ — przyczem uderzał kołgę szeroką dłonią to w ramię, to w kolano.

— Pamiętasz, Władek, starego Francuza? „Skalsky, petit vaurien! Skalsky, mauvais sujet! — Pójazie sara do

kosa! A ty ze swoją miną szelmowską:—A gdzie mieszka Sara?... A gdzie jest kos, panie profesorze?...”

Skalski nic nie odpowiadał, zajęty gotowaniem kawy na spirytusowej maszynie. Najskrupulatniejszy bakterjolog nie wpatruje się z taką pilnością w mikroskop, z jaką on śledził mały otworek w szklanej pokrywie, którym, cicho pykając, z przestankami, wymykały się małe kłaczki pary.

Wietrzył przytem nosem, czatując niecierpliwie na aromat kawy, świadczący, że już jej sproszkowane ziarna dokładnie zalał wrzątek.

Ta czynność pochłaniała go całego. Poprzednio z równem oddaniem się sprawdzał świeżość masła, próbował, czy ciasto wypieczone, i mięciuchną serwetką przecierał kształtne filiżanki z cienkiej, prawie przezroczystej porcelany.

Można go było wziąć za sybarytę, smakosza lub mańjaka. Ale tym wszystkim podejrzaniom przeczyła twarz jego. Sybaryci i smakosze nie miewają tak wązkich warg, tak ascetycznie ściągłych policzków; mańjacy nie patrzą tak rozumnie.

Gdy przybysz z nieprzebranego składu wspomnień wyciągał coraz nowe „pamiętasz?“, Skalski nalał i postawił przed nim filiżankę kawy ze śmietanką, nie zapominając ubrać jej obfitym „kożuskiem“.

Wciąż jednak milczał — żadnem „ach“ albo „och“, żadnem skrzywieniem ust do uśmiechu, żadnem nawet westchnieniem jego energicznych opowiadań nie podkreślał.

Tamten spostrzegł wreszcie tę obojętność kolegi.
— Słuchaj, Władek — odezwał się nagle, zniżając głos o kilka tonów, jakby zahamował pociąg, całą siłą pary pędzący. — Podobno ty już nie ten, co dawniej. Wspomnienia szkolne nie obchodzą cię, może nawet nudzą... Ha! filozof z ciebie. Pewnie to wszystko uważasz dziś za dzieciństwo... Zgadłem, nie prawda?

Skalski podsunął mu koszyk z ciastem.

— Polecam twej uwadze — spokojnie rzekł — te „precliki“ na sposób wiedeński. Są osypane kminkiem, solą — bodaj, że nawet ałunem. Znakomity *apéritif*. Gdy zjesz jeden, musisz koniecznie zjeść drugi, trzeci — aż do całego tuzina. Zjadłbyś kope, gdybyś miał je gdzie pomieścić.

Kolega przyjechał koleją, odbył drogę daleką, był głodny co się zowie. Kawa bardzo mu smakowała. Wypił kilka filiżanek, koszyk z ciastem opróżnił — oczy zaczęły mu się na nowo uśmiechać, ręka odruchowo wysuwała się do klepania towarzysza po ramieniu i kolanie.

Przeprowadził oczyma panienkę, która zeszła z w randy do ogrodu. Gdy zniknęła między drzewami, z uczuciem ulgi odetchnął.

— Wiesz Władek, kogo mi ta kawa z preclikami przypomniała? — filuternie zmrużył oczy. — Naszą niegdyś Florę, tę od Józi z Podwala... z wąsikami i pieprzykiem. To był ananas! Ileż to ja podobnych Florek później znałem — żadna takich ślepek nie miała. No, i zrobiła dziewczyna los. Spotkałem ją potem nad Donem... Grandesa! Za mąż wyszła, i to jeszcze za kogo!... Ha, ha, ha, ha!...

Skalski ogładzał pilniczkiem paznogie i milczał, jakby nie do niego mówiono. Pochylenie głowy ku dołowi ujawniało wypukłe, szeroko rozrosłe czoło, prawdziwą „świątynię” ścisłej, zimno kombinującej, pozytywnej myśli.

Dziwny rozdźwięk tworzył widok tej mądrej czaszki w zestawieniu z głupią czynnością, którą wykonywały ręce.

Tamten nie przestawał śmiać się. Ale pod wpływem milczenia kolegi, śmiech jego stawał się coraz cichszym jakby stopniowo przygasał. Wreszcie ustał zupełnie — na werandzie zapanowało milczenie.

— Gorzej poszło innym... podjął przybysz po dłuższej chwili, przyciszonym głosem. — Takiej naprzykład Jance-Violecie... Dopóty odgrywała suchotnicę, aż zachorowała i umarła na prawdziwe suchoty. Strach, jak to w ostatnich miesiącach wyglądało! Oczy — dwa czarne doły; nos zaostroszony, wargi sine. Przytem ciągle śmieje się i śpiewa... Ale o mało-m nie zapomniał o najciekawszym.

Słuchaj, Władek, bo to ciebie dotyczy. Byłem u niej na tydzień przed śmiercią. Uczyniła mi wówczas wyznanie, że w życiu całym jednym tylko mężczyzną kochała naprawdę: Władka Skalskiego!...

Skalski podniósł głowę, ręką lewy bok przycisnął. Mądre jego oczy wpatrywały się przez chwilę przenikliwie w twarz kolegi. Wreszcie wyrzekł z mocą:

— Palisz?

Otrzymał milczące przytaknięcie, więc — z lewej kieszeni marynarki wy dobył i przed towarzyszem rozłożył wielką, srebrną papierośnicę.

— Tu są papierosy... tu cygara. Z tej strony mocniejsze, z tamtej słabsze, do wyboru.

— A ty?

— Mnie wystarczy, gdy palą moi przyjaciele.

— Hygiena... rozumiem. Konserwujesz się. Chcesz długo żyć, mieć starość czerstwą.

— Ja?...

W tonie tego zapytania było tyle zdziwienia a zarazem: ironji, smutku i boleśnej rezygnacji, że przybysz drgnął i oczy rozszerzył, jakby usłyszał kogoś zupełnie sobie obcego.

Chciał uczynić jakąś uwagę, zdobyć wyjaśnienie, ale w tejże chwili Skalski zamknął się napowrót w swej spokojnej, mroząco wyniosłej obojętności.

Rzekł więc tylko:

— Dobrze czynisz. Zdrowie trzeba szanować. Nie wszyscy z naszych o tem pamiętali, i dla tego...

Zaciągnął się raz i drugi cygarem, nozdrzami dymu pociągnął, oczy mu się roześmiały...

— Przewyborne masz cygara. A sam nie palisz. Altruista!

Przygarnął dłonią chmurę tytoniową, wciągnął ją w siebie nosem, ustami.

— Altruista!... Stanowczo altruista!...—powtarzał mdlejącym od zadowolenia głosem.

Skalski gładził paznogie...

— Tak — podjął tamten, nasyciwszy się cygarem — nie wszyscy znają się na wartości życia... O losie naszych wspólnych kolegów mówić ci nie potrzebuję. Znasz go bezwątpienia.

— Nie — zaprzeczył Skalski.

— Musiałeś przecie spotykać się z towarzyszami młodości, dowiadywać się o koleje ich życia?

— Nie — powtórzył tamten.

— Ha, to ja ci coś niecoś o tem powiem. Jak wiesz, zawszem lgnął do ludzi, a już najbardziej do swoich, do rówieśników. Z naszymi było różnie. Kto miał zająć wysoko, to *quand même* zaszedł; kto nie, to nie... Barski został milionerem—wiesz ten niemrawy, brudny Barski, któregośmy nazywali bezłotkiem i głuptakiem. Żylewicz dobił się znacznego urzędu. Dygnitarz! bóstwo w cylindrze,

z monoklem! Kilkuset „podwładnych“ pokłony przed nim wybija. Raz na ulicy udał, że mnie nie widzi. Poszedłem nazajutrz do jego biura, i w obliczu kilkunastu naczelników, sekretarzy i całej świty, powiedziałem mu: „Słuchaj, małpo! Nie odkłoniłeś się wczoraj koledze. Dlaczego?...“ On... roześmiał się czarująco i rzekł: „Musiałeś przechodzić z lewej strony, a ja na lewe oko niedowidzę“. W kilka tygodni później, znów spotkaliśmy się. Szedłem również po lewej stronie. Żylewicz zdaleka przesłał mi czarujący uśmiech i za cylinder ujął. Odwróciłem się i splunąłem.

Nowy uśmiech zadowolenia rozpromienił twarz opowiadającego. Tem zadowoleniem chciał podzielić się z towarzyszem. Uderzył go w kolano i śmiał się zcicha, w oczy mu patrząc.

„Sugestja“ nie działała. Skalski zachował się odpornie.

— Wielu zmarniało...—podjął tamten, już bez uśmiechu.—Pamiętasz Bolka? ładnego, zawsze ufryzowanego Bolka, z różą przy mundurze, w rękawiczkach koloru *sang de boeuf*, Bolka, pogromcę lwic i... owieczek, którego fotografia zdobiła każdy buduar i buduarek? Zahulał się, zaromansował, zapił!... Przed trzema laty spotkałem go w Meranie, przetaczanego z miejsca na miejsce w wózku dla tabetyków. Skończył na ogólne wycieńczenie. Trupem był już za życia...

— Pozwolisz? — rzekł uprzejmie, pochylając się do kolegi, Skalski, który od pewnego czasu wpatrywał się pilnie w ogród, a czasem rzucał na niebo badawcze spojrzenia.

Jednocześnie z zapytaniem wyjął z kieszeni i na stole przed sobą położył zegarek.

— Rozumiem! — zaśmiał się tamten sucho. — Chcesz wiedzieć, jak długo jeszcze będę cię nudził?

— Ani mi to przez myśl nie przeszło! — uściśnął rękę kolegi z nieklamana serdecznością. — Proszę cię bardzo: mów dalej, słucham cię.

— Zmarnieli... Wielu, zanadto wielu zmarniało. Karasz, deklamator Słowackiego, filar naszych przedstawień amatorskich, uwiązł w badyłowych objęciach sześćdziesięcioletniej Mesaliny, wyranżerowanej aktorzycy. Po prowincji z nią jeździ, podpila szlachtę monologami błazeńskimi zabawia. Nos ma, jak ogórek, i zawsze go czuć *doppel-kimmlem...* Arbuzińskiego pamiętasz? Skromniś, w czyściutkim, zapiętym szczelnie mundurku, talent rysonniczy pierwszorzędny... Od roku siedzi w kryminale za poGrabanie banknotów! Ale to hołota... Najbardziej mi żal naszego Julicza, Karolka Julicza, blondynka z cherubinową twarzą, o wielkich, błękitnych, zawsze smutnych oczach... Układał takie miłe, słodkie wierszyki. Już nawet sobie trochę sławy literackiej wywalczył. Z pozoru szło mu wszystko jak najlepiej: miał być niezależny

zareczył się ze śliczną, rozkochaną w nim panienką... No, i pomyśl Władek, jednego dnia, ten cherubinek, ten paż złotowłosy, poszedł do łaźni, i tam... w wannie... (kurcz gardło mi ściska, gdy o tem mówię) brzytwą... poprzecinał sobie... żyły...

Mówiacy obiema dłońmi zakrył twarz, krztusić się zaczął od powstrzymanego łkania.

— Każ, Władek, przynieść koniaku — wyrzekł wreszcie z trudnością. — Zapić to muszę.

Skalski odpowiedział tym samym, co zawsze, głosem:

— Jestem antyalkoholik. Trunku żadnego nie piję i w domu nie trzymam. Ale jestem także tolerant. Zocha! — zawołał na córkę, przechadzającą się blisko werandy.

Limfatyczna panienska wychyliła okrągłą twarz przez bluszcze.

— Niech Piotr kupi butelkę koniaku. Marka najwyższa!

— Nie trzeba! — przytrzymał go tamten za rękę. — Umieć być w winiarni Falstaffem, ale umieć też być ascetą w klasztorze.

— Jak chcesz.

Skalski odprawił skinieniem córkę, która przeszła cicho przez werandę i zniknęła w głębi mieszkania.

Kolega przez długą chwilę palił w posępnem milczeniu. Głowę pochylił, z pod oka przyglądał się Skal-

skiemu: rozmyślał pewnie, czemuby zdołał tę twarz marmurową ożywić.

Skalski tymczasem zdawał się o towarzyszu zapominać. Pochłaniał go całego ogród. Odsunął się z fotelem od stołu, wzrokiem i duszą zatonął w szpalerze grabowym, ciągnącym się wprost werandy, pełnym szarozielonego mroku, przechodzącego gdzieś w tony zupełnie czarne.

Jasność słoneczna jeszcze do tego szpaleru nie dotarła. Leniwie ona pelzała przez gąszcze ogrodowe, muskając zlekka ich wierzchołki, zapadając niekiedy i ginąc w ich głębiach. Pochód jej śledził Skalski ze swego fotelu, a nagle, częste, błyskawiczne rzuty oka to na niebo, to na zegarek, wskazywały, z jaką śledzi niecierpliwością.

— Dwadzieścia kilka lat... prawie całe ćwierć wieku... — przerwał milczenie kolega. — Pomyśleć: ile zmian zaszło w tym czasie w Europie!

Przebudził się i Skalski.

— No, i w Australji!—bąknął.

Najbystrzejszy nie doszedłby, czy to było powiedziane poważnie, czy ironicznie, dobrodusznie czy szyderczo...

Jednak kolega szarpnął się niespokojnie, cygaro niedopalone w ogród cisnął.

— Wiesz, Władek — rzekł porywczo — im bardziej przyglądam ci się, tem mniej cię poznaję. I pytam wciąż sam siebie: Skalski-że to, czy nie Skalski?

— Bal...—ziewnął tamten.

— Powiedzieć, żeś się zmienił—za mało. Z ciebie wyrósł człowiek zgoła nowy.

— Życie mnie nim uczyniło.

— Życie? Ile wiem, ono było dla ciebie łaskawe. Żadnych wstrząśnień, prócz śmierci żony, nie zaznałeś.

— Mówię o życiu wewnętrznym, o życiu duszy...

— Blagujesz, Władek.

— Nie blaguję. Każdy przeżywa na ziemi dwa istnienia: jedno zewnętrzne, widoczne dla innych, sądzone przez nich, nagradzane lub potępiane; drugie wewnętrzne, przed innymi ukryte, a jednak równie pełne wydarzeń, walk, tryumfów, porażek. Życiem rzeczywistym jest tylko to drugie. Opowiadałeś przed chwilą o Juliczu...

— Tak, aleś ty nie słuchał.

— Słuchałem. Zdziwiła ciebie i innych tragiczna śmierć Julicza, boście znali tylko jego życie zewnętrzne, które upłynęło na pisaniu ładnych wierszy, nasycaniu się własnym rozgłosem i pieszczotach z ukochaną dziewczyną. Nie mogliście znaleźć łącznika pomiędzy tem życiem a śmiercią samobójczą, więc osądziliście, że Julicz odebrał sobie *bez powodu*. Ale na świecie każda rzecz ma powód. Śmierć Julicza była wynikiem jego życia wewnętrznego, ostateczną, wywołaną tem życiem porażką, czy też może ostatecznym tryumfem.

Kolega ujął w dłoń długi, ostry klin swej siwiejącej brody, skręcał go w grajcarek i rozkręcał, zaokrąglił przytem dziwnie oczy, wpatrując się uporczywie w Skalskiego. Wyraz jego twarzy okazywał wyężoną pracę myśli.

— Więc?—spytął nagle.

— Więc takiego, jakim jestem, nie uczyniły ani warunki otoczenia, ani stanowisko społeczne, ani stosunki majątkowe, lecz ta ukryta praca twórcza, praca kształcąca i przekształcająca, która zwykle nazywana jest myślą, a którą ja zowię wprost: duchem. Dość!—spojrzał bystro na zegarek.—Nawet za wiele! Bez potrzeby mówię o rzeczach, które są właściwie niewymawialne.

Wykręcił się z fotelem w stronę ogrodu.

— Mam cię, Władek! — wykrzyknął w tejże chwili kolega, chwytając go długą ręką za ramię. — Już mi się nie wyslizgniesz!

Oczy, policzki, wargi, nozdrza, wszystko w nim śmiało się tryumfującym zadowoleniem.

— Odgadłem cię nareszcie. Tyś—mistryk!

Skalski wpatrywał się w szpaler grabowy, nie odpowiadając.

— Mistryk i—spirytysta.

Skalski milczał.

— No, to teraz nagadamy się wreszcie do sytu. Jestem *au courant* wszystkich spraw bieżących, więc i tej aktualności. Znam na wylot literaturę przedmiotu.

Rozsiadł się wygodniej, przygotowany do długiej dysputy.

— Czytałeś, Władek, ostatnie dzieła Crookes'a? A najnowsza rozprawa Du Prel'a doszła już do ciebie? Mogę ci dać wiadomość o wszystkich najświeższych książkach spirytystycznych.

— Książki? — przemówił tamten napół sennie.—Co mi po książkach? Ja nic z książek nie biorę.

— Masz! Nowy koziołek!... — jęknął kolega.—Alboż nie widziałem u ciebie szaf z książkami? Alboż nie posiadasz biblioteki?

— Posiadam, i często całe godziny w niej przepędzam. Bywa to wówczas, gdy słońce nie świeci. Ale gdy tylko błysnie pogoda, biegnę do ogrodu i nadstawiam głowę ciepłemu wiatrowi, który wywiewa z niej cały literacko-naukowy *katzenjammer*.

Kolega ścisnął dłońmi skronie i jęczał zcicha, jak człowiek cierpiący na zęby.

— Wiesz, Władek!—wybuchnął wreszcie, a w głosie jego drżał gniew, żal, oburzenie—sprawiłeś mi ból głowy niewypowiedziany! I muszę nareszcie wyrzucić z siebie gorycz, która mnie od kilku godzin nurtuje. Nigdy, nigdy nie przypuszczałem, że znajdę cię tak martwym, tak strupieszalym. Jesteśmy rówieśnicy, ba! tyś o lat kilka młodszy, ale przy mnie ty wydajesz się starcem, obie-
ma nogami stojącym w grobie. Żywy trup... to okropnel...

Skalski milczał i wodził oczyma po drzewach i niebie.

— Powiedz, Skalski!—zapłakał tamten—więc tyś na wszystko zubożał? do niczego się nie zapalasz? Więc już ciebie na tym świecie nic, nic, nic nie obchodzi?...

Blady uśmiech przemnął po twarzy Skalskiego i zgasł natychmiast. Wyteżonym wzrokiem śledził on teraz gorącą, południową falę złotego światła, która coraz silniej napierała na ciemną ścianę szpaleru.

Nagle twarz jego rozpromieniła się. Zdawało się, że padł na nią odprysk fali słonecznej.

Ujął kolegę za rękę i lekko ją ścisnął.

— Słuchaj — szepnął ostrożnie, ledwie dosłyszalnie, jakby się lękał kogoś lub coś spłoszyć. — Wiem, żeś odczytany... Może zdarzyło ci się w którym z wielkich poetów, w Słowackim naprzykład, spotkać wzmiankę, nawiasową choćby wzmiankę, o... „brylantowej strzale“?...

Kolega wpatrywał się weń z niepokojem. Usiłował też wyswobodzić rękę z drżącego uścisku.

— Nie rozumiem cię, Władek... — bąknął.

— Z Owidjusza... z „Przemian“... zapamiętać musiałeś przepiękny obraz walki z Pytonem. Apollo „lukonośny“ zabija go strzałami... słonecznymi strzałami... brylantowymi strzałami...

— Wiem, kochany. Ale... do czego to zmierza?

Skalski puścił rękę kolegi, oczyma do wskazówek zegarka przypadł.

— Za dziesięć sekund... za dziewięć... — ciągnął tym samym, czającym się głosem, z przestankami, drżąc od zawiadającego nim wzruszenia — przyjdzie to zjawisko... ten cud, na który codziennie czatuję... O! już tylko pięć sekund... cztery... trzy... dwie... Patrz!...

Porwał się z miejsca, na brzeg werandy pobiegł, rękę wyciągnął w stronę szpaleru.

W tej właśnie chwili potok słonecznego blasku przemógł opór gąszczów, i wyłom w nich uczyniwszy, przeszył zielone mroki szpaleru wielką, świetną, miljonem tęczy rozmigotaną — *brylantową strzałą*...

Buchnęła wrzawa ptasich głosów, roje motyli, muszek złocistych, jętek o szklanych skrzydełkach, zaczęły w blasku wirować, gonić się, tańczyć. Wszystkie liście na drzewach wstrząsnęły się dreszczem przeciągłym. Zawieja światel, barw, dźwięków, wesołości zawrotnej, obłędu miłośnego rozszalała się w głębi szpaleru.

Skalski ręce złożył, nogi w kolanach zgiął, jakby miał klęknąć.

Dusza jego cała była tam, w tych blaskach, w tych tęczkach...

Wargi mu drżały, szept z nich wybiegał ledwie rozeznawalny:

— *Deus... Ecce Deus...*

Kolega patrzył to na niego, to w ogród, i nic nie rozumiał. Prawda, że ten promień słońca wśród gąszczów grabowych wyglądał dość efektownie, aleć w lesie, przy dniu pogodnym, takie „efekty” co krok się spotyka...

Więc, przegiąwszy się przez poręcz fotelu, zakrzyknął głośno, jakby śpiącego budził:

— Władek!...

Tamten ani drgnął.

— Skalskil!...

Toż samo milczące odrętwienie.

— Niech pan zostawi ojczulka w spokoju... — odezwała się wychodząca z głębi mieszkania panna Zofja.— Nic on nie słyszy, gdy w swe „zapatrzenie” wpadnie.

Kolega wstał, kilka kroków postąpił i pochyliwszy się, zajrzał badawczo w twarz tego „strupieszalego” towarzysza młodości, który na wszystko zobojętniał, do niczego się nie zapalał, i którego już na tym świecie nic, nic, nic nie obchodziło.

Oczy Skalskiego były pełne łez...

Ś W I E R K

Pewnie mi powiecie, że to rosa obciążyła gałęzie świerku w ów poranek cichy, gdym stanął pod nim z odkrytą, palającą głową.

I że to rosa tysiącem mokrych perełek spadała na moje czoło gorące i na poblądle—nie od chłodu—policzki.

Pewnie mi powiecie, że to wiatr poranny, wkradłszy się między miękkie, wonne igły, wydawał ów szum żałośny, do melodji fal morskich podobny.

I że to ruch trącanych wiatrem gałązek obdarzał drzewo kłamliwym pozorem żywej, czującej istoty.

Pewnie mi powiecie, że świerkowi, po tylu latach odzobaczonemu, byłem równie obcy w ten poranek mglisty i smutny, jak w owe, które wypełniało słońce, nadzieja i rozkosz.

I że rozstanie nasze, które będzie rozstaniem ostatnim, pozostawi w nim tyle pamięci, ile śladu pozostawia w powietrzu przepływająca niem piosenka.

Ale choćbyście po tysiąc razy powtarzali mi te rzeczy rozsądne, na chwilę wiary im nie dam.

I zawsze twierdzić będę, że to prawdziwe łzy spadały wówczas ze świerka na moje czoło gorące i na policzki—nie od chłodu—policzki.

I że ów szum, do melodji fal morskich podobny, był jękiem bólu szczerego i serdecznem westchnieniem współczucia.

I że drzenie gałązek nie od wiatru szło, lecz od głębokiego, całym drzewem wstrząsającego wzruszenia.

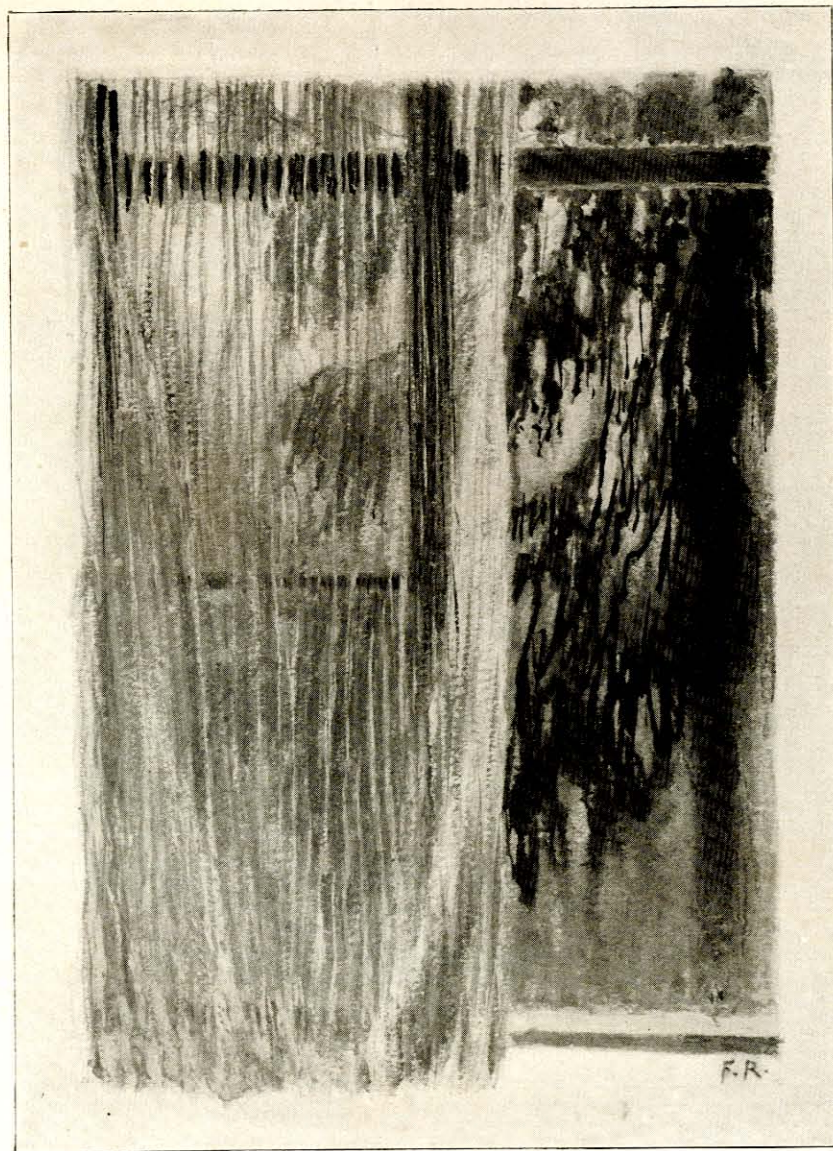
Nigdy też nie rozstanę się z myślą, że świerk zachował pamięć tamtych poranków, wypełnionych słońcem, nadzieją i rozkoszą.

I że dreszcz go przejmował, gdy je porównywał z tem ranem, zasepionem mgłą, melancholją i rozpaczą.

Nakoniec, próżnobyście starali się przekonać mię, że z drzewem pamiętek rozstanę się na zawsze i że już nic, nigdy zbliżyć nas do siebie nie zdoła.

Oto bowiem pień tego świerku dość się rozrósł, aby wypilować zeń można cztery grube, mocne deski.

Z tych zaś desek, miękkich i wonnych, zrobiona być może kolebka, w której serce, bólem szarpane, ochotnie do snu się ułoży...



FERDYNAND RUSZCZYC

DAWNE KAWIARNIE WARSZAWSKIE

Rozdział z „Warszawy Wczorajszej”

Zapach dobrej kawy ze śmietanką przypomina mi dotąd pierwszą kawiarnię warszawską, w której byłem, mając lat sześć lub siedem. Mieściła się ta kawiarnia przy ulicy Długiej, w pałacu „Pod wiatrami“, w głębi obszernego dziedzińca. Nazywała się „Kawiarnią Baucowej“ i posiadała od tyłu rozkoszną werandę, w rodzaju małego, żwirem wysypanego ogródka, z widokiem na ogród Krasińskich. Znajdowało się w tym ogródku kilka starych, pleśnią i rdzawymi mchami obłazłych posągów, od których szło na całą kawiarnię tchnienie poważne i poetyczne. Wyobraziłem sobie wówczas, że kawiarnia warszawska jest zaczarowanym pałacem, do którego wpada się, jak burza, trzaskając drzwiami, w przekrzywionym na ucho kapeluszu, z laską między dwoma palcami, mówiąc rzeczy wesole osobom, siedzącym za bufetem, które w odpowiedzi śmiechem głośnie wybuchają. W tym pałacu anioły, poprzebierane za kobiety, roznoszą w szklankach i filiżankach boski, aromatyczny napój oraz zatłone „fidybusy“.

Ach, fidybusy! Jakże mię zachwycaly te długie, wązkie zwitki zadrukowanego papieru! Pęki ich tkwiły w szklanych naczyniach na bufecie; co chwila główna archanielica zapalała je przy płomieniu gazowym i podawała aniołom drugiego rzędu, które roznosiły je po pokojach i ogródku, niby ogień Prometejowy, z Olimpu wykradziony...

Było to bezpośrednio przed dobą powstaniową.

W tej ostatniej dobie pojęcia moje o kawiarni warszawskiej do gruntu się zmieniły.

Matka, jadąc do Warszawy, znów zabrała mię ze sobą, i mieszkałem chwilowo u znajomych na rogu Podwala i Placu Zamkowego. W tej wysokiej kamienicy, której pierwsze piętro zajmował głośny doktor Tripplin, mieściła się na dole równie głośna, jak ów podróżnik i fantasta, kawiarnia „Zuzi”. Nie byłem w niej nigdy, gdyż nie było to miejsce właściwe dla kobiet i dzieci.

Jednego dnia, schodząc z matką ze schodów i mijając drzwi kawiarni, dostrzegłem tuż przy nich, na podłodze, wielką krwawą plamę...

— Co to takiego?—pytam przerażony.

— Tsss...—szepnęła matka.—Dziś rano zasztyletowano tu szpiega...

W czasie późniejszym, gdy ciekawość i młodzieńczy głód wrażeń ciągnęły mię do wszelkich zakamarków sto

łecznych, od tego jednego miejsca odpychało mię stale niezwalczone uczucie trwogi i wstrętu.

W najbliższem sąsiedztwie „Zuzi”, nieco bliżej placu Zygmunta, miała podobną kawiarnię „Józia”.

Do kawiarni Józii wchodziło się przez długą, wązką, ciemną sień, gdzie dniem i nocą, niby ognik na moczarach, płonęła mdło nieduża latarka ze szklami zakurzonemi. Pokoje były również wązkie, kishkowate; biegly równolegle do sieni, jeden za drugim. Pokój środkowy oświetało (!) jedno okno, wychodzące do zupełnie ciemnego przejścia. Stał tu bufet, a pod ścianą, na nieskończenie długiej, czarnym włosieniem krytej kanapie, siadywał rząd postaci, jakby wymalowanych przez Horacego Veroneta, Suchodolskiego, lub Juljusza Kossaka. Byli to inwalidzi byłych wojsk polskich, przeważnie kalecy, na szczudłach, z plastrami czarnymi na oku, z pustymi rękawami u surdutów, za to z czerwoną wstążeczką przy wyłogach. Tu również za bufetem można było oglądać firmową „Józnię”. Ktoby sobie pod tem imieniem wyobrażał małą zwinną, figlarną istotkę, doznałby zawodu. Józia była niewiasta opasła, zawsze zła, wymyślająca od „siarczyстых” dziewce i parobkowi. Po prawej stronie bufetu był pokój z oknem, wychodzącem na ciemne podwórko. W piwnicznym mroku było tam słychać nieustannie stuk mieszanych w kubku i wyrzucanych na stół kostek. Był

to klub „dominikanów“ (grających w *domino*) i „kościarczy“ (grających w *kości*).

U Józi weterani wojska polskiego palili fajki na długich cybuchach. Z fajkami spotykałem się w dwóch jeszcze piwiarniach: „Pod Dzwonnicą”, na Przedmieściu Krakowskim, obok Bernardynów, oraz w bezimiennej kawiarence przy ulicy Elektoralnej. W obu tych miejscach przechowały się niemal do ostatnich czasów sprzęty, najnowszemu pokoleniu nieznane, mianowicie: fajczarnie. Do cybucha każdy z palących zakładał własne piórko.

Kawiarnia „Pod Dzwonnicą”, niedawno zamknięta, była podobno ostatnią dawnego typu. Panowały tam demokratyczne zwyczaje i także ceny; panowała też demokratyczna równość i swoboda. Dzięki temu, o każdej porze dnia, zwłaszcza zimą, w godzinach poobiednich i wieczornych, nie było w tej kawiarni jednego stołka wolnego. Goście spóźnieni stawali pod piecem lub na środku, albo zapychali pokój bilardowy, czekając cierpliwie na kawałek próżnego miejsca.

Więc też, obok emerytów, drobnych kapitalistów, próżniaków i poszukujących mętnej wody rybołówów, ciągnęła pod Dzwonnicę surdutowa i kapeluszowa bieda, pewna, że się tu za kilkanaście groszy pożywi, cały wieczór w cieple przesiedzi, a w potrzebie i wyśpi się nawet. Przesycone nikotyną i kofeiną powietrze, jednostajny

szmer rozmów, głuche, oddalone burczenie bil, toczących się po zielonem suknie—wybornie do snu kołysały.

Obyczaje „Pod Dzwonnicą“ były sielskie i patryjarcalne. Usługiwały tam, w sposób bardziej przyjacielski, niż obowiązkowy, panienki doletnie, choć nie przekwitłe. Stali goście byli przez nie nazywani „wujaszkami”, z dodaniem imienia własnego; do panienek mówiono najczęściej: „ciociu”, również z dodatkiem imienia.

Flirt miał tu formy swoiste, niepowszednie. Gruchano naprzykład głosem przyciszonym w taki sposób:

— Ciociu Kaziu!

— Ehe?

— Wygląda dziś ciocia bosko...

— Aha!

— Więc...

— Więc „pół z pół”, dwa serdeliony i sznyt pytlowca z serem — wszystko „na borg”?

— To się wiel!

Siedząca za bufetem „gospodyni” posiadała tę właściwość, że niepodobna było wyobrazić jej sobie: milczącą i nie smarującą chleba masłem. Od świtu do nocy, jej usta i uzbrojona nożem ręka bezustannie pracowały.

Jeśli prawdą jest, że kredyt tworzy najsilniejszą dźwignię handlu, to zakład „Pod Dzwonnicą” musiał wspaniale przynosić zyski. Nigdzie tak obficie, jak tam, nie szafowano kredytem. Niejeden młody artysta rze-

mieślnik, kupczyk lub urzędniczek, dzięki jedynie temu kredytowi, mogli przetrzymać ciężkie lata nowicjatu. Niejednego też biedaka ten kredyt od śmierci głodowej ocalił.

Ile razy chciałem doświadczyć smaku naszej cygarnierki artystycznej, szedłem „Pod Dzwonnicę”. Zawszem był pewien, że tam, z oceanu dymów tytoniowych, wyłowię koźłobrodego twórcę czterech, zawsze razem podawanych „Pór roku”, oraz drastycznych scen „Przed” i „Po”, również tylko w połączeniu do nabycia będących. Zapoznany gieniusz miał tu stałe miano „wujaszka Edmunda”, lub krócej „Mundzia”; miał także w którymś kącie wbity hak, zarezerwowany wyłącznie dla swej garderoby. Wisiało na tym haku jego odzienie zimowe i letnie, które odmieniał w miarę potrzeby.

Kawiarni odrębnie literackich, odpowiadających tym, o których pisał Wójcicki w swej „Kawie literackiej”, w ostatnim okresie Warszawa nie miała. Ludzie od pióra kupili się w kilku cukierniach i jadalniach publicznych, nie gardzili też piwiarniami; kawa mało ich nęciła.

A tu wspomnieć muszę, że oglądałem jeszcze własnymi oczyma opisaną przez Wójcickiego kawiarenkę, którą brać pisarska przezwiała „Dziurką”, a której nie trzeba łączyć z inną tej nazwy „instytucją”, mieszczącą się przy cukierni w gmachu teatralnym. „Dziurka”, o której mówię, znajdowała się przy ulicy Miodowej w domu

Grabowskich, a kto ją widział, ocenić musiał trafność danego jej miana. Wierną jej podobizną dał Kostrzewski w „Szkicach i Obrazkach”.

„Dziurka” zajmowała zaledwie dwa pokoje, i dziwić się trzeba: jak tam zmieścić się mogło tyle osób, w opowiadaniu Wójcickiego występujących? Środek pierwszej salki, niskiej, wąskiej, ciemnej, zajmował bilard — sprzęt przedpotopowej konstrukcji, z łozami w kształcie worków skórzanych, do których bile z łoskotem wielkim wpadały. Nizki sufit był nad bilardem podziurawiony, jak rzeszoto, gracze bowiem, zamiast nacierać końce kijów kredą, woleli wkręcać je w pobielaną powalę. Bufet, do ołtarza podobny, stał w bardzo głębokiej, zgoła ciemnej wnęce, niegdyś zapewne alkowie.

Charakter prawie dobroczynny miała kawiarenka w Rynku Staromiejskim — miała zaś z dwóch powodów: była ze wszystkich najtańsza i ze wszystkich najwcześniej otwierana. Ścisłej mówiąc, zawsze ona stała otworem. Odmykano ją o wschodzie słońca, zamykano o pierwszym brzasku rannym.

Kiedyś, gdym roił o napisaniu „Nocy Warszawskich”, które miały być cyklem obrazów, odtwarzających tajemniczą, w mroku zanurzoną, sowią i krecią Warszawę, tum znajdował nieprzepełnione do niej materiały... Pod niskim, rozwarto-łukowem sklepieniem, przy żółtem, migotliwym świetle lampek naftowych, rozkwitała w owej kawia-

rence cała nocna flora stolicy. Nie oglądała ona nigdy słońca; jej również słońce nigdy nie widziało.

Te nocne, napół fantastyczne zjawy podobne były owym, które

...bojaźń nasza

Widzi w bezsennych nocach; poranek rozprasza.

Kilka postaci z tej galerji zapamiętałem.

Jedną był eks-zecer, człeczyna chudy, załęczniony, z żółtą twarzą, z obłądnym wzrokiem, z długimi, zwichrzonymi włosami. Przeżył lat dziesięć na Syberji, dokąd go wysłano za druki nielegalne w dobie powstania. Nosił wyrudziały kapelusz kształtu ula i długi, zniszczony surdut, z kieszeniami, wypchanymi mnóstwem małych, zadrukowanych papierków. Z nikim nie rozmawiał. Siadłszy w ustronnym kącie, wydobywał ukradkiem swe papierki—które były poprostu wycinkami z gazet—i ołówkiem pilnie je korygował. Dość było w jego stronę spojrzeć, aby natychmiast papierki niknęły; on zaś sam przybierał w jednej chwili minę obojętną i udawał, że najspokojniej... muchy łapie.

Inny, stale zły, mrukliwy, z każdym zaczepki szukający, z najeżonym, szczecinowym włosiem i żółtą twarzą typowego mizantropa, trzymał zawsze w zanadru pieska małego. Do tego pieska przemawiał najczulszym głosem, karmiąc go z ręki okruchami bułki i cukru. W przywią-

zaniu do niego skupiał wszystką moc serca. Było widoczne, że prócz tej psiny nikogo drogiego sobie na ziemi nie ma.

Kim był? skąd przybywał? jakie zawody duszę mu zatruły?...

Antytezę tego mruka wyobrażał lekarz-alkoholik, apoplektycznie czerwony, krzykliwie rozprawiający, zawsze gronem pilnych słuchaczy otoczony. Zjawiał się pijany, z głosem ochryplym, z oczyma krwią nabiegłymi, i trzeźwił się kawą czarną, pół-na-pół z arakiem. Wiedzę miał wielką, choć chaotyczną, większy jeszcze zmysł krytyczny. Zjadliwie wyszydzał swych kolegów, nie przebacząc najgłośniejszym; potem drwił z całej medycyny i z nauki wogóle; błysnąwszy olbrzymią erudycją, znajomością obcych krajów, języków i literatur, spluwał nagle i kończył:

— Wszystko to psiego nie warte ogona! Panno! jeszcze „pół z pół”!

Było coś ciemnego w jego przeszłości. Przebąkiwano, że ma żonę, z którą nie żyje, i dzieci kilkoro, zrodzonych podczas jego kilkoletniej podróży na Wschód...

Inny wielki rozprawiacz, również z uwagą słuchany, tem się różnił od poprzedniego, że mówił spokojnie, a słowa płynęły mu z ust, jak woda z odkręconego samowaru. Błady był, limfatyczny, nigdy się nie unosił, nigdy nikogo nie krytykował. Alkoholik w stopniu naj-

wyższym, mógł być miewać napady białej gorączki, lecz nie był już w stanie ulegać umysłowemu podnieceniu. Posiadał nieprzebrane zasoby wiadomości z nauk przyrodniczych — dwa nade wszystko tematy były mu ulubione: sztuczna hodowla kolibrów i balsamowanie trupów.

— W Chicago... eee... — z wolna cedził — założyłem się z profesorem... eee... Smithem, że pięknie, a w niewoli kolibra... eee... nie wychowa. Uparciuch taki... eee... Wziął raz najpospolitszego *trophilusa* i, żeby go... eee... zmianić, porobił z wosku kwiaty, jakie on... eee... lubi, i napełnił je... eee... syropem. Ale kolibrzyna nie głupi; powąchała, ogonkiem... eee... kiwnął i... eee... zdechł.

To znów zmieniał temat.

— W Paryżu... eee... pomagałem doktorowi Cruveillé przy „toalecie”... eee... jednego bankiera. Zachciało się szelmie... eee... ślicznie po śmierci wyglądać. No, i wysłiczniliśmy go... eee... jak się patrzy. Ja wydmuchałem z łajdaka... eee... wszystką krew skrzeplą, a doktor zastrzyknął mu w żyły... eee... spirytusu z karminem... Rumiany był bestja... eee... jak jabłuszko.

Co tego erudyte, bywalca, doświadczonego praktyka w jałowy mrok nocy warszawskich wtrąciło?..

Jawią mi się inni jeszcze... cały korowód przede mną przeciaga... Boże! jakże ich wielu — zwichniętych, wykolejonych, zmarnowanych! Więcej chyba, niż w którymkolwiek innym społeczeństwie. Czyżby tłumaczyły zagadkę

dwie cyfry kabalistyczne, które tak często, w poufnych zwierzeniach, z ust im się wyrwyją: sześćdziesiąt jeden i sześćdziesiąt trzy?..

Najsilniej wryła mi się w pamięć postać smutnego grajka, który miał stać się wielkim artystą, a skończył na przygrywaniu „gościom” w piwiarni, już dziś nie istniejącej, „pod Gwiazdą”. Niegdyś może ta pierś wrzała, te oczy ciskały błyskawice, to czoło fałdowało się od myśli wyteżonych; gdym go poznał, był — automatem. Nic w nim zresztą nie było z grajka knajpowego: żadnego opuszczenia się, zaniedbania w ubiorze i obejściu. Wykwintny a sztywny, podobny razem do Musseta, Mirona i Verdiego, choć od nich wszystkich piękniejszy, miał białą, marmurową twarz, czoło z kości słoniowej i oczy zagasłe. Z nikim nie rozmawiał; z kolegą nawet, który jego skrzypcom towarzyszył na fortepianie, porozumiewał się częściej gestem, niż słowem. Ale dusza całkowicie w nim nie zamarła. Wkładał ją w grę, a gra mówiła o uczuciach subtelnym i wykwintnym, o sercu tklivem i beznadziejnie smutnym...

Grajek był niegdyś ukochanym uczniem Apolinarego Kątskiego. Miał talent, wielki talent. Czekala go świetna przyszłość: oklaski, wieńce, złoto. Był stworzony do estrady, do rozmarzania eterycznych angielskich *ladies* i masywnych amerykańskich miliarderek. Skończył... jak wyżej.

Raz jeden tylko słyszałem tego człowieka śmiejącego się. Sprawcą jego śmiechu był „gość-amator”, człowiek z gęstą miną, wieśniak widocznie i miłośnik muzyki. Poznał i ocenił grę bezimiennego artysty; przystąpił doń, rękę mu uścisnął, kazał podać wina butelkę. Trącając się kieliszkiem, z poufałością serdeczną rzekł:

— A gdybyś tak, dobrodzieju, coś bliższego duszy urznął?.. Ot, choćby „Hej tam w karczmie za stołem”, albo „Boże, coś Polskę”, albo „Z dymem”, panie tego...

Wówczas grajek zaczął się śmiać. Był to śmiech osobliwy, z jakim nigdy się jeszcze nie spotykałem. Gdyby umarli mogli się śmiać, takby się niezawodnie śmieli.

Śmiejąc się, odwinął rękawy i mankiety, i pokazał wieśniakowi obnażone do połowy ręce. Na każdej znajdowała się, powyżej kostki, głęboka, białawo-siną blizną, opasująca rękę nakształt bransoletki.

Fortepianista, dobroduszny tłuścioch, z objaśnieniem pośpieszył:

— Kolega był tam... (rękę wysunął w przestrzeń). Potem go wywieźli...

Wieśniak głową pokiwał, posmutniał.

I znów padła między nich kabalistyczna, znamienna cyfra:

— Sześćdziesiąt trzy...

Tamten tymczasem, z trudnością śmiech hamując, schował skrzypce do futerału i—nieznacznie z piwiarni się wymknął.

W kawiarence zjawiał się grajek codziennie o północy. Siadał na pierwszym z brzegu miejscu; na niego nie patrząc, papierosa po papierosie palił, i pił „czarną”. Trwało to godzin kilka. Za pierwszym błysnięciem brzasku przedporannego—znikał.

I wszyscy oni znikali przed światłem, jak Nocy Walpurgowej widziadła...

To był romantyzm, poezja mroku, kalejdoskop scen z kolorytem Rembrandtowskim. Powszedniość natomiast i proza codziennego życia powlekały szarą barwą innego rodzaju przybytki, które nosiły miano „Kaw gospodarskich”.

Ostatni rodzaj kwitnął głównie w pobliżu głównych miejskich targowisk, więc za Żelazną Bramą, na Se-werynowie, przy placu Św. Aleksandra. Dotąd spotykać go tam można; mało się nawet zmodernizował.

„Kawa gospodarska“ zwiastowała się światu wystawionemi w oknie babkami i plackami, z kartą, uprzedzającą, że to „ciasto własnego wypieku”.

Takie zakłady odwiedzają głównie „skrzętne gospo-sie”, osobiście na targi chadzające. Atmosfera jest tam senna i ciężka; monotonne cykanie zegara prze-rywają skargi utrudzonych pań, w których bierze udział

i otyła właścicielka, zajęta zwykle robotą pończochy lub cerowaniem.

— Jajek dokupić się nie można, moja pani!..

— A masło, moja pani? Musiałam dać po dwa złote groszy pięć, i to ledwie się doprosiła!..

— Kaczkę chciałam kupić, moja pani. Maleńka, jak wróbel, i to nie wstydziła się baba pięć złotych cenić!..

— Co to będzie, moja pani?

— Bieda i tyle... Niechno moje panie spróbują tej babki. Swojej roboty—dzisiejsza...

Słówko ostatnie — tobie, pani Szóstakowska! dobrodziejko akademickich kieszeni, bez której w pewnym okresie życia wczorajsza „Młoda Polska” nie mogłaby rozkoszować się aromatem, słodyczą i podniecającą mocą czarnej... cykorjii!

Ty, szlachetna niewiasto, wstydliwie kryłaś swe wdzięki obfite i serca dobroć bezmierną w maleńkiej ciupce, wśród mroków uliczki Koziej, a przecie w porze poobiedniej drogę do ciebie znajdował każdy, komu w kieszeni, zamiast dziesiątki, kołatała się tylko szóstka, czyli „szóstak”. Ten szóstak, za który dawałaś szklanek niewątpliwie czarnego i gorącego płynu, wsławił cię, drogę ci do nieba i do pamięci potomnych utorował. On ciebie także nobilitował, boś przezeń została Szóstakowską, herbu Szóstak, choć nazwisko twe rodowe było inne, nikomu zresztą nieznane i—nikomu niepotrzebne...

GDĄSK, „WENECJA PÓLNOCY“

RZUT OKA WSTECZ I NAPRZÓD

O Gdańsku nie mogę myśleć, mówić i pisać bez wzruszenia. Składa się na to wiele powodów. Jednym jest to, że Gdańsk to mój stary—ach, jak stary!—znajomy.

Wiem, czytelniku, że mi nie uwierzysz. I nawet wiary od ciebie nie wymagam. Nie zmieni to jednak faktu, że moja znajomość z Gdańskiem liczy się nie na lata i nie na dziesiątki lat, lecz—na stulecia...

Skąd mam tego faktu świadomość? Doszedłem do niej „inną drogą”, jak mawiał o podobnych sprawach głębokomyślny Norwid.

Możem przybywał tu w orszaku Zygmunta Augusta, witanego przez Gdańszczan, jak gość upragniony. Może z Batorym wkraczałem butnie, ciesząc się widokiem pokonanych i pokłony bijących „rebelizantów”. Może z Kłowniczem wylądowywałem przy „Zielonym moście”, prostując nogi, zeszywnione długą na trawie nieruchomością...

Najpewniej bywałem osiadłym na stałe, cichym, w siebie samego wnrzonym robotnikiem. W niedużej a pięknej komnatce, wśród sprzętów, wytwornie rzeźbionych, przy szerokim oknie, pozwalającym widzieć białe

żagle i ciemne maszty okrętów—mozoliłem się nad wcielaniem swych snów i myśli w kształty artystyczne. Rykowałem blachy miedziane, wzorując się na Falckach i Hondiusach; albowiem z bursztynu rzeźbiłem cacka misterne na podarki dla królów, papieży i cudnych patrycjuszek; albowiem na pergaminie kreśliłem wiersze łacińskie, licząc zgłoski i wybijając rytm na palcach własnych lub—siedzącej obok swej ziemskiej... Muzy. (Czynić to miał Goethe, w stuleci kilka później).

Cokolwiekby, gdy po raz pierwszy w obecnym życiu wśród murów Gdańska znalazłem się, zrozumiałem odrazu, że nie *przybywam* tu, lecz—*powracam*. W czasie innych wycieczek po Europie, nigdy i nigdzie, ani przedtem, ani potem, uczucia podobnego nie doświadczyłem.

* * *

Ulica Psia; hotelik „pod Złotą Różą”. Noc z 31-go sierpnia na 1-szy wrzeźnia. Ciepły wiatr pędzi chmury srebrne i popielate. Biały, mocno błyszczący krąg księżyca to wyziera z obłoków, to się w nich zatapia.

Omnibus hotelowy przywiózł jednego tylko podróżnego: młodzieńczyka, który za cały „bagaż” ma—bardzo cienką łaskę bambusową.

— Pokój... niedrogi.

— To się wie — mruknięto, zmierzwszy wzrokiem grubość łaseczki.

Po chwili młodzieńczyk rozgaszczał się w maleńkiej „ciupce” na piątym piętrze. Ofiarowano mu, co hotel miał najlichszego. W rzeczywistości, było to—królewskie.

Młodzieńczyk otworzył okno; niemal całą godzinę w nim przestał, znieruchomiony zachwytem.

Ile razy księżyc zabłysnął, wychodziły z ciemności rzeczy czarodziejskie. Więc najpierw olbrzymia, ciężka, osadzista, miastu całemu panująca bryła prastarego Tumu. Więc później nieskończenie długa, wązka, o złoconym ostrzu, wieży ratuszowej iglica. Więc znów fantastyczne, pełne przystawek, ciemnokrwiste, jakby kolcami najeżone, ceglane graniastopy wieże kościelnych i miejskich. Więc nareszcie ostro łamiące się dachy starych kamienic, których smukłe, wyskoczne czoła roily się bezmiarem figur kamiennych, rycerzy, świętych, wazonów z kwiatami, smoków, gryfów, chimer...

Zgęstniały obłoki—cały obraz w mroku zatonął.

Nagle, w chmurach, wysoko—młodzieńczykowi wydało się, że wprost nad jego głową—zaszemrały głosy tajemnicze. Był to jakby rozgwar duchów, nad miastem przelatujących, a na chwilę darem mowy i śpiewu zubożonych.

Słuchającemu dreszcz przebiegł po krzyżu.

Szmer i gwar nabierały szybko natężenia. Jeszcze chwila, a zaczęły grać, dzwonić, śpiewać. Tony, niby ptaki, ulatywały najpierw to tu, to tam, drogi szukając;

później skupiły się w stado i spadły na ziemię dźwięczną, przeczystą, jakby kryształową, melodją.

Co za melodja! Cała przeszłość w niej zmartwychwstała. Młodzieńczykowi, gdy słuchał, zdawało się, że starcem się staje kilkusetletnim... Duchy rozleciały się, zamilkły. Pieśń ścichła. I zaraz spizowe, przeciągłe uderzenia dzwonu północ wybijać zaczęły. Ratusz dał hasło—odpowiedziały mu wieże kościelne. Długo, długo dzwoniła nad miastem ponura, a jednak ciągnąca serce i czaru wielkiego pełna, jęklivych tonów zawiechuca...

Przebrzmiał „kurant“, zamilkły zegary—młodzieńczyk okna nie zamykał, łowiąc uchem szmery, okiem blask, i słuchając myśli własnych, które mu grały jeszcze cudniejszą, niż dzwony, symfonię.

A ledwie zabieliło się niebo na wschodzie, już z sercem bijącym, z głową rozmarzoną, biegł w stronę morza, jak na schadzke miłośną...

* * *

O późnym wieczorze, gdy Gdańszczanie, szlafmyce naciągnawszy, pod pierzyny się wsuwali, zaszedł do pięknej restauracji w śródmieściu.

Izba była wielka, wytwornie urządzona, poważna. Wszędzie dąb ciemny, rzeźbiony; naczynia błyszczące, ciężkie; cisza prawie kościelna.

Kilka strojnych dam siedziało na staroniemieckich zydlach; kilka, z cicha rozmawiając, przechadzało się w dużym okręgu światła, przez świecznik gazowy rzuconym.

Ryby morskiej zażądał. Jedna z dam wstała, wyszła i po chwili przyniosła żadaną potrawę. Własnoręcznie też postawiła przed nim pięknie rżnięty puhar, piwem napełniony. Nie dość na tem: przysunęła do stołu zydela, siadła na nim, gościa rozmową bawić zaczęła...

Palce damy były opierścienione; z szyi zwisał długi, złoty łańcuszek od zegarka.

Wypytywała młodzianka: czy cudzoziemcem jest? skąd przybywa? jak mu się Gdańsk podobał? co o urodzie kobiet tamtejszych sądzi? On rumienił się i jękał, mocno tem wszystkim zakłopotany.

Niespodzianie inna z dam zagadnęła go — po angielsku. Z trudnością zrozumiał, że piękna pani „przypomina go sobie z Londynu, gdzie spotykała go często na *Trafalgar-square*”...

Jeszcze nie zdążył ułożyć w myśli odpowiedzi, gdy pozostałe damy jęły kolejno zwracać się doń z uśmiechami i pytaniami. Pytania były wygłaszane po szwedzku, po duńsku, po holendersku. Zrozumiał, że ma przy sobie wszystkie odmiany rasy anglosaksońskiej. Wprawiło go to w podziw, zmieszało, oszołomiło.

Szwedce, Duńce i Holenderce oświadczył po niemiecku, że ich nie rozumie; z Angielką postanowił porozumieć się przy pomocy rozmówek polsko-niemiecko-angielskich, które miał w kieszeni. Wydobył książeczkę, położył przy sobie... W tejże chwili *miss* czy *mistress* pochwyciła ją, kartki przewracać jęła... Zaraz też książeczka została mu zwrócona, z dwojgiem, paznogciem zakreślonych, pytań:

— „Jak pan przepędził noc dzisiejszą?” „Czy pan spał dobrze?”

Przy pomocy rozmówek i paznogcia odpowiedział:

— „Przepędziłem noc bardzo dobrze”. „Ani oka nie zmrużyłem”.

Ożywiony dialog trwał dość długo; wreszcie córka Albionu wynalazła i „wypaznogciowała” dwie następujące wokabuły:

— „Każ pan podać butelkę szampańskiego”. „Wy-pijemy w oddzielnym gabinecie”.

Młodzieńczyk na tę propozycję nie znalazł już, niestety, odpowiedzi—ani w rozmówkach, ani w portmonetce. Dialog przerwał się—w miejscu najciekawszem.

* * *

Niema dziś już w Gdańsku ani „Złotej Róży”, ani restauracji z „damami”. Niema wielu innych rzeczy,

tworzących łącznik między dobą dzisiejszą i wczorajszą. Wszystko pokrył, zatarł, ujednostajnił błyszczący a zimny pokost wszechniemieckości.

Jakże inaczej naprzykład wyglądał wówczas „Most Zielony” wraz z roztaczającym się stąd, jedynym może w swoim rodzaju, widokiem! Most, dziś murowany, wyżwirowany czy nawet asfaltem wylany, wówczas miał pomost i poręcze drewniane i wspierał się na drewnianych, grubych, częściowo już zbutwiałych palach. Był też naprawdę zielony—w górze od farby, przybrudzonej zresztą, spłowiałej od słońca, wymytej przez deszcze, w dole od zbutwiałości i wodnych porostów.

Stanąwszy na moście, miałeś złudzenie weneckiego *Canal grande*. Nie pałace jednak obramowały tu brzegi i przezierały się w mętnych, zielonych falach. Po lewej ręce ciągnęły się malowniczym zakolem domy mieszczkańskie, składy towarów, stare bramy miejskie, olbrzymie windy i czatownie pożarne; po prawej—ogromne, wielopiętrowe, różnobarwne, stłoczone na siebie śpichrze. Na sędziwych czołach tych gmachów, jakby obfitością plonu napęczniałych, czytałeś polskie, głoskami ogromnemi skreślone napisy: *Włocławek, Nieszawa, Płock*... Niektóre były złocone.

Dziś te budynki z gruntu przerobiono; napisów ślad nawet zniknął.

Niema też już zadymionych piwiarni w piwnicach, do których, po spadzistych stopniach schodziło się, czy też staczało, wprost z chodnika. Siedziałeś tam, jak w chmurach; atmosfera była fantastyczna, dziwnie podniecająca. Wśród biesiadników oczy szukały papuziego profilu Ernesta Amadeusza Hoffmana i jego kota Moora...

Niema również knajp marynarskich, gdzie barczyści żeglarze, z obnażeniami aż po obojczyk szyjami, tańczyli *matelot'a*, stawając naprzeciw siebie, przytupując stopami i wykręcając się, jak słonie, dokoła własnej osi. W powietrzu czuć było arak i prymkę; po kilka razy na wieczór fruwały butelki, rozbijając się o twardsze od siebie czerepy biesiadników...

Niema pięknego sosnowego lasku w pobliżu latarni morskiej, gdzie była letnia restauracja, i gdzie piwo, pite przy śpiewie ptaków, wśród atmosfery żywicznej, nabierało smaku ambrozji...

Niema wielu innych, pomniejszych rzeczy: na przykład kramu starożytności w Starym Rynku. A i sam Rynek zmienił się do niepoznania. Niegdyś w godzinach rannych brnęło się tam przez prawdziwe morze jarzyn, owoców, kwiatów, których krzepki zapach o zawrót głowy przyprawiał...

Co zaś do kramu starożytności, to nazywał się on: składem przyborów żeglarskich. W otwartych drzwiach wisiały tam festony lin, linek, sznurów, sznurków i sznu-

reczków; w oknie okazywana była ludowi „prawdziwa” wypchana syrena. Siwym kurzem przysypana, przez czas i szczury nadgryziona, nie przywabiała morska panna nikogo, nawet powracających ze szkoły chłopców w granatowych pończochach i króciutkich „szpencerkach”.

Więszą ciekawość budził wystawiający się we drzwiach właściciel tej osobliwości, stary Żyd w aksamitnej krymce, z ogromnym, jak dziób kruczy, nosem, w okularach, szepleniący, jak roczne dziecko. Liczyć musiał lat sto z okładem, a żonę miał starszą od siebie.

Nie wiem dotąd jakim sposobem znalazłem się raz w szponach tego Żyda. Wprowadził mnie natychmiast do obocznej izby, i, wcale o to nie proszony, rozłożył przedemną—nie liny i nie wiosła, lecz starą porcelaną, mińjatury, kryształ, drobiazgi z kości słoniowej, z perłowej masy, z bursztynu, z alabastru.

Wszystko było u niego *alt chynzyś* (*alt chinesisich*), począwszy od kart tarokowych, aż do próżnej buteleczki po wodzie kolońskiej Fariny. Nie wiem też dotąd, jak się to stało, ale dowiedział się, gdzie chowam portmonetkę, w której przegródce trzymam pieniądze na „drobne wydatki”, poczem te pieniądze wygarnął, przywłaszczył sobie, a wzamian obdarzył mię: porcelanową pasterką, tańczącą menueta, okręcikiem, wyrzniętym z pestki od wiśni, łupiną orzecha kokosowego i wyszczerbionym kieliszkiem — wszystko *alt chynzyś*. Chciałem się z nim

pokłócić, przejednał mię jednak zapewnieniem, że „pamięta jeszcze dobre, polskie czasy”.

Niema już tego Żyda, i niema podobno ani jednego człowieka, któryby mógł jego zapewnienie powtórzyć. Z syreny, przez szczury zjedzonej, ocalały jedynie łuski. A i moja tancerka nie tańczy już menueta; ze wszystkich dawnych wdzięków pozostał jej tylko — postument.

Wzamian za te umarłe kształty pozyskał Gdańsk w ostatnich czasach: tramwaje elektryczne, karty na sklepach z napisem: „mówią po polsku” (na niektórych: „po polskiemu”) i—hakatyzm.

*

*

*

Po wiele razy odwiedzałem jeszcze później Gdańsk. Rzecbym mógł, że on się w moich oczach przetwarzał. Te przetwarzania zresztą dotyczyły tylko jego zewnętrzności; w gruncie rzeczy pozostał tym samym, co dawniej.

Polskim? — Nie, bo nigdy naprawdę nim nie był.— Pruskim?—Tem mniej jeszcze, gdyż wszystko, co pruskie, zawsze miał w nienawiści.—Wszechniemieckim?—Również nie, zanadto bowiem kochał swą odrębność i niezależność.

Gdańsk pozostał—w myślach dziś już tylko, marzeniach i nadziejach—samym sobą, to znaczy: tem kwitnącem, szczęśliwym „wolnem miastem”, które błogosławiony żywot wiodło pod skrzydłami Rzeczypospolitej polskiej, samo będąc poniekąd oddzielną republiką. Rozstać

nam się trzeba z mżonką, że „Gdańsk, miasto niegdyś nasze, znowu będzie nasze”... Myśmy go nigdy na własność nie posiadali—użyczyliśmy mu tylko swego protektoratu, zaszczycałiśmy go jedynie przypuszczeniem do swego klejnotu herbowego.

To właśnie stanowiło główną wartość i piękność tego niezwykłego stosunku. Nie przykrzyła w nim sobie ani jedna, ani druga strona—pomimo chwilowych nieporozumień, które trafiają się i wśród małżeńskich, najlepiej dobranych stadeł. Polsce było dobrze z Gdańskiem, Gdańskowi z Polską.

Przetwarza się Gdańsk—ale, dopóki ze szczytu wieży ratuszowej będzie mu królował zaklęty w posąg Zygmunt August; dopóki jego arsenał będzie pełen pamiątek i wspomnień o Stefanie Batorym; dopóki będzie tam ze czcią okazywane miejsce, gdzie Stanisław Leszczyński nocą przed pościgiem nieprzyjaciół uchodził; dopóki w jego muzeach panować będą Polacy: Falck i Chodowiecki; dopóki ze ścian ratusza nie znikną wizerunki królów i herby ziem polskich—dopóty duch polski żyć tam i sercami władać nie przestanie...

Bo duch nie umiera, choćby go najcięższymi przyciśniono głazami!

CHMURKA



FERDYNAND RUSZCZYC.

„CHMURKA”.

Między kitami paproci, na mchach miękkich, choć igłami sosen usianych, siedzę w ciszy i nieruchomości, nurkowi na dnie morza podobny.

W górze, nad głową moją, szumi i bałwani się ocean—wielki, zielony ocean, w którym rybami są ptaki, a pianą, z fal strząsaną, liście uwiedle.

Tu spokój zupełny; tam nieustanne wiatru przeciągi. Nie są one z tych, co każą dębom bić pokłony a brzozom rozpuszczonymi włosami ziemię zamiatać; dość wszakże w nich siły, aby skupione korony drzew wrzucić, życiem i gwarem napęlić.

Bór gra — a to granie przypomina stłumiony głos organu, gdy śpiewom chóralnym towarzyszy. Śpiewów nie słychać. Może je wykonywa chór aniołów—w niebiesiech.

W jednym miejscu rozstały się drzewa. Widać tam płat ciemnego błękitu, kryształowo czysty, bezdennie głęboki. W otchłani zatapia się myśl i doświadcza

upojenia, które na chwilę pamięć o rzeczach ziemskich odbiera.

Na bezdenne jezioro błękitu wypłynął śnieżny łabędź: chmurka. Puchowo lekka, przejrzysta, pieszczotliwym tchnieniem wiatru popychana, żegluje ta chmurka na wysokościach, pławiąc się w lazurze nieba, w złocie słońca.

Zawieszona między dwiema otchłaniami, nie troszczy się ani o tę, ani o tamtą. Czem dla niej ziemia! czem dla niej niebo! Patrzy w słońce i słucha wiatru: oto wszystkie jej cele, wszystkie jej prawa.

Niema zwały na tej chmurce, światłem przepojonej. Mały cherub mógłby na niej strudzone ciało do snu ułożyć. Sam Stwórca mógłby nią podnóże swego tronu ozdobić.

Chmurka płynie zwolna a dostojnie. Ścigam ją wzrokiem rozmarzonym, wzrokiem zazdrośnym. I widzę, jak stopniowo rzadnieje i blednie, jak płatkowi białej, jesiennej róży podobna się staje. Jeszcze chwila — róża w lotny obłoczek się zmienia. Jeszcze chwila, a obłoczek wsiąka w błękit, bez śladu się roztopia...

Zaprawdę, jest na tym świecie wiele form szczęścia i uciechy, o które starać się, a i walczyć nawet, warto.

Jak piękną rzeczą jest siła! Z siły rodzi się spokój, a spokój to przedsmak niebiańskiej błogości.

I w bogactwie niemało uroku. Bogacz ma władzę uszczęśliwiania, dobro zaś, któreśmy stworzyli, powraca do nas w odbiciu, oświecając i grzejąc, jak ciepłe i jasne słońca promienie.

Kogóż nie zachwyci kwiat życia: miłość! Nawet rany przez miłość zadane powab mają. Łzy kochanków są brylantami; krople krwi zmieniają się dla nich w rubiny.

A sława? Czyż nie daje ona upojeń nieśmiertelności? Mąż, co stworzył dzieło, które go przeżyje, wyobraża sobie, że zwyciężył najstraszniejsze i najniezłomniejsze z praw: prawo wszechzgonów i wszechznikomości.

Zaprawdę, siła, bogactwo, miłość, sława, są to piękne formy szczęścia ziemskiego, o które starać się, a i walczyć nawet, warto. Jednak wszystkie oddałbym, aby jak ta chmurka pławić się czas jakiś w lazurze i złocie, zdala od ziemi i jej zamętu, a potem, w błękit wsiąknąwszy — roztopić się i rozwiać bez śladu...

WYPOZYCZALNIA KSIĄZEK
LEKT

Kraków, ul. Bob. Stalingradu 19

TREŚĆ.

	Str.
STRACH, opowiadanie żołnierskie	1
SŁOŃCE ZACHODZI — SŁOŃCE ZASZŁO	23
POD PARASOLEM	33
W MGLE (Rok 1831)	49
ŁĄTKA	61
KWINTET (Z melodji życiowych)	69
BAZYLIKA	83
ORACZ	95
ŻUBRY	103
CO BYŁO	131
SYRENA	137
CZEGO NIE ROZUMIEJĄ JASKÓLKI I MOTYLE	155
SZLAKIEM UMARŁYCH	163
ARONEK	179
SUKA	189
TRZY KALINY	207
TEGOBORSKI Z TĘGICH-BORÓW (Sylwetka)	219
GRZECH ŚMIERTELNY	237
* * *	253
BRYLANTOWA STRZAŁA	259
ŚWIERK	277
DAWNE KAWIARNIE WARSZAWSKIE, Rozdział z „Warszawy Wczorajszej“	281
GDAŃSK, „WENECJA PÓLNOCY“ Rzut oka wstecz i naprzód	297
CHMURKA	311



31993

WIKTORA GOMULICKIEGO

PRACE GŁÓWNIJSZE, ODDZIELNIE DRUKIEM OGŁOSZONE



- POEZJE (Warszawa, A Gruszecki). Wyczerpane.
OBRAZKI PRAWDZIWE (Warszawa, T. Paprocki). Wyczerpane.
RÓŻE I OSTY (Warszawa, Gebethner i Wolff). Wyczerpane.
PRZY SŁOŃCU I PRZY GAZIE (Warszawa, S. Lewental). Wyczerpane.
NOWELE (Warszawa, S. Lewental). Wyczerpane.
NOWE PIEŚNI (Petersburg K. Grendyszyński). Wyczerpane.
ZIELONY KAJET, szkice z ustronia (Warszawa, T. Paprocki). Wyczerpane.
OBRAZKI WENECKIE (Warszawa, T. Paprocki). Wyczerpane.
PIEŚŃ O GDAŃSKU (Warszawa, T. Paprocki). Wyczerpane.
WYZWOLONA, powieść (Warszawa, S. Skiwski). Wyczerpane.
BIAŁA, nowele (Warszawa, Gebethner i Wolff). Wyczerpane.
MIECZ I ŁOKIEĆ, powieść historyczna z początku w. XVII, dwa tomy (Warszawa, Gebethner i Wolff). Wyczerpane.
CUDNA MIESZCZKA, powieść z dziejów Starej Warszawy (Warszawa, „Biblioteka dzieł wyborowych“) Wyczerpane.
WYBÓR NOWEL w trzech tomach (Warszawa, wydawnictwo „Gazety Polskiej“). Wyczerpane.
WIERSZE (Warszawa, „Bibl. dzieł wyborowych“). Wyczerpane.
OPOWIADANIA O STAREJ WARSZAWIE, serja pierwsza (Warszawa, „Biblioteka dzieł wyborowych“). Wyczerpane.
OPOWIADANIA O STAREJ WARSZAWIE, serja druga (Warszawa, „Biblioteka dzieł wyborowych“).
OPOWIADANIA O STAREJ WARSZAWIE, serja trzecia (Warszawa, „Biblioteka dzieł wyborowych“).

- BRYLANTOWA STRZAŁA** i inne nowele (Warszawa, „Biblioteka dzieł wyborowych“). Wyczerpane.
- WYBÓR WIERSZY** (Warszawa, T. Paprocki i Sp.). Wyczerpane.
- ZAKAZANE**, nowele (Warszawa, „Książnica polska“). Wyczerpane.
- BIAŁY SZTANDAR**, pieśni miłosciwe (Stanisławów A. Staudacher). Wyczerpane.
- CIURY**, powieść, trzy tomy (Warszawa, „Biblioteka dzieł wyborowych“). Wyczerpane.
- SCHADZKA**, poemat starowarszawski (Warszawa, E. Wende i Sp.). Na wyczerpaniu.
- ON I ONA**, powieść, dwa tomy (Warszawa, „Bibl. dzieł wyborow.“).
- CAR WIDMO**, powieść z czasów zasiadania a przecie nie siedzenia Władysława syna Zygmuntowego na tronie Rurykowym (Warszawa, Gebethner i Wolff).
- SIÓDME AMEN IMCI PANA MOKRZECKIEGO**, powieść z czasów saskich (Warszawa, Gebethner i Wolff). Wydanie drugie.
- DWA ROMANSE** (Warszawa, „Bibl. dzieł wyborowych“).
- GRANDMUSZKIETER**, opowiadanie z czasów Augusta III (Warszawa, Gebethner i Wolff).
- NA ROZŁOGACH BIAŁORUSKICH**, szkic powieściowy (Warszawa, Kasa pomocników księgarskich).
- KŁOSY Z POLSKIEJ NIWY**, szkice literackie i historyczne z 16 ilustracjami i portretem autora. (Warszawa, S. Orgelbranda Synowie).
-
-